# Styczeń — 1858.

---

# KILKA SŁÓW
# O POBYCIE SZWEDÓW W POLSCE
## w początku wieku XVIII.

Chcąc przedstawić wierny obraz czynów tych najezdników kraju naszego, z całą ich szkaradnością i okropnością, trzebaby zapisać liczne tomy, które oprócz zgrozy, zaledwieby tę smutną naukę nam udzieliły, że niezgoda domowa w kraju, żądza wielkości jednéj lub kilku osób i nadewszystko przenoszenie interesu osobistego nad sprawę całego narodu, zwykle wielkie klęski na cały kraj sprowadzają, zawodząc przytem niejednokrotnie zamiary przyczyńców. Zostawim szczegółowe tych dziejów opisanie historykom: do nich należy z okropnych szczegółowych obrazów ułożyć jedną piękną całość, króraby posłużyła potomkom za naukę zgody i braterstwa. My zaś ograniczymy się w tém piśmie na przelotném wspomnieniu niektórych tylko szczegółów, jakie niekażda historya obejmuje.

Domowe kłótnie przyśpieszywszy skon bohatera Jana III, zawikłały następstwo tronu i po drodze krwawéj wprowadziwszy na tron Piastów Fryderyka Augusta II elektora saskiego, nie ustały do końca panowania jego.

Wyniesieni jeszcze przez Sobieskiego Sapiehowie, byli solą w oku litewskich panów, którzy po długich niesnaskach domowych, wywarli swój gniew na Michale koniuszym, zadawszy mu okrutną śmierć pod Lejpunami (1700 r.) i następnie zawiązali konfederacyę olkienicką. Sapiehowie popierani przez tron Jana III, spodziewali się pomocy i opieki od jego następcy. Lecz August mając na myśli dogodzenie swéj próżności, nie wiedział, że osobiste jego szczęście jest połączone ze spokojem i szczęściem całego narodu i dla tego nie chciał się wdać w pogodzenie rozróżnionych umysłów szlachty litewskiéj, ale się ułożył z Piotrem W. pozbawić Szwecyę Pomorza baltyckiego.

Oba monarchowie obiecywali sobie z téj wojny znaczne korzyści. August spodziewał się odzyskać Inflanty, Piotr zaś chciał dostać Ingryę i Estonię. Zachęcał Augusta do téj wyprawy Jan Reinhold Patkul, rodem z Inflant, który za śmiałe upominanie się o wolność swéj ojczyzny, z kraju przez Karola XII króla szwedzkiego wygnany, przeszedł do służby rosyjskiéj i był na dworze Augusta posłem Piotra W. Z jego to namowy d. 22 czerwca 1698 r. August zawarł w miasteczku Rawie Ruskiéj z Piotrem W. przymierze i związek przyjaźni w celu wypowiedzenia wojny Szwedom. Ale Rzeczpospolita niechciała narażać się na niepotrzebną dla siebie wojnę. Zaczął ją więc król z samem tylko wojskiem saskiem, lecz niewiele mógł dokazać. Skoro bowiem wkroczył do Inflant i korzystając z rozprawy Szwedów z Rosyanami, posunął się aż pod mury miasta Rygi, Karol odniósłszy zwycięstwo pod Narwą, wnet przybył

na ukaranie Augusta i niedługo się z nim zmierzając, zmusił go do cofnięcia się z Sasami na Żmudź.

Ale na tém ustąpieniu Augusta z granic inflanckich próżny i mściwy Karol poprzestać nie mógł. Wiedział to dobrze August, że młody wojownik zechce swą zemstę wzajemnem najściem kraju na niego wywrzeć i dla tego przygotowując się na spotkanie groźnego nieprzyjaciela, aby pewniejszym był skutek, d. 26 lutego 1701 roku w obecności panów litewskich i Ferdynanda Kettlera księcia Kurlandyi, zawarł w Birżach z Piotrem W przymierze zaczepne i odporne przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi Karolowi XII, na mocy którego obaj monarchowie zobowiązali się wystawić po 50,000 wojska. Do d. 10 marca przeciągnął się tu pobyt monarchów wśród narad, a razem biesiad i rozrywek różnego rodzaju. Medal na pamiątkę tego zjazdu z wizerunkami obu monarchów w Birżach wybitym został.

Lecz Karol nie zląkł się téj ligi i zabrawszy przyległą Inflantom Kurlandyę, w pięć miesięcy od zawarcia pomienionego przymierza już opanował Birże, gdzie zabrawszy znaczne rynsztunki i zapasy wojenne przez Augusta nagromadzone, posunął się już ztąd w głąb kraju.

Łatwo mógł Karol kraj polski zajmować, bo szlachta nie brała udziału w wojnie Sasów Augusta. Nie trudno mu było odnieść zwycięstwo pod Kliszowem i zająć ważniejsze miasta polskie, jakiemi były: Kraków, Toruń, Lwów i Warszawa.

Zdumieni wreszcie obywatele kraju tém tak rychłém i niespodziewaném najściem okrutnych Szwedów, ocknęli się z letargu bezczynności i wahając się na którą stronę nakłonić się mają, czy do zwycięzcy czyli też do zwyciężonego, zawiązali dwie przeciwne konfederacye: *sandomierską* na stronę Augusta II i *wielkopolską*, pod przewodnictwem Radziejowskiego na stronę Karola XII.

Ta druga ogłosiła bezkrólewie i z rozkazu Karola, wybrała Stanisława Leszczyńskiego wojewodę poznańskiego królem polskim. Nowy król nazajutrz po obraniu, to jest d. 13 lipca 1704 r. nawiedził stojącego obozem w m. Błoniu swego opiekuna Karola, przez którego przyjęty był ze wszelkiemi dostojeństwu króla należnemi honorami.

August znużony wojną, widząc słabość swego oręża i zachwiany tron polski, który już mu w części odebrano, tracił nadzieję uśmierzenia wzburzonych przeciw sobie umysłów i w ostateczności udał się do innéj straszniejszéj broni, jaką jest religia. Wiadomo mu było, że Polacy są gorliwymi katolikami i władze duchowne szanują; przeto zaniósł skargę do papieża Klemensa XI na tych, co mu ośmielili się odjąć koronę polską, prosząc go, aby unieważnił wybór Stanisława.

Papież nakłoniwszy się do prośby wiernego syna Kościoła, Augusta, wydał bullę, w któréj zagroził biskupom polskim wyklęciem od Kościoła, jeśliby ośmielili się przeciwko Augustowi występować i uczestniczyć w koronowaniu Stanisława Leszczyńskiego, który wybrany na króla i potwierdzony został przez luteranina Karola XII.

Na tę dotkliwą dla honoru polskiego bullę, szlachta trzymająca stronę Leszczyńskiego, nie omieszkała usprawiedliwić się ze swego postępku następującym listem, posłanym do Ojca ś. z Warszawy d. 9 września 1705 roku. *).

„Najświętszy Ojcze! Z najgłębszém uszanowaniem najtkliwszym smutkiem znagleni jesteśmy przedstawić

---

*) Ten list, jak i dwa następne Karola XII i Piotra W. wyjęte są z dzieła w Petersburgu w krótce po tych wypadkach wydanego pod n. „Pisma niesczastnaho grafa Iwana Reinholda Patkula połkowodca i posłannika Imperatora Pietra Wielikaho.“

Waszéj Świętości środki Waszéj władzy i święte prawa Rzeczypospolitéj. Polska cierpiała pod jarzmem tyrana, który zbyteczną dumą uniesiony dążył do samowładztwa, najokropniejszéj plagi śmiertelnych; wspaniały dobroczyńca dopomógł nam strącić z tronu tego, który chciał nas ująć w niewolę; z jego rady wybieramy sobie łaskawego zwierzchnika, podwładnego naszym prawom i ustawom, godnego panowania nad nami; i gdyśmy już chcieli go koronować, wtedy Dwór rzymski straszy nas przeklęstwami, a Wy Najświętszy Ojcze, grozicie duchowieństwu polskiemu zemstą niebieską.

„Szukamy pokoju i wolności, przyrodzonych darów ludzi i szczególnych ozdób Rzpltéj. August je porwał, a Stanisław wraca nam: kto z nich godniejszy tronu? Cóż ztąd, że powszechny pokój przywrócony będzie przez lutra lub muzułmanina, byleby tylko naród był szczęśliwym i podstawa tronu utwierdzona?! Broń Boże Polskę od nieposłuszeństwa Waszéj Świętości! — Lecz dawnoż sprawy polityczne mają związek z dobrem Kościoła? Będąc wolnymi i republikanami, sami tylko mamy prawo wtrącać się w sprawy kraju naszego, wybierać lub odrzucać swych zwierzchników, ogłaszać wojnę lub pokój. Tak! kiedy w całym Szląsku i w większéj części dzierżaw cesarskich, niewierni wyznania Augsburgskiego używają zupełnéj swobody, czyż podobna, aby Polska, najprzywiązańsza Kościołowi rzymskiemu, sama tylko przekleństwami zagrożoną była?

„Protestujemy przeciw wszelkim postanowieniom Waszéj Świętości, przeciw wszystkiemu, cobyście nie przedsięwzięli dla strącenia z tronu króla Stanisława; protestujemy przeciw zatrzymaniu arcybiskupa poznańskiego *) i wręcz oświadczamy Wam, że Polska nieznniesie

---

*) Święcicki arcyb. poznański za ogłoszenie Stan. Leszczyńskiego królem Polskim, aresztowany w Warszawie przez Augusta II, za

nigdy, aby obce mocarstwo zuchwale ważyło się zatrzymywać senatora Rzeczypospolitéj.

„Wszystkie pogróżki Waszéj Świętości i odłączenie od Kościoła mogą być straszne tylko dla samych biskupów, którzy dbają więcéj o biskupstwo niż o prawdziwą sławę. Niech oni trwają w uporze i nie uznają prawego swego monarchę; niech trzymają się strony tyraną; my ogłaszamy ich wrogami kraju, zdrajcami ojczyzny i przestępcami przeciw Osobie Jego Królewskiéj Mości Stanisława. Mamy nadzieję, że Wasza Pasterska Mość odwrócicie od nas swój gniew i zaszczycicie nas, jak i przedtém, swą łaską i błogosławieństwem ojcowskiém."

Konfederaci Sandomierscy także ze swéj strony popierali bullę Klemensa. Gdy bowiem twierdza Tykocińska, zdobyta przez Szwedów przy końcu lutego 1703 r. odzyskaną została, oni 1705 r. zanieśli w Tykocinie manifest przeciw koronacyi Leszczyńskiego, poczytując go i obecnych na tym obrzędzie, za nieprzyjaciół ojczyzny. Zjechał też i August tajemnie z Saksonii d. 1 listopada i na znak statecznéj ku sobie wierności konfederatów, ustanowił order Orła Białego z godłem: *pro fide, rege et lege.* Mianował prymasem Stanisława Szembeka biskupa kujawskiego i załatwiwszy ważniejsze czynności, wyjechał d. 8 tegoż miesiąca do Grodna, dla naradzenia się z przybyłym tamże sprzymierzeńcem Piotrem W.

W Grodnie August zwołał Radę Senatu, która zatwierdziła przymierze przed rokiem z Rosyą zawarte i zgodziła się na to wszystko, co Stany Rzpltéj postanowiły w czasie pobytu królewskiego w Saksonii; rozporządzenia zaś stronników Leszczyńskiego uznano za nie-

---

pośrednictwem nuncyusza, odesłany został do Rzymu, gdzie wtrącony został do więzienia w zamku Ś. Anioła.

ważne. Naznaczone wreszcie sądy i kary na nieprzychylnych Augustowi II obywateli, uchwalono podatki i pewną liczbę wojska; zapobiegając zaś niedostatkowi pieniędzy, nową monetę bić pozwolono.

Podczas gdy Senat w przeciągu miesiąca od połowy listopada do d. 16 grudnia (1705) radził, August się bawił i weselił ze swym wysokim gościem, dnia zaś 3 grudnia był na wielkiém polowaniu w puszczy Białowieskiéj, gdzie od niedźwiedzia ranionym został. Tyle go obchodziły spokój kraju i szczęście narodu, którego królem się mianował.

Po skończeniu obrad, Piotr W. wyjechał do Państwa swego, oddawszy pod dowództwo Augusta wojska swoje w mieście Grodnie i okolicach jego stojące.

Karol przedsiębiorąc działać w Litwie przeciw Augustowi i wyszedłszy z pod Warszawy w ostatnich dniach grudnia t. r., bez względu na wielkie mrozy, stanął d. 15 stycznia 1706 r. pod Grodnem. Tu po różnych bezskutecznych usiłowaniach i mało znaczących utarczkach, widząc trudność zdobycia mocno oszańcowanego stanowiska, w którém August ze swojemi się trzymał, w d. 18 stycznia zaniechał napaści, usunąwszy się na kilka mil wstecz ku Wilnu.

Zima była wówczas nadzwyczajnie mroźna: lasy litewskie, rzeki, drogi, wsie i miasta, wszystko obróciło się jakoby w śnieżne góry: chłód, nędza, rozpacz, i śmierć w całéj Litwie, a szczególnie w Grodnie, z całą okropnością panowały. Mieszkania obywateli zamieniły się w więzienia, szpitale i groby. Śmierć głodna liczne ofiary tak krajowców jak i cudzoziemców zabierała; samych tylko Rosyan 8000 zginęło. Gdzie niedawno gwar wesołego ludu i zabawy magnatów przedstawiały obraz ludnego miasta, tam teraz płacz i żal po stracie bliskich sercu osób przemienił miasto w posępny cmentarz.

Niedawno jeszcze przysposobione przez obywateli wielkie zapasy żywności zdawały się ich zabezpieczać na lat kilka od głodu i nędzy; teraz zaś, gdy głodne liczne wojska wypróżniły śpichlerze i piwnice, powstała niezwykła drożyzna, a następnie głód — źródło występków.

Niemasz większéj dla człowieka klęski nad głód! — Żołnierze w szaleństwie zabijali jeden drugiego: zamarło w ich sercach uczucie przyjaźni, pokrewieństwa i ludzkości; silniejszy pokonywał słabszego, bez żadnego względu, czy to był syn lub ojciec, albo téż brat jego. Niektórzy z żołnierzy, niesłuchając swéj zwierzchności, ucieczką ratować się chcieli, lecz osłabięni głodem i chłodem, na śnieg bez tchu padali. Szwedzi okrutni lancami i pikami uzbrojeni, po wszystkich kryjówkach nietylko w domach, lecz nawet w polu i w lesie, szukali zboża miodu i innéj żywności, którą przelękniony rolnik litewski w ziemi od najezdnych wrogów chował.

Niedarmo zła pamięć o Szwedach dotąd pomiędzy ludem kraju naszego przetrwała.

Karol d. 25 stycznia miał główną kwaterę w miasteczku Kamionce, leżącem na trakcie z Grodna do Lidy, zkąd wydał d. 29 t. m. manifest do mieszkańców W. Księstwa Litewskiego w następujących słowach:

„My z łaski Bożéj Karol XII, król szwedzki, gothski i wandalski; wielki książe panujący finlandzki, książe skanij, estoński, liflandzki, korelski, bremeński, gothski, książe ruański, władca Ingryi i Wismaru, hrabia falcski; klewski i bergeński, wszystkim walecznym mieszkańcom W. Księstwa litewskiego pokój i wolność!

„Nie dla tegośmy wkroczyli zbrojną ręką do Polski, aby postępować z wami jak z nieprzyjaciołmi; lecz aby odwrócić niesprawiedliwą wojnę, którą Nam wypowiedział August, i aby wybawić Rzplitę od jego tyrań-

stwa. Bóg opiekował się Naszym orężem i Polska wybrała sobie nowego monarchę w osobie Najjaśniejszego *księcia* (?!) Stanisława. W tym wypadku nie tyleśmy myśleli o naszych własnych korzyściach, ile raczéj o odnowieniu z Rzeczpospolitą przyjaźni Naszéj, którąśmy nabyli przez pokój tém chwalebniejszy i korzystny, że przezeń zapobiedz i zniszczyć możemy wszystkie knowania Sasów i Rosyan, przeciw którym przysięgamy, iż dotąd nie złożym oręża, aż ich z Polski nie wypędzim i póki władza Stanisława nie ustali się, oraz pokój przywróconym nie będzie.

„Długoż będziecie ofiarą tyrańskiéj władzy waszych wiarołomnych opiekunów, którzy, zamiast tego, coby was bronić mieli, rozszerzają wszędzie rabunek, kradzież, rozboje i nędzę? Długoż pozostaniecie w zgubnéj opieszałości, w któréj utrzymuje was haniebna wasza niewola? — Myśmy przyszli do was na pomoc z wojskiem i My, Karol, My sami mu przewodniczym; idźcie za przykładem Polski, chodźcie pod nasze chorągwie i ta szczęśliwa przemiana niech was na zawsze wybawi od okropności samowładztwa i tyraństwa. Widzicie chorągiew wolności, która się wam ogłasza przybyciem najjaśniejszego króla Stanisława, cnotliwego i mężnego monarchy, którego tém bardziéj na tronie utrzymać winniście, że nie jest cudzoziemcem, szanuje i miłuje prawa Rzplitéj i będąc w nich wychowany, zawsze będzie się starał o zachowanie świętéj wolności.

„Zaufajcie Naszéj przyjaźni i prawości zamiarów Naszych! Czyż możecie o nich powątpiewać? Spojrzyjcie na Polskę i osądźcie, cośmy uczynili dla niéj! Przypomnijcie postępki Augusta, a przekonacie się, że od początku panowania swego do tego tylko dążył, aby obalić potęgę Rzpltéj, przyswoić sobie nieograniczoną władzę i pozbawić Litwinów wolności. Co on obecnie robi, Naszym orężem w swych nadziejach zawiedziony? —

Oto, zdrajca, wprowadza do granic Rzpltéj największych wrogów Polski. Porównajcie obecny Nasz manifest, na ostatnim rozejmie przez Nas zatwierdzony, w którym obiecaliśmy opiekować się nad Polską i opierać się wszelkiemu jéj rozdziałowi, z postępkami okrutnych narodów, jakiemi są przepełnione wasza stolica i miasteczka, oniby nie przyszli na pomoc Augustowi, jeśliby nieobiecał im ważnych korzyści. Kto nie zna Cara i ceny, jaką on swym usługom stanowi? Jeśli kto z was powątpiewa o samolubnych jego zamiarach, to niech przeczyta ukazy, które on w roku zeszłym w Rosyi wydał i przekona się, że w liczbie tytułów jego zamieszczono nazwisko *księcia litewskiego.*

„Lękajcie się wierzyć radom kłamliwym kochanków Augusta, z namowy których ten monarcha wprowadził płomień wojny do granic polskich. Jak można polegać na takim monarsze, który nigdy ani świętości praw, ani wiary nie szanował; który chciał was niewolą ujarzmić? Będzież on kiedykolwiek bogobojnym, wiernym i dobrym? — Stojąc na krańcu przepaści, z łaskawością was błaga i aby was zjednać sobie, nie szczędzi próśb ani pochlebnych obietnic; ale gdy się ujrzy bezpiecznym od Naszéj obrony, wtedy wierzcie Nam, zdejmie z siebie maskę łaskawości i okrutniéj jeszcze postąpi z swoimi wspólnikami i dobrodziejami, dla tego, że ci nieszczęśliwi jawnie ujrzą jego obłudę i swój błąd.

„Jakie korzyści odnieśli wspólnicy Augusta? — Ojczyzna ich zrabowana, krewni i przyjaciele, tudzież żony i dzieci ich w okowach zostają pod władzą Rosyan; sami zaś wystawieni są na ciągłe niebezpieczeństwo: oto owoce ich ślepoty!

„O! wy, w których nie wygasła jeszcze miłość ojczyzny! nie wstydźcie się wyjść z waszego obłąkania, naśladujcie Polskę, uznajcie Stanisława swym monarchą, połączcie się z waszym Opiekunem, który z jego przy-

zwolenia postanowił koniecznie was wyrwać z nieszczęść i wrócić wam swobodę! Nowy wasz król nie tylko nie chce mścić się na wspólnikach Augusta, lecz obiecuje im przebaczenie i zapomnienie przeszłości; My zaś, nie mając na celu żadnych osobistych widoków, chlubiąc się waszym sojuszem, przysięgamy, że mieć będziemy opiekę nad wami i spełnimy to wszystko, co tylko służyć może ku sławie i rozszerzeniu obu państw.

„Lecz jeśli odrzucicie nasze propozycye, jeśli przełożycie niewolę nad swobodę, pomoc wrogów nad opiekę przyjaciół i sromotę nad sławę; jeśli pogardzicie naszą potęgą i odrzucicie przedsięwzięte dla waszego ocalenia środki, to lękajcie się nieszczęśni, lękajcie się wszelkich klęsk, jakie pociąga za sobą wojna.

„I aby was lepiéj zapewnić o Naszych obietnicach i zemście, chcemy, aby ten manifest posłany był do was za własnoręcznym Naszym podpisem i z wyciśnięciem pieczęci królewskiéj“.

August tymczasem zdawszy feldmarszałkowi Ogilvi dowództwo nad piechotą rosyjską i innemi wojskami, z rozkazem, żeby się zachował obronnie tylko, sam z jazdą saską i czterma półkami dragonów rosyjskich udał się z Grodna ku Warszawie celem połączenia się z główną swą armiją, która pod dowództwem Schulenberga z Saksonii do granic polskich wkroczyć miała.

Karol ucierając się w Litwie z pozostałem wojskiem trzymającém się strony Augusta, od dnia 10 lutego miał główną kwaterę w Żołudku, miasteczku dziedzicznêm Sapiehów, zkąd dnia 8 marca wydaliwszy się dla obejrzenia zarządzonéj na Niemnie przy wsi Ołłowa budowy mostu, przez załamanie się lodu, o mało w téj rzece nie utonął, a za powrotem do Żołudka na koniu siedząc, upadł wraz ze swym rumakiem pod koła wozu belkami naładowanego. Widocznie go kara Boska ści-

gała za przyczynione klęski milionom narodów; lecz jeszcze ostatnia godzina jego wówczas nie wybiła.

Gdy się to dzieje, armia Schulenberga pod Fraustadt *) rozbitą została przez Szwedów pod dowództwem jenerała Keinschilda.

Karol korzystając z tego zwycięztwa, udał się do Saksonii, gdzie traktatem w sierpniu 1706 r. w Alt-Ranstadt zawartym, zmusił Augusta do zrzeczenia się korony polskiéj, przyznania Stanisława królem, zapłacenia Szwedom ogromnéj kontrybucyi, zerwania przymierza z Piotrem W. zawartego; uwolnienia królewiczów Jakóba i Konstantego książąt Sobieskich, uwięzionych w twierdzy Königstein przez Augusta z bojaźni, aby nie stali się pretendentami korony polskiéj; zwrócenia wszystkich, jeńców szwedzkich, oraz wreszcie wydania wszystkich zbiegłych na jego stronę, a głównie Patkula, ministra Piotra W. — W czasie tego traktatu w sekrecie, bez wiedzy Rosyan zawieranego, August ze szczątkami swego wojska znajdował się w korpusie rosyjskiém pod dowództwem Menszykowa, który korzystając z oddalenia się Karola, napadł na jenerała szwedzkiego Manderfelda i pobiwszy na głowę d. 19 października 1706 r. pod Kaliszem u wsi Zawady wojska szwedzkie i te, co się trzymały strony Leszczyńskiego, wziął w niewolę samego dowódzcę i zajął Kalisz; zmusiwszy Augusta, mimo chęci jego do udziału w bitwie i zwycięztwie. — Teraz mógł jeszcze August myśleć o powróceniu sobie wydartéj przez Karola korony polskiéj, lecz potęga Szweda zaćmiła już jego szczęście i nadzieje urzeczywistnienia samolubnych zamiarów, tak, iż uniżony świeżo odniesionėm zwycięztwem i własną sławą pospieszył z przeproszeniem Karola i odzyskaniem pozornéj jego łaski, widział się z nim i usprawiedliwił się z nabytéj

*) M. Wschowa.

zwycięztwem Szwedów sławy. Karol wierząc słabości ducha Augusta, w dowód swego przebaczenia i wielkiéj przyjaźni, kazał w Lipsku wybić medal, na którym z jednéj strony wyobrażeni byli Karol XII i August II, pierwszy w postaci Marsa, a drugi Herkulesa, trzymając się oba wspólnie za ręce i depcąc *kłótnię*. Lecz za to August musiał napisać list bardzo uniżony do Leszczyńskiego z powinszowaniem wstąpienia na tron, w te słowa:

„Panie bracie! Zdawało nam się niepotrzebną rzeczą wchodzić w wzajemną listową korrespondencyję; zadosyć jednak czyniąc chęciom monarchy szwedzkiego, który tego najusilniéj pragnie, winszujemy Ci wstąpienia na tron, i życzymy byś w ojczyznie więcéj poczciwych i dobrych obywateli znalazł, jak my ich zostawili. Świat nam cały sprawiedliwość odda, iż nasze dobre chęci niewdzięcznością zapłacone zostały: do tego większa część jeszcze magnatów państwa nad upadkiem naszym pracowała; oddając Cię Opatrzności Boskiéj, życzymy, abyś na podobne nieszczęście wystawionym nie był. — Dan w Dreznie d. 8 czerwca 1707 r. Brat i sąsiad król August“.

Na ten list Leszczyński taką odpowiedź przesłał:

„Panie Bracie! List od Waszéj Królewskiéj Mości odebrany, skłania mnie do niewygasłéj wdzięczności dla Karola XII, czuły jestem na oświadczenia Waszéj Królewskiéj Mości z powodu wyniesienia mego, spodziewam się jednak, że zachowując prawo narodu, poddani moi nie będą mieli przyczyny niewdzięcznością się wywiązywać. Stanisław król polski“.

Nic jednak lepiéj nie wykryło Augustowi rzeczywistego jego położenia i wartości osobistéj, jak list Piotra W. w dniu 4 (16) stycznia 1707 r. w Zolkzef (?) pisany, który tu przytaczamy:

„I tak, Wasza Królewska Mość dopięliście swych życzeń; winszuję Wam pokoju, kosztuje on Was wielkiego poświęcenia się. Lecz macie słuszność; spokój droższy nad wszystko; chwała Bogu! niemacie już niczego się lękać: niegdyś zacięty wróg Karola, staliście się teraz najlepszym jego przyjacielem, przyjaźń bohatera zapewne warta korony.

„Widziałem zakład nowego waszego związku, pomnik sławy Waszéj i wielkości Karola: medal, na którym wyobrażony Mars z Herkulesem. Alexander północny w części porównać się może z bóstwem niszczącem świat; ale przyznam się otwarcie, w rysach Waszéj Królewskiéj Mości zaledwie poznać syna Jowisza. Nic nie może mieć większego z nim niepodobieństwa, jak nieszczęsny zwycięzca, przelękniony swém zwycięztwem i gotowy być niewolnikiem zwyciężonego.

„Teraz Wam tylko pozostaje rozprawić się ze mną. Szkoda, żeście nie w Warszawie! lubicie rozmowy sekrotne, tobyśmy bardzo spokojnie pomówili z sobą na osobności. Wymagam od Was należnego zadosyćuczynienia, oczekuję go i otrzymam.

„Gdzie trzy tysiące Szwedów, wziętych w niewolę przez księcia Menszykowa w Kaliszu? gdzie pomniki zwycięztw jego? gdzie Patkul? *)

„Nie dziwię się, żeście oddali wojewodzie poznańskiemu koronę polską, berło, władzę i klejnoty królewskie, zostawując sobie tylko pierwotną godność. Kto tak wspa-

---

*) Patkul, na żądanie Karola, z rozkazu Augusta osadzony był w zamku Sonnenstein, z którego umknąć miał za zbliżeniem się Szwedów, a to dla tego, aby można było usprawiedliwić się przed Karolem i Piotrem W. Lecz zawiedzione zostały Augusta nadzieje; mający bowiem dozór nad zamkiem Sas wymagał znaczną sumę od Patkula, któréj gdy nie otrzymał, za zbliżeniem się w krótce wojsk szwedzkich, wydał go w ręce nieprzyjaciół; ci zaś, z rozkazu Króla, r. 1707 w Kazimierzowie żywo ćwiertowali go.

niałomyślnie swój tron ustępuje, ten łatwo także wszystko co ma, ustąpić może; lecz jak mogliście karać mego posła? jak ośmieliliście się oszukać i zdradzić mnie? Drogo za to zapłacicie.

„Nie tuszcie sobie, że jeszcze mnie oszukacie próżnemi wymówkami, chytremi wymysłami i znaną mi już obłudą. Nie przestawałem mieć baczności nad Wami od samego wstąpienia waszego na tron; przeniknąłem w głąb' duszy twojéj i z przerażeniem widziałem, jak udawanie i samolubstwo twoje gotowały same szkaradne zdrady. Ledwieś zaczął panować, gdy już twój sprzymierzeniec, krewny, przyjaciel, Karol, był igraszką twéj chytréj polityki *); i żeby oddalić od niego wszelkie podejrzenie, wyprawiłeś do Sztokholmu senatora halickiego, z pełnomocnictwem do zatwierdzenia pokoju Oliwskiego i zakładem wiecznéj stałej przyjaźni... Stałej... i w tenże sam czas zawarłeś potrójne przymierze, w celu zatwierdzenia którego tenże sam senator, po wyjeździe ze Szwecji, udał się do Danji.

„Lecz mało jeszcze tego; wkrótce i Rzeczpospolita, własne twoje państwo, stało się ofiarą twych chytrych zamiarów; zachciałeś znieść prawa krajowe, przemienić rodzaj rządu, wprowadzić tyraństwo i samowładztwo;

---

*) August, chcąc oddalić wszelkie podejrzenie Karola XII o troistym związku, który miał być zawarty z Rosją i Danją, r. 1698 wyprawił do Szwecyi jednego z senatorów dla utrwalenia przymierza z krewnym i sąsiednim monarchą i aby lepiéj swój plan ukryć polecił posłowi, iżby się starał o utwierdzenie pokoju Oliwskiego i uprosił pośrednictwo Karola pomiędzy nim a Elektorem Brandeburgskim. Karol wdzięcznie przyjął propozycje Augusta, potwierdził wszystkie traktaty i nierozłączny sojusz Szwecji z Polską, wtedy gdy August skrycie przygotowywał się przeciw niemu do wojny, trzymając się téj zasady.

„Dolus an virtus, quis in hoste requiret?...
Quid populi facient, audent cum talia Reges? —“

wówczas, nie mając względu na senatorów, nie mając względu na naród, wyprawiłeś do mnie poselstwo; potrzebny Ci był opiekun i znalazłeś go we mnie, nie dla tego, żeby mi pochlebiały twe propozycje lub żebym podzielał twe zasady, lecz dla pewnych pobudek, z których nie powinienem Ci tłumaczyć się. Zwodzicielu niedowierzający! po podpisaniu warunków pokoju Polski z Rosyą w Kurlandji, ty śmiesz mię podejrzywać, zatrzymujesz mego posła i wtrącasz go do więzienia?!

„Postanowiłem z zimną krwią, pisać do Ciebie; nie lękaj się wymówek ani wyrzutów, na które zasługujesz. Chcę Ci tylko dowieść moje prawa. Domagam się tylko od Ciebie jenerała Manderfelda, półkowników Gustawa i Karola Hornów, marszałka Müllera, wojewodę kijowskiego hrabiego Tarła, oraz wszystkich oficerów polskich i szwedzkich, wziętych w niewolę pod Kaliszem; żądam pięciu chorągwi, broni polowéj, oddziału gwardji Stanisława i ich podpółkownika, wziętych pod Pragą przez moje wojska pod dowództwem księcia Wiszniowieckiego; lecz najbardziéj domagam się Patkula! tysiąc pobudek masz do zwrócenia go: jego krew za Ciebie przelana, jego niewinność, twój honor i moje żądanie! Tyś sam to mi zaprzysiągł: czyż królewskie przysięgi zawsze będą dla Ciebie igraszką? — Królewskie! — lecz czyś wart imienia monarchy? Cozacz Ty teraz? Sprzymierzeniec? — nie możesz już nim być. Władzca? — inny już włada twém elektorstwem. Przyjaciel? — lecz przyjaźń nie zna zdrady. Przy pomocy Rosyan zwyciężyłeś Szwedów. Zawładałeś prawie całą Polską, oprócz Poznania, który także nietrudno odzyskać, wstąpiwszy do Warszawy. Ogłaszasz w Polsce manifesta przeciw Karolowi, zabraniasz swym poddanym go słuchać i zamiast dziękować Bogu za powrócenie tronu, któregoś sam ustąpił w szkaradném zawieszeniu broni, starasz się oddalić wojska moje od siebie, posyłając je

na Wołyń; w nocy zaś kryjesz się od przyjaciela swego księcia Menszykowa; uciekasz od swych obrońców dla tego, żeby pełzać u nóg dumnego zwycięzcy. Jakto? ośmieliłeś się przystać na szkaradne jego propozycje! lekceważysz moją zemstę, pogardę narodów, hańbę własnego imienia, sądy przyszłych wieków; trudno oszukać potomność. Ale Ty nie dbasz o takie fraszki; zapominasz o swych przyjaciołach, zapominasz o sobie samym; ja Ci przypominam twe obowiązki. Mógłbym Cię zgubić, lecz chcę zawstydzić dobrodziejstwy memi. Najlepszą moją zemstą będzie pożałować zdrajcę, pozbawionego sposobów szkodzenia; zgryzota sumienia będzie mu karą.

„Zawsze miałem sobie za zasadę, nic skrycie nie działać, nie ukrywać mych uczuć, nie używać nigdy chytrości i zabiegów; i teraz także nie odstąpię od tego prawidła; powiadam Ci, że wcześniéj lub później, ale będziesz ukaran; uważam Cię za zaciętego mego wroga; odemnie teraz zależy koronować w Warszawie syna mego i przyłączyć do jego państwa wszystkie twe prowincje. Nie zawsze będziesz z Karolem. Lękałeś się, aby on nie zajął pod swe berło twego elektorstwa; ale wieleby mu kosztowało utrzymać je za sobą. Piotr nie jest Augustem. Nie polegaj na pomocy nowego twego opiekuna; wkrótce on sam szukać będzie innych pomocy. Powiadają, jakoby się wybierał do Moskwy, — czekam go tam. Ale ty, zostaniesz w Dreznie; używaj zupełnego pokoju na łonie twéj familji, krewnych, przyjacioł i kochanek; dni twoje upiększać się będą miłością, łowami, ucztami i rozkoszami; nastąpi jednak ten czas, gdy ręka mściciela zgromi Cię śród twych występków! czas ten niedaleki. Przebaczam Ci; Tyś zaufany teraz w dobroci mego serca; ale czy wiesz, jak daleko sięga mój gniew?

„Nie myśl, abym żałował twéj przyjaźni; ona mię

zhańbiła. Strata ta wraca mi prawa moje do tych ziem, które niegdyś należały do moich przodków; ani Ty, ani Karol, ani też mniemany król polski nie w mocy przeszkodzić mi w dopięciu tego. Gdy przetnę drzewo, pod którego cieniem spoczywacie, wówczas już nie trudno będzie złamać gałęzie jego. Obecnie tylko pozostaje mi Karola porazić; aleś Ty nie wart tego... Zdrajco! oto nagroda za moją przyjaźń! Powiedz, co Cię zmusiło mię zdradzić? Przypomnij ów okropny dzień, gdy bez tronu, w nędzy, z państwa wypędzony, tułacz, bez nadziei, bez podpory, zrozpaczony, przybyłeś do Inflant szukać pomocy z ręki mojéj; przypomnij zawarty wówczas między nami uroczysty i ścisły sojusz. Ile trudów, ile podróży, ile dni, ile nocy, ile lat poświęcono dla twéj obrony! Wszystko to zupełnie stracone dla szczęścia moich poddanych. — Ile krwi przelano!... i za kogo?

„Nawet niedawno, po bitwie pod Kaliszem, kto żywił twą armję? kto płacił żołd Sasom? Pieniądze, wojsko, wszystko dla Ciebie było w pogotowiu. Brzydząc się twą niewdzięcznością, niechcę Ci wyrzucać moich dobrodziejstw.

„Pójdź, zdrajco, pójdź! pełzaj u nóg tyrana; oszukiwaj sprzymierzeńców, unikaj swych przyjaciół, karz dobroczyńców! Obejdę się bez twéj przyjaźni. Daj Boże, abym nie miał nic sobie do wyrzucenia za okazaną Ci pomoc! Wszystkom przewidział; zawszem powątpiewał o Tobie, a szczególnie od czasu strącenia Patkula. Nie obwiniaj o to swych ministrów: oni powinni byli Cię słuchać; lecz od Ciebie zależało wydawać niesprawiedliwe i szkaradne rozkazy. Chciałem wiedzieć, jak daleko posuwa się twa zuchwałość, i teraz wiem. Lecz mało tego dla mojéj sławy. Jeszcze Ci raz powtarzam: wróć mi posła mego; jeśli nie wy-

dasz go, jeśli nie przestaniesz znieważać najświętsze prawa, jeśli oddasz na zgubę Patkula.... to drżyj!“

Kiedy okolicznościami wyżéj przytoczonemi znaglony August II zrzekł się korony, prymas Stanisław Szembek i marszałek konfederacji sandomierskiéj Stanisław Dönhoff, nie uznając królem Stanisława Leszczyńskiego, zwołali we Lwowie w lutym 1707 r. zjazd powszechny, na którym w wydanych uniwersałach ogłosili tron za wakujący i wezwali stany Rplitéj na sejm *convocationis*. To samo powtórzyło się w Lublinie. W czasie narad przybywszy Piotr W. do Lwowa, ponowił przyrzeczenie: iż niewzruszenie zachowa wieczny pokój zawarty z Rzecząpospolitą, że związkowych wspierać będzie; że uzna królem tego, kogo naród jednomyślnie wybierze; że żadnego wynagrodzenia za poniesione koszta wojny wymagać nie będzie.

Z tego oczywisty jest dowód, że Piotr W. miał urazę do samego tylko Augusta, naród zaś polski szanował i o przyjaźń jego zawsze dbał.

Karol zgromiwszy Augusta II, tuszył sobie, że tak łatwo Piotra W. pokona; lecz okropnie się zawiódł w swém pozorném męztwie i dalekich nadziejach. I chociaż do wykonania swych obszernych zamiarów przyzwał w pomoc podobnie sobie mężnego i zuchwałego Mazepę, bitwa jednak pod Połtawą dnia 27 czerwca 1709 r. przeważyła szczęście na stronę Piotra i obu zuchwałych najezdników tak poraziła, że nie znajdując nigdzie przytułku u jednoplemiennych chrześcijan, zmuszeni byli oddać się pod opiekę Turków.

Jan z Warszawy.

# ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

## IV.

## O BOCIANIE.

Moje boćki, już trzeci miesiąc mija, a ja jeszczę waszéj historyi niedokończyłem, — wy mi tego za złe wziąść nie możecie, bo mnie co dzień przy snopie i pługu widzieliście nie okazywaliście trwogi gdy na bagnach strzelałem, z zaufaniem opartem na waszym sympatycznym instynkcie, usuwaliście się przyspieszonym krokiem z rozpostartemi skrzydłami, gdy was spotykałem na łanach i łąkach szukających żeru; nawet przed mym koniem żaden z was niepodleciał; wiedzieliście kto jedzie; mimo więc ostrożności która wasz ród cechuje, wy się nie boicie waszego historyografa, więc mi za złe nie weźmiecie to spóźnienie, a może za tym przykładem i czytelnicy więcéj surowości nie pokażą, a

---

Patrz: Tom VI, 354, 627; VII, 106.

w długich zimowych wieczorach przejrzą te stronnice i nieodepchną dalszych odkryć z tajemnic przyrody.

Pisać o was Boćki, rzeczywiście nie mogłem, bo wy wiecie co to za praca w lecie i jesieni w tym tu kraiku, bogato od Stwórcy uposażonym, a ciężko od ludzi nawiedzonym, — kto tu z matki ziemi chce wydobyć pożywienie i dopełnić swych zobowiązań i powinności, ten w pocie czoła, siedząc kamieniem, pracować musi. Wam to łatwiéj żyć, lotni gospodarze; gdy wam tu źle, rozpuścicie skrzydła, nogi waszym stérem i szybkością strzały lecąc, szukacie krain, które Bóg obficiéj obdarzył. My zaś przykuci, z miejsca ruszyć się nie możemy; im nam gorzej, tem więcéj tulimy się do naszéj ziemi; bo łzami zroszona ziemią, z miłosierdzia Bożego plon daje: — w tej naszej ziemi widzimy pamiątkę przeszłości, w téj ziemi gromadziemy nasze obowiązki i tam nadzieja przyszłości! Nie jeden z naszych jął się was naśladować, i li w duszy mając mizerne skrzydła ruszył ze wschodu na zachód, z północy na południe, i daleko od swego gniazda spostrzegł się zadziwiony, że my z pod ciężarów usunąć się nie możemy, i jak zbrodniarze co na galarach ciężar kuli życie całe ciągnąć muszą, tak i my naszéj biedy pozbyć się nie możemy spostrzegł się, że my bezkarnie z miejsca na miejsce przenieść siebie i nasze mienie nie potrafiemy; spostrzegł się że u nas każdy ruch nierozważny każda zmiana koszta i straty przynosi; wtrącając nas jeszcze głębiéj w otchłań biedy!

Odlecieliście, dotrzymując sumiennie terminu waszego odlotu. Pozdrawiałem was serdecznie, ścigałem was wźrokiem długo, dziwiłem się dla czego wasza ariergarda tak spóźniła wędrówkę téj jesieni? Czy trzeba było waszych gniazd dłużéj pilnować, lub dokładniéj restaurować? Czy ten korpus mial tego roku inną drodę wyznaczoną, dla wielkiéj posuchy? Wy przezorni,

wy posiadacie rozum połączony z instynktem, a to daje nieomylne przeczucie. Ileż ja godzin nad wami dumał, dla czego inaczéj téj jesieni, jak było innych lat; dla czego tak skrzętnie urządzone, pozostawialiście gniazda przed ośmiomiesięczną podróżą? Czy znowu przeczuwacie *zielono białą wiosnę*, z temi wichrami co krew ścinają a sinieją ludzi, — z tym śniegiem, krupkami i lodowatym deszczem, — z tym słońcem co kiedy nie kiedy wyjrzy z za chmurki ukradkiem, jak gdyby tylko zobaczyć chciało, czy jeszcze warto temu finansowo materyalnemu światu przyświecać, czy warto jeszcze ogrzewać te głazy zimne na europejskiéj przestrzeni? Czy to znowu ma być ta galicyjska wiosna przegrodzona zimą; niszcząca kwiaty, krzewy, owoce i zboża, a gnębiąca me ulubione ptaszęta.

Tyle tajemnic już mi odkryliście, tak głęboko daliście mi wejrzyć pod zasłonę organizmu waszego społeczeństwa, dla czego tu niedozwolicie odkrycia robić dla pożytku mych rodaków jak ja gospodarzy? I ja tak po waszym odlocie trapić się będę tą długą, grudowatą, mroźną i białą zimą, zanim mnie ocuci powitanie wiosny przez wasze kłapanie, zanim usłyszę te harmonijne nuty, w gęstwinach tajemnic nucone, wzruszające wszystkie struny méj duszy! O jakże daleko jeszcze te wieczory z wonią w powietrzu, w których słuchać będę te ciche akordy powtarzane w powietrzu przez powracające ptaki, bo to mi wszystkie znane głosy lotnych przewódników, podających sobie znaki, jak robią czaty wojenne; a nareszcie tych pierwszych barwistych kwiateczków, co z pomiędzy bryłek pozostałego śniegu skromnie a tak nieśmiało główki wychylają. Ja je tak lubię, bo one równie ze mną już się niecierpliwią że wiosny ciepłéj doczekać się nie mogą; one są tak miłe oku, bo to próbki nam dane od Stwórcy, abyśmy się nadzieją cieszyli, jaka piękna będzie przyroda! Bóg

postępu niezna; postęp to wymysł człowieka. Często się cofa a myśli biedak że postępuje. Bóg raz świat obdarzył, i od kilku tysięcy lat co roku nam to samo pokazuje; a my co roku czujemy to samo wzruszenie co roku podziwiamy całą duszą skarby przyrody; bo to nieskończona dokładność w najdrobniejszym robaczku lub listku na drzewie! Przyroda równie postępu niezna, bo ona jest dla nas doskonałością. Ach żeby to już chciała nadejść ta chwila wdzięcznéj czci i podziwienia; lecz tu przed nami, sroga i długa zima, bez śpiewu, bez woni, zimna jak grobowe kamienie! Może wiosnę w swem miłosierdziu Bóg przyśpieszy; On wszystko może, lecz odlatujące bociany szepnęli mi, że tu znowu w kwietniu biedować wypadnie!

O was boćki moje jestem niespokojny; wy polecieliście nad Ganges, wy wiedzieć nie mogliście co w Indyach zaszło, a tam dwa dzikie narody (dzikie bo okrutne i bez miłosierdzia) pożerają się wzajemnie jak hyeny lub pantery, szarpią się pazurami jak dzikie zwierzęta, niemal krew pognębionych piją jak wampiry. Cóż wy tam robić będziecie, poważne cnotliwe, rozumne i nikomu nieszkodzące boćki? Oni tam głód cierpią, oni was strzelać i pożywać będą, bo ten zdobywczy a okrutny naród o tyle zna ludzkość i miłosierdzie o ile do jego celów to posłużyć może; personifikacya chciwości, i roślin pasożytnych co ze szkodą drugich swe życie utrzymują. — Strońcie przed wojskiem i błyszczącą stalą, bo ono rzadko spokój utrzymuje a często niebezpieczeństwo wzmaga; odlatujcie przed grzmotem broni, bo tam dla was niema współczucia, niema zamiłowania przyrody. Człowiek postępu chce z przyrody zrobić swego służalca; lecz ta cudna córa Stwórcy rozdaje już szczodro swe bogactwa, lecz się w karby ująć nieda i broni się straszliwie; strońcie boćki od indyjskich, dawniéj cichych brzegów rzek, bo tam

dymiące statki pożogę miotają; już tam dla was niema bezpieczeństwa! Schrońcie się w pustynię, przecierpcie te długą zimę, a doczekacie się czy cywilizowana dzikość czyli też stan natury zwycięży, a pewnie będzie późniéj spokój, bo każdy ogień nareszcie wypalić się musi. A gdyby tam z wiosną nieprzestały grzmić działa, wróćcie do nas czekających, a smutnych, ztęsknionych, znękanych, lecz spokojnych! Biedne boćki, jak was niebezpieczeństwo w dwóch światach prześladuje, czy wy nam licznie z téj wędrówki wrócicie, czy wy nas znowu z kwietniem pocieszycie i rozweselicie, a zabezpieczycie nasze siedliska? My wam zachowamy sumiennie wasze gniazda, ulubione stare drzewa, a wy tymczasem strońcie od ludzi w ogólności, bo nie wiele ich dobrych, a w szczególności od tych ludów co powstrzymać nie mogą rozhukanych namiętności, które ich do zwierzęcości prowadzą!

Nie mam dziś zasługi o was pisać, bo nasz cały widnokrąg w bieli, cichość w całéj przyrodzie. Już ostatni listek żółty zleciał z drzewa; nawet trzpiot wróbel przestał świergotać i nie troszczy się o samiczkę, bo mu za zimno; wszystkie żyjątka szukają łoża i schronienia zimowego, — jest więc czas myśleć, pora na wsi nieczynności i wypoczynku, ale mnie coś w sumieniu niepokoi w tém sumieniu zamiłowanego ornitologa, któryby w takiem świetle swe ptaszęta przedstawić chciał aby każdy je miłował i każdy je szanował, a ja tu o żonach moich boćków źle mówić będę, nie jedną niewierność i lekkomyślność odkryć muszę. Przecie to żony do historyi należą i bez nich, niestety obejść się nie można. Kobieta w ludzkości to to samo co woniący kwiatek w przyrodzie. Przykro mi rzucać cień i skazy na ród bociani pełen tylu doskonałości; lecz myślę, że się prędko uwinę; do wiosny o tem zapomną, a niewystawiam się na niebezpieczeństwo, aby *Dodatek Czasu*,

i moja satyra bocianek pod Delhi zaszły, więc się biorę do ich portretu.

Bociek krwistego temperamentu i żywego, gorący a pełen namiętności, chociaż to wszystko zakrywa posępną i spokojną powierzchownością, mściwy nawet okrutny w swéj sprawiedliwéj zemscie, kocha całem swem jestestwem, wierny do zgonu swego, lecz biada temu domowemu przyjacielowi, co mu zajdzie drogę i bruzdzi w pożyciu małżeńskiem. — Boćkowa limfatycznéj natury, wierna o ile bociek pilnuje i dogadza, z mężem lubi swe łoże dzielić, lecz zimna i bez temperamentu,— miewa co roku dzieci, lecz rozkoszy na niéj nigdy nieznać; wypełnia obowiązki matki surowo i obojętnie w czasie lęgu, podróżuje bo musi, płodzi bo prawidła natury tak każą, żyje długo, zachowuje kształty i świeżość do śmierci, bo silnych wzruszeń niezna, cnotliwa o ile pokusa daleko, często niewierna a nawet w romansie zimna; smętnego wejrzenia jak gdyby z siebie nie była zadowolnioną; złapana na gorącym uczynku niewierności, obojętna; naprowadzona surowością męża, na drogę powinności, znowu zimna i flegmatyczna; lato spędza na układaniu gniazda; zawsze coś w umeblowaniu zmienia, istny dowód nudów; nie zawsze schludna i w porze lęgu często się zaniedbuje, nie czesząc dzióbem i nie czyszcząc pierza; a mimo tych wad i niedbałości bociek wierny, kocha i dogadza. — *O mój bociu możesz zaiste służyć za przykład w małżeństwie, a ileż ona przypomina boćkowych w spodnicach!*

Ja muszę prawdę mówić, więc ją nagą tu wyłożę i powiem wszystko złe, co o samiczkach wiem; lecz i o dobrym niezamilczę, a że może oczęta jakiéj kobiecinki zabłąkają się do tych ramotek ornitologicznych, więc zacznę od historyi zacnéj i nieporównanéj boćkowéj w swym żalu i w swéj wierności po utracie mał-

żonka. Rzadkie to zaiste zdarzenie, lecz li w tym rodzie!

Roku 1852, w Bocheńskiem, przyleciała na wiosnę w kwietniu samiczka sama i opanowała swe gniazdo na starém drzewie nad Wisłą. Zmęczona podróżą, nie bardzo bolała nad swą samotnością; trzeba było zasilić wygłodniały żołądek, urządzić i poprawić gniazdo, więc te pierwsze dnie w zatrudnieniu schodziły, lecz pana gniazda jak nie było tak nie było. Latała na żer, schodziła się z rodakami na łąkach, wspólnie z niemi żerowała, lecz zawsze sama na gniazdo wracała. Trwało to dni czternaście i jak się zdaje każdy bocian szanował jéj smutne położenie i stronił od niéj nienaprzykrzając się. Lecz na świecie zawsze tak było i pewnie zawsze nadal pozostanie, że gdzie młoda wdówka tam djabeł nadskakuje, i jak gmin dobrze mówi, chętnie by w piecu zapalił. Więc się pomału zjawiali konkurenci, kłapali do taktu, toczyli nad jéj gniazdem większe i mniejsze koła, spuszczali się szybkością błyskawicy nad nią, znowu lotem pełnym gracyi pod obłoki bujali; nie jeden z nieśmiałością siadywał na sąsiednie gałęzie, przybliżał się do gniazda, lecz to wszystko rozbić się musiało o zimną obojętność wdówki niepocieszonéj. Wyrestaurowała sobie gniazdo, ubrała krańce świeżemi gałązkami, znosiła czasem jajo, siedziała na nim dwa dni, a potem dzióbem wyrzucała, a ja je zbierałem, bo się na murawie i mchu nie tłukły; i znowu znosiła, tak że pięć zniosła, a na ostatniem siedziała dłużéj lecz tak samo wyrzuciła jak inne. To trwało do 20 maja; (czas w którym samice siedzieć muszą); poczem wylatywała za żerem, lecz do czasu zgromadzenia jesiennego bocianów pozostała w samotności, i żadnego towarzystwa nie przypuściła. Na rok przyszły powróciła z mężem; lecz czy to był nowy związek, czy odszukała nieodżałowanego, tego powiedzieć nie mogę. Ktoby jak ja, był

miał sposobność obserwowania tego bociana, byłby pewnie zastósował to zdarzenie do wielu wspomnień swego życia w towarzystwie.

Od lat wielu uważałem parkę bocianów w mojem sąsiedztwie, gdy w Brzeżańskiem mieszkałem; zajmowała mnie więcéj niźli inne, gdyż najczęściéj niezbierała nic innego, jak myszy i żaby, swierzcze i żuki, żyjąca w zgodzie i wzajemnem przywiązaniu. Stare to były i przezorne bociany; nie jednego roku wyrzucały z własnego popędu jajo lub piskle, aby łatwiéj resztę dzieci wychować; odgrywały mi nie jeden zajmujący dramat na wiosnę, gdy obce bociany samiczkę lub gniazdo zdobyć chcieli. Boćkowa nie miała wielkiego przywiązania, ani też była bardzo pewna swéj wierności i cnót widziałem to po lekkomyślném zachowaniu się z obcemi bocianami; lecz on był niepospolitym egzemplarzem męża; przezorny i doświadczony pilnował ustawicznie, rzadko kiedy odlatywał na długo i to dalszych wycieczek nie robił; przytem czuły i kochający, dogadzający ustawicznie samiczce znoszonemi przysmaczkami, pieścił czule a jak potrzeba było to karał surowo. Roku 1854 samiczka pierwsza nadleciała; bociek zaś musiał się w podróży zatrzymać, i jak to już są te bocianice, po kilku dniach przepędzonych na urządzeniach domowych, dalejże w sąsiedztwa i niebawem z młodym obcym bocianem powraca (o zgrozo!) na noc do domu na strzechę. Po kilku dniach pożycia tak małżeńskiego, że każdy obcy byłby powiedział, że to dawna nam znana parka — lecz my zaraz poznali, iż sprowadzony bociek był przeszłorocznym ptakiem, nieobeznanym z tem gniazdem a potem mniejszy i bielszy — znosiła jedno po drugiem jaje i zabrała się do wysiadywania.

Pewnego poranka siedzi na strzesze stodoły nasz stary bocian ze zmierzwionem, brudnem i styranem pierzem, zmęczony ciężką podróżą, znękany wypadkami

które go wstrzymały w towarzyszeniu samiczce; siedzia stary z najeżoném pierzem, głowa z karkiem ku rywalowi nachylona; oczy iskrzące. Była godzina dziesiąta z rana, gdy właściciel niezważając na samiczkę, natarł na zwodziciela i wyzwał go do walki pod chmury.— Wznieśli się oba, rozjątrzeni i chciwi zwycięstwa; jeden chciał odzyskać swoją własność, drugi bronić nabytą samiczkę i gniazdo; krążyli długo starając się górować, aby na nieprzyjaciela uderzyć, wybili się pod obłoki, górny nacierając na dolnego, którego widzieliśmy jak gdyby czapla przed sokołem, przewracającego się na wznak w powietrzu i nadstawiającego ostry dziób. Po dwóch godzinach téj walki, wrócili na dach, siedli zmęczeni opodal siebie, zakłapali głośno; wtedy obojętna boćkowa, wstała na gniezdzie, odpowiedziała krótkiem kłapaniem, popatrzała chwilę na rywalów obojętnie i spokojnie usiadła w gnieździe. Napastnik już nieśmiał do gniazda przystąpić; gdyż napierzony mąż posuwał się za każdym jego ruchem, z roztworzonym dzióbem i pokoju mu niedawał. Po południu walka była druga krótka; skończyła się pojedynkiem na dachu, zkąd młody bocian zrzucony został razy kilka; już spuścił z tonu, siadł sobie na samym końcu i tak noc przepędzili, a prawy mąż stronił od niewiernéj i ani na stopę nieprzybliżył się do niéj. Rano ledwie słońce zeszło, wpadł chłopczyk i obudził mnie wołając, bociany się biją: naturalnie wybiegłem i już byłem przytomnym ostatniemu aktu tego zajmującego dramatu. Spostrzegłem w powietrzu moje bociany w różnych ewolucyach, lecz nie tak wysoko. Po chwili młody bocian z opuszczonemi skrzydłami leciał ku ziemi, nad nim zwycięzca; gdy pierwszy siadł na ziemi, potoczył się kroków kilka i z lewych barków krew zafarbowała białe pierze; stary siadł koło niego, spojrzał z politowaniem i wspaniałomyślny (kto wie, czy to nie był jego własny syn?) bo mógł

bezbronnego dobić, odleciał na to samo miejsce co zajmował przez dwa dni. Zwodziciel ukarany chodził godzin kilka i po nad ziemią chyłkiem odleciał.

W czasie téj krwawéj walki zimna i limfatyczna samica, siedziała obojętnie na jajach i dopiero gdy mąż głośnem kłapaniem ogłaszał swe zwycięstwo, ona się podniosła i odpowiedziała. Siedział długo zmęczony mój sędziwy bociek, jak gdyby dumał nad tem jak skarać niewierną, jak ją poprawić, a żony niewypędzić. Ku wieczorowi posunął się na gniazdo strącił samiczkę i opanował łoże małżeńskie. Zawstydzona boćkowa odleciała na godzinę, a wróciwszy siadła na tem miejscu gdzie samiec pierwéj przesiadywał. Słońce zaszło, nie mogłem go zatrzymać jak Jozue, miałem w gniazdo wlepione oczy; noc zaszła; trzeba było obserwatorium opuścić i przykro mi wyznać że nie wiem, co w tym mocno popsutym stosunku małżeńskim w czasie nocy zaszło. Drugiego dnia obudziło mnie kłapanie, i gdy na ganek wyszedłem, zobaczyłem pod stodołą cztery rozbite jaja, w których już były zarodki, a bocianów para siedziała obok siebie na gnieździe;— on z wyniosłą szyją wysoko na nogach stojąc, ona na samym brzegu, skulona i spuszczoną głową. Musiałem to pojednanie opuścić, a gdy po kilku dniach, jeżeli się nie mylę siedmiu, powróciłem, zastałem ją siedzącą, a jego donoszącego materyały do poprawy gniazda. Wysłałem chłopca zobaczyć, który mi powiedział: że cztery jaja tam leżą. Zdaje się że boćkowa nie mało miała powabu, a on poczciwy i od tylu lat do niéj przyzwyczajony, przebaczył, a resztę dokonała słabość boćkowa.

Wszystkim niemieckim ornitologom następujący wypadek jest znany i każdy z nas o téj parze ciekawéj wiedział: Niedaleko Erfurtu, na zamku Gebesee, od lat dwudziestu para bocianów na wieży się gnieździła, co roku o to, jak się zdaje nader wygodne gniazdo, krwa-

we walki toczyły obce bociany, a przecie właściciele dawni w posiadaniu się utrzymali; tak te bociany mieszkańców zajęły, że w niektórych wioskach strzelano do napastników, aby ich odstraszyć. (*) Roku 1838 obcy samiec konkurował przez dwa tygodnie, niezważając że samiec w domu, a co więcéj w zgodzie z samiczką; obcy tysiączne usługi oddawał, chętnie szturchnięcie od męża wytrzymywał, i obrał sobie siedzibę na drugiéj wieżyczce, męża gonił i harcował, a gdy ten na żerowisko poleciał, on do samiczki w konkury lub za nim na pole i tam go prześladował. Sprzykrzyło się to staremu: wyzwał boćka birbanta, natarł na niego, pogromił, i wróciwszy do samiczki, zakłapał na znak zwycięztwa; poczém napuszył pierze, schował dziób pod skrzydła, i na wypoczynek podrzymał sobie spokojnie. Prawda, że takie postępowanie, żadną samiczkę zadowolnić nie może, — daléj, że nic więcéj boćkowéj tak nie drażni, jak zmęczenie męża, ale cóż się stało? Tu zaiste tyloletni związek w obec całego Erfurtu, tyloletnie przyzwyczajenie, zresztą wierność ta wrodzona cnota ptasiemu rodowi, to wszystko powinno było wywołać inne postępowanie boćkowéj!... Gdy tak na jednéj nodze z głową schowáną bocian sobie na gnieździe drzymał, przyleciał zalotnik, pokrążył nad nim chwilkę, nareszcie pędem strzały spuścił się na niego i utopił dziób cały w jego ciele. Nieszczęśliwy małżonek spadł z wieży bez znaku życia; zaniesiono go do zamku, lecz nie było ratunku, więc go wypchano i stoi na szafie z kartką na któréj opis téj krwawéj sceny, dzień i rok tego ciekawego zdarzenia, na dowód, do jakiego stopnia namiętności w ptakach wyrodzić się mogą. Lecz cóż się z samiczką zrobiło? każdy chciwie pyta: Pogardy godna boćkowa, tego samego dnia przyjęła do gniazda mor-

(*) O téj parze bocianow co roku obszerne raporta są drukowane. (P. A.)

dercę i widziano pieszczącą go, oczywiście była z nim w porozumieniu, bo jéj się stary drzymiący sprzykrzył. Tak to odwaga zawsze, a lekkomyślność często samiczki zdobywa. I dalsza historya tego romansu niemniéj ciekawa. Zdobywca niewyrzucił jaj już zapłodzonych pałał miłością platoniczną lato całe; pomagał sumiennie do wychowania piskląt swéj ukochanéj, z niemi poszedł na wędrówkę, i zdaje się, że dopiero roku drugiego wynadgrodzonym został.

Dużo mam bardzo zapisanych i zebranych zdarzeń podobnych tym, co wyżéj opisałem, wszystkie przedstawiają w podobném świetle boćkowe, a że już niejednę burę wytrzymałem *za te rażące szkice*, (bo uderz w stół, a nożyce się odezwą), więc już nie mam śmiałości dalszych faktów opisywać, i z innéj beczki utoczę trochę płynu ornitologicznego. Zresztą jest jeszcze wiele ciekawych stron pożycia małżeńskiego rzeczywiście zajmujących, bo niemal w każdéj parze coś innego a zawsze uwagi godnego, lecz choć to się codzień odbywa, ja wolę ciemność nocy na to rzucić, i pokryć milczeniem, bo to *scripta manent*, i drukowana myśl zawsze więcéj razi jak szepnięta do ucha z tym uśmiechem, co przebaczenie wywołuje; zatem nie powiem, a czuję że ciekawość wzbudziłem, bo ja sam oczów oderwać nie mogłem. U jednych zadowolnienie rozkoszne, u drugich zmęczenie i smutek, u innych swawola radosna, tu żądanie despotyczne, gdyby sułtana w haremie, tam czuta nieśmiałość. No, no, już dosyć o tém, jeszcze się kto domyśli, i ja się wstydzić będę musiał, bo to nie każdy z czytelników ze stanowiska naturalisty na podobne zdarzenia się zapatruje.

Na wiosnę roku 1848 przyleciała do mnie znana mi od wielu lat parka bocianów i opanowała swe gniazdo, ta sama, któréj roku przeszłego burza zrzuciła część gniazda, roztłukła dwa jaja zasiedziane i zabiła dwoje

piskląt. Smutne były ptaki, i w melancholii pogrążone, siedząc lub stojąc koło siebie dnie i nocy spędzały nie troszcząc się o świat, bo świat zamknęły w tém nieszczęściu; a przytem tak się czule kochały, tak miłośnie pieściły, tak zawsze do siebie się tuliły; zawsze razem na żér leciały, zawsze razem powracały, a zawsze smutne i w milczeniu, ani razu jednego kłapania nie słyszałem. W tém pożyciu ciekawém i tak odrębném minął miesiąc Maj; boćkowa wprawdzie czasem siedziała dzień cały, lecz nie dosyć na wysiedzenie jaj, przekonałem się późniéj, że gniazdo było próżne. — Z pewną kokieteryą wyrestaurowali gniazdo, ubrali świeżemi materyałami i tak przeżyli ten rok żałoby do odlotu, nieznosząc jaj, w r. zaś 1849 głośném kłapaniem *oznajmił mi bociek, że jest ojcem.* Niejeden się uśmiechnie, że to mrzonka méj wyobraźni; lecz niech wierzy, iż w ptakach każdy badacz przyrody spostrzeże wady i cnoty ludzkie, systematyczność i organizacyą, widzieć musi zbrodnie, namiętności i poświęcenie. Jeżeli to nazwać chcemy przyjętym wyrazem *instynktu* zaiste wtedy posiadają go więcéj te ptaki jak ssące zwierzęta niewykluczając i nasze domowe, w które tyle naszéj intelligencyi przez długoletnią pracę, przelaliśmy. Niemal corocznie robię nowe odkrycia, z których wiele wytłómaczyć sobie nie umiem i wyznać muszę, że każda niemal para ma swoje odrębne zwyczaje i obyczaje, każda żyje na swoją stopę, poddając swe życie ogólnym prawidłom naznaczonym przez przyrodę o tyle tylko, o ile ego wymaga utrzymanie czystéj rasy, obowiązki lęgu, wyżywienia i wędrówek. Zawsze uważałem większą część ornitologów i zoologów jako bibliotekarzy boskich, którzy żyjątka stworzone w katalogu spisali, podzielili na rzędy, rodzaje i gatunki, niezważając jak na kształty zewnętrzne i myślą ubodzy, że dopełnili swoich obowiązków. Bóg stworzył człowieka z duszą nieśmiertelną

z czuciem i rozumem, po nim stworzył zwierzęta, czyż one tak daleko od niego stoją? — O nie, zwierze myśli, czuje, i pamięta, o tém się każdy przekona, który cicho cierpliwie, a z wytrwałością zasłonę zciąga z tajemnego życia zwierząt. Jedno życie badacza, choćby najdłuższe, nie wystarczy do odkrycia wielu tajemnic, a następca jego często nie wierzy, innem okiem na świat patrzy, za podstawę badań bierze ściśle naukowe dzieła i w swéj pracowni, otoczony preparowanemi egzemplarzami i zakurzonemi książkami, bada cudną przyrodę! On dokładnie wiedzieć będzie jaki skład kości, on pozna sieć żył i ścięgaczy, na pamięć znać będzie rozmiary i proporcye, lecz znaż on dzieła Stwórcy? czy on zbadał doskonałość stworzeń, nieznając ich życia skrytego? On bada przyrodę na podstawie dzieł człowieka i mniema, że wypełnia obowiązki kapłana natury! O Boże, gdybyś był ludzi natchnął, aby dziedzicznie syn za ojcem w ślady badania stąpał, jak na tron królowie, ażebyś tym wszystkim dał dobrą wiarę w przeszłość sumiennéj nauki, o jakże głęboko bylibyśmy już w tajniki Twych cudów zajrzeli, jak kornie byśmy podziwiali ogrom Twych dzieł i ich doskonałość. — Ale prawda, tu nie o to chodzi, moje jeremiady nie na swojém miejscu, miłość własna a zarozumienie, to hamulce które Ty Boże, — może założyłeś człowiekowi, to pęta, które krępują myśl naszą, abyśmy nie wszyscy w Twe tajemnice wzrok utopili, lecz Ty Boże znajdziesz ludzi Twoich wybranych, którzy pomału światu głosić będą wielkość i nieskończoność Twych dzieł. I tak pewnie dobrze będzie, kiedyś tak zrządził, bo dziś świat w kajdanach materyalnych ślepy i bez wiary, wyrzekłby: To mrzonki chorobliwéj wyobraźni, to nienaturalna ekscytacya, gdzież bo można znaleść czucie, rozum, pamięć w zwierzęciu? Nowa szkoła przecie nakazuje ujarzmić przyrodę, zpożyć co tylko pożyć się da, a co człowie-

kowi pożytku nie przynosi, kopnąć z pogardą. Zaiste niestworzony jestem pisać do druku, ja z wami marzę, dumam i gawędzę jak z samym sobą, a mnie uczyli że dla czcionek to każda myśl musi być ulana jak z formy, i poprawna, aby zniosła krytykę. Lecz ja się krytyki tak straszliwie nie boję; — jednych znudzę, to mnie czytać nie będą; drudzy wiedzieć będą, że ja Boga w pokorze chwalę i podziwiam Jego dzieła, a co z tajemnic mi ukazanych odkryję, to powiem z szczerością bo ja żadnéj zasługi nie mam, że przyroda mi czasami zasłonę uchyli. Można wierzyć, że bociany moje nad stratą prawie rok cały bolały, lub nie, lecz inaczéj to zdarzenie tłomaczyć nie można jak boleścią lub przezornością — czy znowu gniazdo niespadnie.

W Krakowskiem nad Wisłą roku 1849 gdzie z uczynności dziedzica często za ptakami i gniazdami chodzić mogłem, błąkała się para młodych bocianów przez cały kwiecień, szukając drzewa dogodnego do słania gniazda. Leśny, mój wielki faworyt, miał bowiem iskierkę badawczego ducha i niepohamowaną ciekawość do odkryć w moim zawodzie, opisywał mi tę niespokojność parki bocianów. Po dokładném wyindagowaniu pokazało się, że przed laty na jednym dębie było gniazdo, zdecydowaliśmy tam przymocować koło, i szczęśliwa to była myśl, gdyż zaraz na drugi dzień opanowały bociany to drzewo, wybudowały na niém obszerne gniazdo i były przyczyną niejednéj miłéj chwili, którą w obec ich gniazda przeżyłem. Ciekawe moje lube boćki, jakże oni się czule kochali, jak niewinnie pieścili, z jakim to rozumem to gniazdo wyścielali i powiększali, a to li w myśli przezornéj roku przyszłego, bo w tym roku nieznosiła boćkowa jaj i w czystem małżeństwie lato całe spędzili. Czy tu nie trzeba podziwiać uszanowania dla praw natury, a i myśli o przyszłości!...

Wiele bocianów w bezżenności pozostaje, czego niezawsze jakiém nieszczęściem w pożyciu małżeńskiem tłómaczyć można. Na przykład w roku 1849 przyleciało do mego lasku olszowego w Bocheńskiem, stadko złożone z sześciu bocianów, które całe lato tam pozostało, i dopiero w sierpniu z gromadami przybyłemi bocianów w podróż się udało; roku zaś 1850 już do mnie nie wróciło. Jakżeż mnie zajmowały te bociany przez miesięcy trzy; ileż to godzin w różnych chwilach dnia spędziłem na badaniu ich życia, ileż razy już strzelić miałem, aby się przekonać, czy tam samiczki między niemi się znajdują i nigdy niemiałem na to odwagi; słyszałem zawsze ten wewnętrzny głos, który się słyszy przed niedobrym uczynkiem, i nie strzeliłem, i niemam tego zapewnienia tak mi potrzebnego do rozwiązania téj wątpliwości; żałuję że jednego nie ubiłem, a czuję, że i dziś bym téj zbrodni nie popełnił. Oj posądzam, że były dwie samiczki, bo spostrzegłem nieraz pieszczoty, a przyjaźń i towarzystwo pieszczot nie wymagają. Ci kawalerowie, wdowcy, lub co oni tam byli, zawsze się razem trzymali, na jedném drzewie czasem sypiali, a razy kilka widziałem ich wieczór rzędem siedzących na jednéj gałęzi, jak naszpikowane ptaki, innych wieczorów po dwa lub trzy razem lub zawsze w bliskości i w tych wieczorach u parek *a parte* trzymających widziałem czyli spostrzegłem ruchy, których u dwóch samców razem siedzących nigdy nieuważałem, dla tego myślę że tam samiczki były.

Tak się te ptaki ze mną oswoiły, że kiedy przed kosarzami ulatywały, ja z wyżłem i strzelbą do nich blisko przychodziłem. One mnie dużo nauczyły, i z niemi przebyłem zajmujące lato. Pewnie się niedziwicie że ja kocham i szanuję te słowiańskie ptaki, że tak pragnę aby moi rodacy równie je szanowali. W drugiéj połowie sierpnia nadleciały bociany, krążyły nad olszyną, moje

boćki się wzniosły, z przybyszami pomięszały, aż mi przykro było, odleciały na błonia daleko, wróciły jeszcze do téj zaciszy leśnéj, zakłapały chórem, — jak na moje pożegnanie, i drugiego dnia pustym zastałem mój lasek i smutny wróciłem do domu, bo to byli moi trzechmiesięczni towarzysze, których w świecie niespotkam!

Na tém skończę me ramotki o bocianach, bo wiele spostrzeżeń drukować nie można, wielombyście nieuwierzyli, a nareszcie to dla ogółu dosyć pewnie, gdyż dotąd nikt u nas o bocianie dziesięciu arkuszy niezapełnił. O innych więc ptakach daléj w *Dodatku* pisać będę, a może Bóg dozwoli, że Was przekonam, iż ptaki *czują, myślą i pamiętają.*

Olejów, 4go Grudnia 1857.

Kazimierz Wodzicki.

# ROCZNIKI
## do dziejów PODTATRZA i SPIZA
**z lat 1680 — 1748**

spisane

**przez XX. Jana i Stanisława Owsińskich,**
*Proboszczów Jazowska*

wydał

JÓZEF JERZMANOWSKI.

---

W roku 1849 zwiedzając pełne cudów przyrody Podtatrze, we wsi Jazowsku o niespełna milę oddalonéj od Starego Sącza, zdarzyło mi się znaleść metryki kościelne w ten sposób spisane: że po każdym roku podano w rodzaju wspomnień wypadki, zdarzone w okolicy i kraju. Przepisałem tedy te pamiętniki, a gdy się je opisywało, *) nazwałem: *Rocznikami Jazowskiemi.* Śledząc w aktach fary Jazowskiéj, doszedłem: iż Roczni-

---

*) Ułamek z podróży arch. po Galicyi — Bibl. Warsz. poszyt 116 i 117. —

ki te dwóch miały autorów; — i tak ksiądz Jan Owsiński urodzony 1667 r. w Jazowsku, kształcił się w Krakowie, a wyświęcony na kapłana 1690 r. przybył do wsi rodzinnéj na wikaryusza przy plebanie X. Muszalskim, po którego śmierci objął probostwo w r. 1696.— Zacny ten i prawdziwie świętéj pamięci kapłan, rozpoczął budowę dziś istniejącego murowanego kościoła, który sprzętem opatrzył, i własnym majątkiem uposażył. Cnoty X. Jana Owsińskiego zjednały mu łaskę władzy duchownéj o tyle, iż mu pod koniec życia dodano drugie sąsiednie beneficyum w Przyszowéj. Po 36 latach zasług dla kościoła, umarł nasz pasterz 1727 r. 7 lutego w Jazowsku, gdzie go też w grobach kościelnych pochowano. Po nim objął probostwo dotychczasowy wikaryusz i bratanek zmarłego X. Stanisław Owsiński, który ukończył budowę kościoła, i znowu majątek swój na duchowne potrzeby parafijan obrócił. X. Stanisław Owsiński pełniąc 21 lat obowiązki kapłańskie w Jazowsku, przypadkiem jadąc konno przez wezbraną górską rzekę Ochotnicę, utonął r. 1746. Po obu tych proboszczach została w metrykach Jazowskich kronika, którą teraz wydaję. X. Jan Owsiński rozpoczął zapiski od r. 1680, i dociągnął je do r. 1726; — odtąd do r. 1746 prowadzi je X. Stanisław Owsiński; — wreszcie dwa ostatnie lata po r. 1748, inna zapisała ręka. Cała tedy kroniczka przedstawia dzieje okolicy w przebiegu lat 68; — ogranicza się na podaniu zdarzeń zaszłych w Podtatrzu i pogranicznym Spiżu. **) Obaj poczciwi kronikarze o ile z całą staropolską szczérością i wiarą

---

**) Miejsca, o których wzmianki przychodzą w Rocznikach, jako: Szlachtowa, Obidza (góra) Jaworki, Szczawnica, Słopotnica (rzeka), Golkowice, Podegrodzie, Mostki, Kadcza, Myślec, Krościenko, Limanowa, Zawadka, Kanina, Stronie, Jodłownik, Dąbrówka. Barcice, Piwniczna, Tylmanowa, Moszczanica, Ochotnica, Przysietnica, Skru-

(jakiéj dziś między nami i cienia nie dojrzysz) spisują każdy wypadek zaszły w sąsiednich wioskach; o tyle znów mniéj znane im to co zaszło w Koronie i Litwie. Wydaję tedy roczniki owe dla ich miejscowéj wartości, opuściwszy to co między r. 1680—1706 z dziejów krajowych w nich podane znalazłem, nie biorąc zresztą na siebie odpowiedzialności za sąd kronikarza o ludziach i faktach. — Czyny Lubomirskich Starostów Spiskich i Sądeckich, może za jaskrawo wystawione, przechody wojsk koronnych, Szwedzkich, Saskich i Moskwy;— rozboje, (te konieczne następstwa wojen) mory, głody, ważne *breve* papiezkie, dzieje domowe, oto przedmiot zapisek; które stylem, rzeczą i tonem opowiadania, na publikacyą zasługują. Gospodarskich też wiadomości o cenach i urodzajach nie opuszczam, bo sądzę: że się przydadzą komu, co kiedy pomyśli o napisaniu historyi krajowego rolnictwa. — Tuszę sobie, że wydaniem tych zapisek robię posługę, są bowiem żywym obrazkiem z przeszłości; a miłość ku ludziom i wiara, świecą w nich tak jasno, że może i nauczą niejednego, jak przodkowie nasi umieli znosić krzywdy i zgadzać się z wolą Opatrzności.

---

dzień, Gaboń, Łącko, Nowy Targ, Czorsztyn. Maszkowice, Łukawica, Poręba, Młynczyska, Muszyna, Kamienica, Olszana, Pisarzowa, Męcina, Jadowola i Tylicz, znajdziesz w cyrkule dzisiejszym Sandeckim w kilkumilowym promieniu od Jazowska. Lewocza, Lubownia, Nowa Wieś (Neu Dorf), (Iglo po węgiersku). Gniazdo, (Gnesen) leżą na Spiżu.—

Anno domini 1680 die 28 decembris in festa SSorum Innocentium, pokazał się kometa na niebie na zachód słońca niesłychanéj wielkości; to jest, była takowa widziana gwiazda, od któréj promień jasny ku górze nieba zbyt długi rozciągał się; trwało to każdego wieczora najmniéj przez półtora miesiąca.

Anno domini 1695 prawie po całym kraju tutecznym górskim, myszy zboże w polach pozjadały tak dalece że i słomę na trociny poobracały, zkąd potem był rok drogi.

A. d. 1699 dnia 23 septembris przed południem na półtory godziny, było wielkie zaćmienie słońca, trwające przez półtrzecia godziny, na co patrzeć było z wielkim strachem.

A. d. 1701 Georgius Albrechtus Denhoff Cancellarius Regni et Episcopus Premislensis, obrany jest biskupem Krakowskim.

Rok ten był b rdzo na zboże drogi, tak dalece, że wiertel żyta płacono po dziesięć złotych [1], jęczmień po złotych ośm.

A. d. 1703 die 16 decembris wielki i straszny przez noc i przez dzień wicher, który nietylko drzewa po lasach, domów po wsiach wiele naobalawszy, w Krakowie na Zamku wieżę zegarową obalił; która padając ku ziemi, padła na kościół zamkowy, gdzie nietylko dach kościelny, ale téż i sklepienie kościelne niedaleko grobu ś. Stanisława przebiła.

A. d. 1705 Przypadła uroczystość ś. Macieja w zapustni wtorek, do któregośmy pościli wilią w poniedziałek

---

[1]) Złoty ówczesny wynosił wedle stopy 1786 r. Złotych 2 gr. 8. (Przyp. wydawcy).

zapustny. Toż się stało było anno 1700, żeśmy we wtorek zapustny pościli wilią do ś. Macieja, którego była przypadła uroczystość w stępną środę — a to dla tego, że natenczas Biskupa nie mieliśmy, któryby był przeniósł wilią z postem na sobotę zapustnią, jako przeniósł był anno 1694 Joannes Małachowski Biskup Krakowski w swojéj dyecezyi, gdzie się trafiło było także ś. Macieja w wstępną środę, a zaś wilia we wtorek. Tę my tedy natenczas roku pomienionego w zapustną sobotę pościli.

Anno eodem, powietrze rozszerzone ze Lwowa przez cały rok w Polszcze naszéj trwa, osobliwie w *Tarnowie*, w *Staszowie*, w *Łancucie*, około *Jarosławia*, we wsiach i miasteczkach nie przestawa.

Roku tego Szwedzi będący w Polscze utrapionéj, nie tylko ludziom świeckim, ale téż i duchownym, osobliwie plebanom, rozkazują dawać z każdego dymu wiele ich ma który we swojéj parochiej (to jest domów albo chałup pod swoją jurysdykcyą duchowną) po jednym tynfie [2]). Cóśmy radzi nieradzi musieli czynić ubodzy plebani — oddawać co nakazano, bo nietylko palety, ale też i exekucye Szwedzkie na to po plebaniach chodziły.

A. d. 1706. Rok ten był bardzo suchy i nieurodzajny dla wielkiego sucha, bo cale mało bez rok deszcza było.

Roku tego Kozacy *mense Januario* przybyli w Podgórze, a to na Jaśnie Oświec. Teodora Lubomirskiego [3]) Starostę Spiskiego, natenczas na *Lubowni* mieszkającego byli sprowadzeni, ktory to pomieniony Jaśnie Oświecony Pan Starosta Spiski, albo raczéj Jaśnie Oświecone Książę, (gdyż się tak książęciem nad wszystkich innych Jaśnie Wielmożnych Panów Lubomirskich kazał

---

[2]) Znączył około Złp. 1 gr. 8 dzisiejszych

[3]) Był to syn owego Seneki polskiego Stanisława Lubomirskiego Marsz. koron.

pisać i nazywać) nie tylko w tych tu krajach Podgórskich trzymając *partem Sueticam* przez swoje opressye ubogim ludziom zadane, wielkiém zdzierstwem, głosu, płaczu i pomsty przenikającéj do nieba o ratunek, od ubogich ludzi przez lat dwie, wiele pozaciągał; ale téż i Najjaśniejszemu Królowi Augustowi wielce był przeciwny. Dla tego tedy na większą ubogich ludzi biedę, Kozaków na zniesienie go w ten kraj zaprowadzili. Na których Kozaków gdy stanęli w *Starym Sądczu, in dominica septuagesimae,* zaraz tego dnia, to jest 31 Januarii, w nocy o jedenastéj godzinie sprowadził swoich żołnierzów, niespodziewanym sposobem z *Lubownie,* ażeby ich zwojowali. Aleć inaczéj się stało, kiedy Kozacy nie spodziewawszy się najazdu dali spiskim odpór i wiktoryą z nich otrzymali. Zginęło Spiskich ludzi w téjże okazyi 20, z których u OO. Franciszkanów w *Starym Sądczu* pogrzebiono 13. U ś. Rocha 7. Kozaków zaś zginęło 8, którzy wszyscy u Fary w *Starym Sądczu* leżą.

Roku tegoż ludzie Najjaśniejszego króla Augusta wtargnęli na Spiż, gdzie wielkie kontrybucye z ubogich ludzi wybierali, i zamek Lubowieński odebrali, przed którymi się Jaśnie Oświecone Książę Teodor Lubomirski umknął na mieszkanie do *Nowéj Wsi.* A potem gdy *primis diebus Augusti* ruszył od *Nowéj Wsi* (swojego miasta Spiskiego) tam obległ zamek Lubowieński z ludźmi Saskimi, to jest z ludźmi królewskiemi Najjaśniejszego króla Augusta. — A gdy trochę od oblężenia ustąpił, ludzie Sascy to jest królewscy wyszli z zamku, zapaliwszy go wprzódy niźli wyszli z niego, i *Gniazdo,* miasto także przy tém wyjściu i przy zamku spalili.— To spalenie zamku Lubowieńskiego było 15 Augusti, i *Gniazdo,* także 15 Augusti spalone. Wodzem tych ludzi Saskich, *alias* królewskich był Jego Mść Pan Jakób Rybiński, który zrobiwszy tę robotę w *Gniazdzie* i w zam-

ku na *Lubowni*, uchodził przez góry tędy na *Ślachtową*, a potem zrana 17 Augusti przez naszę *Obidzą* ku Krakowu. — Tego gdy Jaś. Ośw. Książę Jego Mość Pan Starosta Spiski nagonił ludzi pieszych z *Szlachtowéj* dobrze go pogromił. Tamże zaraz w *Szlachtowéj* zabili Spiscy J. O. książęcia ludzie, królewzkich ludzi 15tu, gdzie też są na *Ślachtowéj* pogrzebieni. Jtem zabili na *Jaworkach* dwóch, gdzie pod Bożą Męką są pogrzebieni. *Item* zabili od *Sczawnic* w lasach na rzece *Słopotnicy*, aż niedaleko granic Jazowskich w górę uciekających 13tu, i ci z téj strony *Szczawnic* od *Jazowska* za wsią w jednym dole są pogrzebieni. Ostatek konnych uchodzili gdzie mogli, których gdy Książę Jego Mość gonił uchodzących przez naszę *Obidzą*, stanąwszy u wody pod karczmą Obidzką, spoczywał aż do wieczora od dziewiątéj godziny z przed południa. O którym spoczynku ubodzy ludzie wiedzieć musieli. Z tamtąd wieczorem ruszył do *Starego Miasta* [4]), gdzie przenocował. — Pozajutrz że Ich Mość Panny Zakonne, niechciały jegoż kapelanów do klasztoru puścić na Mszą śtą, kazał Ich Mościom konie na paszy w *Golkowicach* pozabierać; tak i w *Podegrodziu* niektórym chłopom uczynić. — A 24 Augusti zesławszy nocą żołnierzów do *Kadcze* i do *Golkowic*, woły, krowy i insze jałowe bydło kazał pozajmować. Na co potem cały konwent składkę uczynił, i tak wszystko to bydło powykupowali na *Lubowni*. [5]). —

1707. Rok teraźniejszy był z wiosny bardzo suchy, tak dalece iż przez wiosnę i bez przednowek, ledwie dwa, albo trzy razy po trosze na ziemię deszcza spadło.

---

[4]) *Starego Sącza.*

[5]) **Otwinowski w pamiętnikach do panowania Augusta IIgo (Kraków 1849 str. 91—97) podaje te fakta z nieprzychylnością ku Lubomirskiemu. (Przyp. Wydaw).**

Dla czego z wiosny nie tylko zboża siane powysychały, ale też drugie i nie powschodziły — którego wyschnienia dostało się i zbożom ozimym przy górach będącym, gdzie cale i trawy od wielkiéj suchości tak dalece powysychały, że bydło nie miało co jeść, i kosą nie było w łąkach co na siano uciąć. Dla czego wszędzie był nieurodzaj wielki, osobliwie z téj strony *Dunajca*. A zaś lato i cała jesień była bardzo mokra, tak, że jako w lecie zbierać urodzaj z pola, tak w jesieni siać na zimę była rzecz trudna, na chwałę Panu Bogu.

Roku tegoż w dzień świętéj Maryi Magdaleny niespodzianie o piątéj godzinie z południa napadł wielki wicher, *alias* wiatr, który podobno w całym świecie szkody w domach, we zbożach, w sadach, wiela na robił.

Roku tego w mięsopusty, *in mense Februario* Jaśnie Oświecone książę Jego Mć Pan Teodor Lubomirski Starosta Spiski, wydał ordynans do *Jazowska*, ażeby Gromada Jazowska koniecznie na jego żołnierzów złożyła *tysiąc złotych*, na co zesłał po exekutnéj Chorągiew wołoską żołnierzy; musieli tedy radzi nie radzi ludzie ubodzy, za uproszeniem Jego Mci Pana Dzierżawce, to jest Jego Mci Pana Hieronima Sęndzimiera złożyć tylko złotych sześć set, i oddać ich niewiedzieć za co pomienionemu zwyż książęciu pod pretextem jakiegoś długu zaciągnionego w *Kunegundzie* (to jest w Żupie wielickiéj) upominano się tychże pieniędzy.

Roku tego nie tylko w Polscze, ale i u nas w górach zacząwszy od Mięsopust aż do samego święta ś. Jakóba (25 lipca), żołnierze Moskiewscy, *alias* Moskwa panowali. Czar Moskiewski mieszkał in *visceribus Regni*, to jest w Lublinie, w Warszawie etc. Jego zaś namiestnicy osobliwie tu w górach mieszkali w Krakowie, na Wiśniczu etc, — gdzie im nie tylko gromada Jazowska, ale i wszystkie tutejsze *circum circa* w górach wsi położone, i któregokolwiek Pana. będące, prowiant

wozić musieli. — Byli oni i w *Szlachtowéj* i w *Krościenku* etc. etc.— Mnie samego ubogiego Plebana przez ten czas kosztują swojem nawiedzaniem, i w różnych podarunkach na złotych 50. Szukając u nich łaski i pokoju, musiałem im na Wiśnicz swoim wozem (prawda gromadzkiém bydłem) mojego własnego siana zaprowadzić jednę furę.

Roku tego *ultimis diebus Augusti*, zaczęło się w Krakowie wielkie powietrze morowe [6]), którym powietrzem jako słychać było za pewne, *ad finem ejusdem anni* wymarło w samém Krakowie z przedmieściami ludzi dziesięć tysięcy. Toż powietrze nie tylko w Krakowie panowało, ale też i *circum* Krakowa *circa* roku tegóż po różnych miejscach rozniosło się. Czego Panie Boże na przyszły nowy rok racz zachować [7]).

---

[6]) W sobotę po ś. Bartłomieju, (mówi Otwinowski str. 123) jest to 27 sierpnia.

[7]) Z przyczyny tego powietrza które tak srogo dotknęło Kraków, wyszła współcześnie broszura pod napisem: *„Metropolis Regni Poloniarum Cracovia* etc.“ przypisana Burmistrzowi i Radzie Miasta Krakowa. Wedle tego sprawozdania powietrze rozpoczęło się w Krakowie 26 sierpnia 1707 r., o czém Woźni miejscy przy odgłosie trąb donieśli ludowi. Biskup chełmiński Kazimierz Łubiński Adm. bisk. krak. zalecił duchowieństwu nabożeństwa, processye i suplikacye, które rozpoczęły się na Piasku przed obrazem N. M. Panny d. 29 sierpnia. Michał Behm zastępca burmistrza, miał sobie poruczoną opiekę nad środkami bezpieczeństwa w zapowietrzoném mieście. Zaraz też czcigodny Rajca, poświęcił znaczną część własnego majątku, i składki zebrane przez Biskupa, Kapitułę i Panów; na zbudowanie Szpitala nad brzegami Wisły; aby chorych z miasta usunąć. — Mnóstwo ludności wyniosło się z Krakowa — Akademia została zamkniętą — Sądy zawieszone — handle wzbronione, Biskup i Lochman archiprezb. kościoła P. Maryi, zaopatrywali umierajacych śś. Sakramentami. Przy wzmagającém się powietrzu, zakazano wychodzić z domów — wojsko wyprawiano za miasto — Kościoły zamknięto, mimo że prawie gwałtem trzeba było rozpędzać modlących się przed obrazami. Straż miejska nie mogła zdążyć w zbieraniu trupów po ulicach. Wtedy zawieszono

1708. Rok ten teraźniejszy 1708, był urodzajny w zbożą, ale nie plenio bardzo było. Sady dobrze i obfito zrodziły, — owoców różnych było dosyć, z łaski Boga Najwyższego. Jesień była tak dalece sucha, że ludzie i ja sam na zimę siać nie mogli; dla wielkiego sucha niepodobna było i w ziemię pługiem zawadzić; deszcza nic nie było w jesieni, aż skoro śnieg spadł, ziemię rozwilżył, dopiero w tenczas siali, orali, co kto mógł.

Roku tego powietrze morowe, nie tylko w Krakowie, ale i w Wielkiéj Polsce, w Mazowszach, w Warszawie *circum circa* Warszawy, w Sandomierzu etc. etc. etc. wielkie panowało, w którém powietrzu ludzie szaleli, jeden drugiego człek człeka na potkaniu zębami kąsali i okrutnie rozdzierali (?!). Powietrzem w tymże roku umarło w *Limanowéj* ludzi 75, — na *Kaninie* i z księdzem Plebanem umarło ludzi także powietrzem 33. W *Stroniu* umarło ludzi 7. W inszych miejscach i wsiach tu koło nas bliskich, z łaski Boga Najwyższego i w górach nie było powietrza, za co niech będzie Bogu wieczna chwała; tylko to na *Kaninie*, w *Stroniu*, w *Limanowéj*, w *Jodłowniku* etc.

Roku tego nie ustały niezgody między Panami Polskiemi; płaczu, zdzierstwa było między ludźmi wiele. Jedna część Polaków i Litwa, Wielkopolanie, trzymali stronę króla Stanisława, insi zaś trzymali stronę przy Hetmanie Wielkim koronnym, przy Sieniawskim; który dotąd ze swoją partyą adherentów swoich niechciał przyznać i przyjąć króla Stanisława za króla. — Toż trzymało przy Hetmanie i wszystko wojsko kwarciane.

dotąd czczony obraz N. M. Panny na zewnętrznéj stronie farnego kościoła, pod którego opiekę tak tłumnie garnął się lud podczas ostatniéj cholery (1855). Wreszcie 1 kwietnia 1709 r, odprawiono dziękczynne nabożeństwa, za odwrócenie téj srogiéj kary Bożéj. Wedle obliczeń Rajców wymarło w mieście 7223 ludzi, na przedmieściach i Żydów 12,047 razem 19,270, prócz niepochowanych i w drodze zmarłych. (Przyp. Wydawcy).

Roku tego postąpił wyżéj w niemiłosierném zdzierstwie i w bezbożnéj exakcyéj na gromadę Jazowską, książę (podobno piekielnych ciemności) Teodor Lubomirski Starosta Spiski. Kiedy tak rok rozkazał Gromadzie Jazowskiéj wydać do swojego skarbu tysiąc jeden złotych, tego roku już trzy tysiące rozkazał wydać także do skarbu swojego, na co exekucyą żołnierzów swoich przysłał. Aleć nie wziął tylko złotych 400, bo nie było zkąd co brać. Tegoż Jego Mci książęcia Spiskiego Starosty żołnierze przez cały rok mieli stanowisko w *Jazowsku* nieustające. Odmieniali się oni wprawdzie, bo coraz to insi byli, ale ubogiéj Gromadzie kiedy by na jeden tydzień niebyło żadnego ulżenia, zawsze musieli dawać ni za co po złotych 35 przy obroku i przy sienie dawała Gromada na tydzień; bo ich tak na pieniądze zjednali byli, żeby im jeść nie dawać. Owsa na tydzień po pięć wierteli dawali, siana co potrzeba. Aleć panowie żołnierze wziąwszy pieniądze woleli ich przepić, albo też schować, za nie się nie strawować, a ty panie Gospodarzu daj jeść, u kogo stali gospodą. Czasem dawali i więcéj pieniędzy i wszystkiego niżelim napisał, czasem też i mniéj, jak się trafiło.

1709. Rok ten szczęśliwie się zaczął, daj Boże, żeby się także szczęśliwie skończył, bo za łaską Bożą powietrze morowe ustało, za co niech będzie Bogu wieczna chwała! — Aleć kiedy utrapienia dla nieszczęsnych Panów i żołnierzów ich, między ubogimi ludźmi nie ustały. Osobliwie w *Jazowsku*, kędy już na ostatnią ruinę cała Gromada przyszła, pustek wiele narobiło się; a to dla tego, że ubogich ludzi nieszczęśni żołnierze wytrawili. Bo roku tego w mięsopusty, nie tylko książęcia piekielnego Starosty Spiskiego Teodora Lubomirskiego zwyczajnie jako bywali, ale też przymięszali się do nich drugiego książęcia czartowskiego, to jest Jerze-

go Lubomirskiego starosty Sądeckiego żołnierze, którzy w niwecz *Jazowsko* obrócili. Bo naprzód siana w górach ubogim ludziom na saniach do Sądcza zabrali; wzięli siana chłopom fur 38. Dworskiego siana także wzięli fur 14, a potém prowianty do *Dąbrówki* pod Sądecz ubodzy ludzie musieli im wozić, brali sobie gwałtem u ubogich ludzi zboże, siano na prowianty; kłódki, komor odbijali. Do tego bez przestanku chorągiew za chorągwią wołoską noclegi odprawowali, gołém ziarnem konie karmiąc i ludzi bijąc. Trafiło się czasem, że i dwojacy i trojacy żołnierze na raz stali we wsi. Byli między nimi Tatarzy, Wołoszy, Lipkowie i insi,— ciż Tatarzy z mięsem żarli przez post. Nigdy w tych czasach nie było od nich pokoju, tylko jednego dnia w poście trafiło się, co cztery godziny były wolne, w których nie było żołnierzów Sądeckich. Ludzie byli bez miłosierdzia, bez uwagi; stali oni i w Plebańskich tych dwóch chałupach, w jednéj w sadzie, w drugiéj na zagrodzie. Nawet i Organiście rozkazywali sobie dawać obroki. Czego przedtém Szwedzi, Moskwa, Sasowie i Kozacy nie czynili tu, to Sądeckiego Starosty czynili. I lubo tak wielkie aggrawacye czynili we wsi Starosty Sądeckiego, przecie jednak i Starosty Spiskiego ludzie z konsystencyéj ze wsi nieustąpili. I ci jedli, i ci jedli, i ci brali, i ci brali — żaden żadnego nie wyparł. Jeden drugiemu zakazywał dawać, a przecie wszyscy jedli i z ludźmi wydziwiali. — Spiżcy mówili: nie dajcie Sądeckim, Sądeccy zaś mówili: nie dajcie Spiskim, a przecie wszyscy darli; bo i Spiscy kiedy im czego nie dodano, ludziom ubogim bydło zajmowali, osobliwie woły. Tak tedy te dwoje książąt (bo się książętami kazali pisać i nazywać) swoimi ludźmi w niwecz Jazowsko obrócili. Co daléj przez rok dziać się będzie sam to Pan Bóg wie, ale nas racz zachować Panie Boże nadal od tego złego. I lubo nas Panowie dziedziczni od-

stąpili, bo księżna Jéj Mość wdowa we Wrocławiu, Syn też jéj Jego Mość Pan Starosta Sędomirski Dominik Lubomirski jeszcze w Paryżu młody, nieratują nas i niedbają o nas *absolute*. Ty sam Boże Wszechmogący z łaski swojéj Najświętszéj nie racz nas opuszczać.

Roku tego w mięsopusty, była ciężka i okropnemi mrozami zbytecznie naprzykrzona zima, bo i wiele ludzi na różnych miejscach, osobliwie we Święto ŚŚ. Trzech Królów, poumarzało. W toż święto i tu w Jazowsku Wòjt umroził się, jadąc z miasta z jarmarku pijany.

*Notandum.* Jerzy Lubomirski Obożny koronny, to jest Starosta Sądecki przeszedł przez Jazowsko 1ma *Martii* ze swoimi żołnierzami ku *Nowemu-Targu*, ztamtąd się przeprawiać będzie na *Orawę* na służbę Cesarzowi przeciwko Węgrom. Żołnierze zaś tego czartowskiego (bo nie godzien tytułu Jaśnie Oświeconego książęcia Obożnego albo raczéj Niezbożnego) Koronnego Starosty Sądeckiego 2da *Martii* ruszyli z Jazowska, i tak też dziś trochę Jazowsko odetchnęło, ale Pan Bóg wie długo tego będzie spoczynku. Spiscy jednak nie ustąpili z Jazowska. Te tytuły dla tego się takowe dały tym książętom dwiema (jako się wyżéj wyraziło któremu jaki tytuł) iż oni obadwa swoimi żołnierzami, których dla swoich przeklętych prywat wiele naprzyjmowali (a nie na żadną usługę Rzeczypospolitéj ani na obronę Wiary Swiętéj ich zaciągali do swego dworu) w niwecz te Podgórskie kraje z konwentem [8]) i z Jazowskiem obrócili. — Samym tylko majętnościom drobnéj szlachty dali pokój, bo się ich bali osobliwie na sejmikach. Niech im tę ruinę Pan Bóg dobrotliwy zapłaci, a ubogich ludzi niechaj pocieszy.

---

[8]) Klasztór P. P. Klarysek w Starym Sączu. Przyp. Wyd.

*Notandum*. Roku tego zacząwszy *a die 17 Martii* jeszcze więcéj do Jazowska przyczynił Spiski Starosta swoich na stanowisko żołnierzów, którym na każdy tydzień, aże *ad ultimos dies Julii* musiała uboga gromada Jazowska składać i dawać po złotych 130, a do tego obroki i insze żywności przykładać. Zkąd dla oppressyéj wielkiéj i uciążliwości niewypowiedzianéj, jeden człek niemogąc wytrzymać, że nie mógł dać na składkę albo na dawkę półtoraków sześć żołnierzowi, niejaki Kazimierz Groński, na *Obidzy* 19 Julii obwieśił się.— A potem *post finitum Julium* wyszli prawda ciż żołnierze z Jazowska, ale się toż książe starosta Spiski włóczył z niemi, i ze wszystką halastrą swoją co ich tylko miał, tu owdzie po Polscze— musieli za niemi prowianty wozić ubodzy ludzie aż do *Myślenic*, najwięcéj i najczęściéj do *Starego Sądcza*. W tenczas wychodził w pole kiedy się nie było z kim bić, a kiedy wojsko jakie nastąpiło, to na *Lubownią* jako smok do jamy. Trwało to włóczenie, aż *ad ultimos dies Novembris*, póki Moskwa na stanowisko nie tylko w całą Polskę, ale i tu w nasze kraje nie przyszła. A potem jak Moskwa nastąpiła, i sam toż książę Spiskie ustąpił do Cesarza na Święta godne, gdzie przebył więcéj niż pięć ćwierci roku.

Roku tego otrzymała Moskwa ze Szwedów *in Junio* (d. 8 Lipca) wielką i prawie niesłychaną wiktoryą, w kozackiéj ziemi pod *Półtawą*, zkąd król Szwedzki nie mogąc wytrzymać uszedł z batalii aż do Tureckiéj ziemi.

Roku tego 18 Decembris z rana o 6téj godzinie *Stary Sądecz* pogorzał, gdzie zgorzało domów *plus vel minus* 60.

Roku tego dał Pan Bóg urodzaj nie bardzo kopny, ale przecie było plenie z łaski Bożéj zboże, za co niech będzie Panu Bogu chwała wieczna.

1710. Roku tego po odjeździe książęcia i Starosty Spiskiego do Cesarza Jego Mci, Wołosza i różni ludzie zaciągu polskiego, tu i owdzie błąkali się po miastach Spiskich, żeby tylko przechowali się, darmo jedząc i pijąc; a nibyto czekając powrotu książęcia Spiskiego, bo byli wszyscy jego, jak się wróci od Cesarza Jego Mci, żeby mu znowu służyli i ludzi ubogich niszczyli. Moskwa wszedłszy na stanowisko na Spiż, zrozumiawszy że to są darmojady, pięknie zaszedłszy do *Nowéj Wsi* i w inszém mieście, poodzierali ich ze wszystkiego, tak z koni, tak z sukien, jako i ze wszystkiego, moderunku wojskowego, nawet i z butów z czapek, ledwie drugich w koszulach puścili boso, a potém wygnali ich jako jakie bydło ze Spiża piechotą. I tak się tem', ta zdzierna a niebitna wojna ludzi zdziernych zapomocą Bożą skończyła w tymże roku. Bo wszyscy owi sławni drapacze ludzkiéj pracy rozejść się ze wstydem musieli *mense Martio* [9]).

Roku tego było wielkie zamięszanie, nie tylko w naszéj opłakanéj Polscze, ale i w różnych królestwach. Osobliwie u nas w Polscze wielkie były kontrybucye pieniężne na Moskwę; gdzie za Gromadę Jazowską natenczas dzierżawca Jego Mć Pan Hieronim Sędzimir dał Moskwie półtrzecia tysiąca tynfów. Moskwy zaś we dworze *a die 7ma Decembris anni praeteriti 1709 ad diem 25 Junii anni 1710* stało na konsystencyi we dworze Jazowskim ludzi 18, koni 40; mieli do tego z różnych wsi, różne przystawstwa.

Roku tegoż Wszechmogący i Dobrotliwy Bóg z woli dyspozycyi swojéj przenajświętszéj, dopuścił nie tylko na Kraków, ale prawie na całą Polskę wielkie odnowienie powietrza morowego, bo w różnych miastach, miasteczkach i wsiach, wiele ludzi wymarło różnego stanu.

---

[9]) Otwinowski str. 173 i dalsze. (P. W.)

Osobliwie w *Starym Sądczu* wymarło na dwa tysiące. W *Podegrodziu* przeniosło półtorasta ludzi powietrzem umarłych. W *Nowym Sądczu* bez liczby. W *Biegunicach*, w *Barcicach*, w *Piwnicznéj*, w *Krościenku*, w *Szczawnicach*, w *Tylmanowéj* i w *Moszczenicy* nie wiedzieć wiele wymarło, ale znacznie wszędzie wymarło; nawet w *Jazowsku* na *Obidzy* w samym kącie na *Staréj Hucie* umarło ludzi dziewięcioro powietrzem w jednym tygodniu, z których tylko jedno przy kościele pierwsze (dla niewiadomości) pogrzebione jest, insi wszyscy w sadzie, inszych też niepogrzebionych psi porozwłóczyli i pozjadali trupy.

Cały przytem Spiż był zapowietrzony, i tam wielo ludzi, bez liczby prawie pomarło. Przed którem morowem powietrzem Ojcowie Podolenieccy *Piarum Scholarum* wyszli z *Podoleńca* do *Szczawnic*, a ze Szczawnic, że się tam zapowietrzyło w Szczawnicach, uchronili się do Jazowska 18o Octobris, — mieszkali we dworze Jazowskim, a u mnie na Plebanii różnych ślachty dzieci uczyli, za co się od ślachty w swojem uchronieniu od śmierci żywili.

Roku tego były urodzaje niepoślednie zboża, tylko że nieplenie znacznie. Niechże będzie za to Panu Bogu Wszechmogącemu chwała!

1711. Roku przeszłego zapomniałem napisać, że w tych naszych krajach, jako to w *Przysietnicy* w *Skrudzinie* w *Gaboniu* wilcy ludzi jedli. Nawet i tu w farze Jazowskiéj, zjedli dzieci ludzkich ośmioro ciż drapieżni zwierzowie.

Roku tego wielka Szarańcza była w Polsce, która z Ukrainy w Ruskie i Podolskie kraje przywędrowała.

Roku tego urodzaje w polach były niepoślednie i miernie plenie; miejscami osobliwie w górach, myszy były pozjadały na polu zboże, tak i ze słomą. Jesień zaś, na późne zboża do zbioru była bardzo mokra.

1712. Roku tego były urodzaje zboża w polu niepoślednie, to tylko że z Bożego dopuszczenia w niektórych miejscach grady ciężkie zboża potłukły, w inszych miejscach szarańcza zjadła, czego wszystkiego nas tu w górach dobrotliwy Pan Bóg zachował, za co mu niechaj będzie wieczna chwała.

Zamięszania, niezgody między Panami Koronnymi i niepokoje jak przez przeszłe roki, tak i tego roku były.

1713. Roku tego dał Bóg dobrotliwy dobrze i sucho zasiać na wiosnę, ale potem na przednowku, rzadki który dzień był bez deszcza. Ustawiczne częste i gęste były niepogody, takdalece że zboża w polach powymakały, żyta kwitnąć przed deszczem nie miały jako dla niepogody; gdzie też okwitło, ziarnko w kłosie należycie dorosło.

*Notandum* także i to, że roku tego *26 Julii in festo Sanctae Annae* była tak dalece wielka woda na Dunajcu, że rozszerzywszy się grubo i szeroko swoim wielkim impetem zabrała pola w wyżnéj równi, wyżéj dworu od *Łącka* mniéj więcéj do obsiania na wierteli 60 z dojżrałem na ten czas żytem i pszenicą jeszcze nie pożętą. Wszystko na tenczas jeszcze zboże stało nie pożęte na kłosie. Ostatek taż woda co nie zabrała to przymuliła; bo zebranie tak dalece było wielkie natenczas téj wody, że się aż pod górę przez wyżnią równią po oziminach zostałych rozpłynęła. Jaz jednak ten wielki rybacki wtenczas na Dunajcu wytrzymał, nie zerwała go woda; bo go ustawnie, chociażby najpilniejszą robotę opuścić, to potrzeba było opuścić, a do jazu pójść robić, dla ryb, żeby tylko ryby były zawsze, kiedy ich potrzeba. Dla którego dobrze opatrzonego jazu woda zniosła się, i tak nie tylko brzegi, pola z osiewkiem brała, ale też i pod górą jakem wymienił wylawszy, oziminę (lubo prawda nie wszystkę) przymuliła. A gdyby byli tak bardzo jazu

nie fundowali, dla samych tylko ryb, toby go była łatwo woda stargała, niżéjby się była spuściła, i tak wielkiéj szkody jakom namienił w polu i w zbożu nie narobiłaby była [10]). A tak teraz szkoda jest, nigdy Panu w intracie, księdzu zaś w dziesięcinie i w polu jego nienagrodzona. Plebańskiéj zaś ćwierci pola, która tam jest w tejże wyżniéj równi zabrało tylo, co wiertel na niem zawsze wysiewało się zboża. Mogli też byli zawczasu jazy jakie dawać i tamy bić do koła tegoż pola, ale nie dbali. Małą przecie dali byli odjazkę boby podobno zabrała była wszystko pole wyżnie woda, gdyby nie ta pomieniona odjazka cokolwiek była odraziła. Bardziéj dbali do Gdańska pod śliwy drzewo z lasów wozić ubogimi ludźmi; niżeli materyą na jazy wozić, sposobić i jazami pola bronić. Na tenczas był Podstarości Pan Wojciech Złotkowski, a zaś dzierżawca był Jego Mość Pan Hieronim Sendzimir z Łukowicy Miecznik Zakroczymski. Dobry to był Pan dzierżawca, i kościołowi Jazowskiemu dobrze czynił, osobliwie pomocą roboty do murowania kościoła. Tylko o tę obronę pola od wody, *absolute* nic niedbał.

*Notandum* w tymże roku 7a Octobris, temuż jego Mci Panu Sędzimirowi odebrano Jazowsko, które trzymał dziesięć roków zupełnych. A dano go w dzierżawę Jego Mci Pana Piotra Sulmirskiego Sędziego Wojskowego, do trzymania w zasługach, albo w kapitalacyéj, za to, że był i jest Porucznikiem pod chorągwią książęcia Jego Mści Alexandra Dominika Lubomirskiego Starosty Sendomirskiego, dziedzica tejże wsi Jazowska.

Roku tego nieustanne były kłótnie między Sasami i panami Polskimi. Sasowie ciężkie dymowe wszędzie z ubogiego ludu wybierali. Nieplenie tego roku były zboża; za co wszystko niech będzie Panu Bogu chwała.

---

[10]) Może od tego *jazu*, osada *Jazowskiem* się zwie. (P. W.)

1714. Na początku roku tego zaraz po godach, wyszły palety ciężkie Saskie na całą Polskę; ażeby z każdego dymu dano na króla po tynfów 26; jakoż musieli ubodzy ludzie wydać wszędzie. A że w Jazowsku jest dymów 83, musieli tedy radzi nie radzi Jazowianie złożyć i wydać tynfów 2,028, bo tyla suma wynika z tych paletów na całą wieś. Okrom tego musieli zesypać owies do *Zakliczyna*, odwozić, tamże kwitowe płacić i insze podarunki dawać. Najmniéj wtedy dwór nie zapomógł ubogich ludzi.

Roku tego na wiosnę w Piątek po Bożem Wstąpieniu na *Woli* za *Łąckiem*, wybrali zbójcy w nocy nieja kiego Sobka Talara, którego tak zbili i spiekli, że się z tego wyleczyć nie mógł, w kilka niedziel umrzeć musiał, bo go bez wstydu po wstydliwych członkach piekli, nawet w .... pochodnią mu wkładali.

Roku tego był przednowek wielki, drogie było zboże, ubogich ludzi wiele chodziło po jałmużnie.

Roku tego na końcu żniw i prawie przez wszystkie zbiórki jare, były częste i ustawiczne deszcze i niepogody; dla których wiele ludzi, wiele zboża częścią w kopach, częścią na pokosach pognoili, — pozrastało im bardzo zboże.

Roku tego bydło bardzo zdychało między ludźmi i na wielu miejscach; tu jednak w Jazowsku, niechaj będzie Panu Bogu wieczna chwała nic nie zdychało, lubo w *Łącku* i w *Maszkowicach* zdychało.

1715. Roku tego zaraz po żniwach wyszły palety Króla Jego Mci Augusta, ażeby cała Rzeczpospolita, ze wszystkich wsiów, miast i majętności, wydała dymowe tak jak i przez przeszłe lata wydawała. Co że to było z ciężkością ubogich ludzi, niechcieli na to pozwolić Ich Mść Panowie ślachta, i owszem jednostajnie zgodziwszy się jeden wedle drugiego wsiedli na koń, a któryby był niechciał, tedy go przyniewolili, ciężką exeku-

cyą do niego zesławszy;— i tak musiał rad nie rad każdy ślachcic na toż pospolite ruszenie wsiadać, to jest na obronę przeciwko ludziom Saskim królewskim, ażeby swojemi exekucyami z ubogich ludzi nie wybierali dymowego. I tak przecie utrzymali przez *przed-godzie*, że żaden w tém Województwie nie dał dymowego. Toż pospolite ruszenie najprzód się zaczęło w powiecie Sądeckim, a potem w Bieckim. Do tych tedy dwóch powiatów przywiązały się Województwa różne,— przystało wojsko kwarciane, wybiwszy się z pod jurysdykcyéj hetmańskiéj. Obrali sobie Pospolitacy marszałka generalnego p. Jana Leduchowskiego, a zaś wojsko kwarciane obrało sobie także marszałka inszego J. Pana Józefa Branickiego. Tak tedy czasem nasi Polacy Sasów (ludzi królewskich) częścią też Sasowie naszych po trosze, osobliwie na 8o Octobris pod Tarnowem urwali, gdzie jako mówią spadło z koni trupem Polaków na półtorasta mniéj więcéj. Zkąd po téj nieszczęśliwéj klęsce, która tamże padła na naszych Polaków, Sasowie uszli do Krakowa, zabijając i odzierając gdziekolwiek jakiego ślachcica napadli na drogach, wielce będąc rozgniewani że ślachta przeciwko nich rokosz podniosła; aleć też i nasi gdziekolwiek Sasów po trosze urywali. Były i naszych Polaków chorągwie zaciężne powiatowe. Był marszałkiem pospolitackim J. Pan Rybiński w Krakowskiem tylko Województwie; pułkownikiem w tymże Województwie J. pan Stefan Wielogłowski ze Swidnika, i tam insi Ichmość officyalistowie byli [11]). Wielkie się wojsko pospolitego ruszenia było zwarło, ale jakoś serca do boju nie było; bardziéj kraje ogłodzili kędy stanęli, niźli Sasów zbili. Tam się ten tłum pospolitaków zgarnął był wszystkek gdzieś w Ruskie kraje; byli aż za Tarnopolem, potém się na Święta Bożego Narodze-

[11]) Otwinowski str. 228 i dalsze. (P. W.)

nia do domów swoich powracali gdzie i Sasowie w te gody za nimi po dymowe poszli, i odebrali jako się im podobało.

Roku tego był bardzo ciężki przednowek, tak dalece że wiele ludzi ubogich więcéj od głodu niżeli od choroby umarło. — Drogo było bardzo, — pszenica była na samym przednowku po tynfów 12, żyta wiertel po tynfów 10, jęczmień po tynfów 8, owies po złotych cztery. —

Roku tego był zboża w polach urodzaj mierny i zbiórki dobre; na sadach były urodzaje obfite, kapusty rzadko gdzie było, bo jéj nie było na wiosnę do sadzenia nie urodziła się siana na grządkach.

Roku tego 13 Junii, złodzieje do niżniéj zakrystyi drzwi w kościele wyłupili; dobywali się także do żelaznych drzwi na wyżnią zakrystyą, ale się za łaską Bożą nie dobyli. W niżniéj tylko zakrystyi karbonę to jest skrzynkę z pieniędzmi wzięli, w któréj mogło być mniéj więcéj zebranéj jałmużny z tabliczki złotych 16, a potem tęż skrzynkę wyłupioną zostawili w Pańskim wyżnim ogrodzie w sadzie. —

Roku tego 5. Novembris we wtorek na kiermasie ostatnim, naszli zbójcy żyda w browarze dworskim i wybrali go ale żydowi nic nie uczynili, bo im uciekł. Stracili z tych dwóch, co byli z *Łukowice*, w Sądczu jednego Kułackiego kmiecia a drugiego Batka; insi pouciekali co byli z *Młynczysk*.

1716. Roku tego były wielkie zamięszania w Polscze. Częstokroć były utarczki między Sasami i między rycerstwem Polskiém; gonitwy wielkie tak Sasów jako i pospolitaków i kwarcianych. Za pomocą jednak Boską więcéj tryumfowali nad Sasami Ich Mść Panowie Polacy, niżeli Sasowie nad Polakami. I tak potém na końcu roku tego wszystko się to uspokoiło, że ani dymowego niedawno ani już wiecéj tych kłótni, zamięszania nie było; gdyż

z łaski Boskiéj przez traktaty z obudwóch stron, tak Sasów jako i Polaków w Warszawie na końcu roku pokój stanął, gdzie przez traktaty Sasowie zPolski ustąpili. Wojska koronnego wiele także przez traktaty chorągwie pozwijali. Na tych zaś żołnierzów których pozostawiali, że ich chorągwi nie pozwijali, z nas księży i ze wszystkich pospolitych ludzi w całéj koronie Polskiéj i w całém W. Księstwie Litewskiém zapłatę obmyślili, bo nam naznaczono *juxta tariffam anni 1687* pogłówne dwa razy na rok dawać, jako-żeśmy *nemine excepto* dawali. A to wszystko było przez traktaty Warszawskie postanowiono, na samym końcu roku.

Roku tego 31 Julii od wieczora, z gradem wielki powicher,— deszcz wielki z wiatrem napadł, który nie tylko zboża w polu poraził, ależ i dachów na domach wiele naobdzierał, i drzew rodzajnych w sadach wiele nałomał i naobalał.

Rok ten wszystek był prawie mokry, tak dalece, że rzadki dzień był, w którym deszczu nie było. Dla wielkich niepogód i mokra wielkiego nierychło były żniwa, bo zboża dla deszczów i zimna nie miały jako prędko róść i dojrzewać,— miejscy też w ziemiach moczary powymakały. Nie było jako siana sprawiać; na wiosnę ludzie nierychło siali, bo długo zima trwała i mokro do tego było.

*N. B.* Roku tego z Poniedziałku na Wtorek, to jest z Wilii na dzień Narodzenia Panny Przenajświętszéj, wszędzie na górach śnieg wielki opadł, dolinami zaś były wielkie deszcze, tak na poły z śnieżnicą. A potem ze Wtorku na Środę to jest ze święta Narodzenia Panny Przenajświętszéj był mróz takowy, że i lód po maluczkich kałużeczkach był. Tenże mróz zboża wszystkie ludziom w górach pomroził tak dalece, iż były takie wsie drugie, że i snopka drugi chłop źrałego w swojéj stodole niemiał, inszy zaś swojego siania i niekoszto-

wał, bo jeszcze w tenczas dopiero jedne zboża wysypały się, insze też, chociaż w kłos były wysute, ale były bardzo zielone, kiedy ich mróz pomroził; śliwy na sadach także pomarzły. W równiach zaś tylko grochy, boby, prosa, tatarki, konopie i lny pomarzły. Mnie z łaski Bożéj i we dworze nic nie zmarzło, za co wszystko niech będzie Panu Bogu chwała.

1717. Rok ten był z łaski Bożéj miernie urodzajny, nadewszystko że był rok spokojny, żadnéj wojny ani zamięszania jakiegokolwiek w Polsce między Panami koronnymi nie było. Wszyscy ludzie ubodzy trochę odetchnęli z przeszłéj wielkiéj biedy, za co niech będzie Panu Bogu wieczna chwała. To tylko żeśmy Plebani, Wikaryowie, Zakonnicy, osobliwie ci, którzy mają majętności, nawet i Panny Zakonne, pogłowne dwa razy w rok dawać musieli. I to też *notandum*, że który się ksiądz Pleban opierał, że niechciał dać pogłównego, albo którykolwiek Opat i Zakonnice zaniedbywali oddać pogłownego na czas, surowe exekucye wychodziły, i więcéj we trójnasób strawiły u Plebana, albo u wszystkich tych którzy nie byli posłuszni Radzie walnéj koronnéj niżeli mieli dać dobrowolnie, i wyliczyć co na kogo należało pogłównego.

I to też *notandum* że roku tego przypadła uroczystość Zwiastowania Panny Przenajświętszéj we Wielki Czwartek. Na co, żeby taż uroczystość odprawowała się *die cadenti*, to jest w sam Wielki Czwartek, przed czasem jeszcze *per processum* wydany był dekret Rzymski wszędzie między kościoły, ażeby téj uroczystości na po Wielkie-nocy nie przenosić, ale ją tak święcić jako przypadła. Jedni tedy święcili we Wielki Czwartek, jakoż i ja z mojemi Parochiami święcił; insi *de licentia et mandato Iltrissimi Episcopi Cracoviensis, pro tunc Rndssimi Casimiri Łubieński* na Poniedziałek *post Dominicam in Albis* toż święto pomienione przenosili.

1718. Rok ten był ze wszystkiém spokojny, od wszelkiéj wojny i zdzierstwa żołnierskiego, zamięszania wszelkiego był wolny. Pogłówne jednak dwa razy w rok, tak ubodzy ludzie jako i my księża, wszyscy *nemine excepto* dawać my musieli. A których księży Plebanów tak rok dobrze do szkody przygięła exekucya, że nie chcieli oddawać dobrowolnie pogłównego, tego roku niniejszego, najpierwéj sami gdzie należało odnosili, bojąc się podobnéj jako tak rok była exekucyi.

*Item notandum*, że z woli Bożéj, za co niech będzie Pan Bóg pochwalon, było wielkie sucho, urodzaje w polach miejscy powysychały, toż się i trawom dostało, dla czego siana bardzo skąpo, nie tylko u mnie, ale i wszędzie było.

Roku tego na przedgodziu był sejm walny w Grodnie, którego szczęśliwie limita stanęła na przyszły rok do Warszawy z Litwy. —

*Notendum.* Zapomniałem dla wiadomości i swieżéj pamięci na końcu przeszłego roku dołożyć, to jest: że roku przeszłego 1717 dnia 5 Września Wielmożny Jego Mść Pan Piotr Sulimirski, Chorąży Bracławski, Sędzia wojskowy odebrał Jazowsko już nie w arendę ale w zastawę do trzech roków. A od trzech roków Pan Bóg wie póki będzie trzymał tę zastawę. Nie dał na tęż zastawę całego Jazowska, tenże Wielmożny Jego Mść Pan Sulimirski tylko tysięcy czterdzieści i groszy dwadzieścia *currenti moneta.* Co to wszystko 6 Septembris w Grodzie Sądeckim in anno 1717 komu tego będzie potrzeba, każdy znajdzie. —

1719. Niech będzie Panu Bogu wieczna chwała, rok ten jako i insze przeszłe trzy roki, był bardzo od żołnierzów i od wszelkiéj wojny spokojny; nie było żadnego rozruchu i żadnego zamięszania w koronie Polskiéj wszędzie było cicho i nader spokojno. —

I za to niech będzie Panu Bogu chwała, że tak Pan Bóg sporządził, że tego roku wielkie były sucha i upały słońca, osobliwie w tenczas gdy żniwa miały następować; gdy zboże jedno się dopiero wysypać miało i poczynało insze też już kwitnęło, insze też już dojźrewało, jako to żyto i pszenica; bardzo suchem wielkiém i upałem słonecznym zjęte, poprzysychało, a na niektórych miejscach, że wszystko (osobliwie przy pagórkach) że nie tylko kosą nie było co uciąć, ale też i bydle nie miało co ukąsić, bo się trawa pod nogami zeschła kruszyła. Jedném słowem, że bardziéj był ten rok suchy niżeli przeszły, bo miejscami, osobliwie przy górach, niemieli kędy jako na jadło, tak i na napawanie bydła wody brać ludzie.

1720. Rok teraźniejszy tak jako i insze świeżo przeszłe roki był bardzo we wszystkiem spokojny; nie mieli ludzie żadnych turbacyj od jakichkolwiek żołnierzy, dawali jednak dwa razy do roku pogłówne. Przy których pospolitych ludziach i my także księża dwa razy do roku musieliśmy składać i oddawać Ich Mściom księżom Dziekanom pogłówne. A zaś Ich Mość księża Dziekani do Krakowa go odsyłali, do rąk jego Mci księdza Szczepkowskiego kanonika krakowskiego, Generalnego Kollektora.

Roku tego miejscy były piękne zboża urodzaje, miejscy też i jęczmiony i grochy pochybiały, jednak tanie było wszędzie zboże.

Roku tego w męsopusty die 5 Februarii in festo Sanctae Agathae, trzech młodzików, prawie wszyscy byli koło 20 roków mający: jeden Maciéj Peciacyk, drugi Maciéj Hyclak, trzeci Michał Mszaniak, bywszy na *Obidzy* w karczmie, zmówili się na żyda pijanego, tamże w karczmie z sobą, albo raczéj z nimi będącego. Wyprowadzili go w nocy z karczmy, niby to mieli go prowadzić do żyda arendarza do browaru na noc, aż

oni go na téj stronie Dunajca za pańskim ogrodem zabili, a potém ostatek co go nie dobili do Dunajca pod lód wrzucili, i tak zatopili; rzeczy jego podzieliwszy się niemi zabrali. Aleć tamte wszystkie żydowskie rzeczy nie warte były i nie stały więcéj nad tynfów 8. Bo to żyd był ubogi, bardzo odarty; tak się tylko z trochą pieprzu, trochą imbieru, stokłoski etc. po wsiach włóczył, częścią też i wyprosił, kiedy kędy mógł i rozumiał, żeby tylko żywił siebie i żonę i dzieci, których po jego zabiciu zostało w Sądczu dziewięcioro. Z Sądcza był ten żyd, nazywano go Mośko. Jako się tedy to zabójstwo żyda na pomienionych zwyż młodzików pokazało, brano ich do więzienia do dworu, a potém ze dworu oddano ich do Sądcza. W Sądczu tedy byli na torturach dwóch; był jeden Mszaniak Michał, drugi był Maciéj Peciacyk, a trzeci Maciéj Hyclak nie był, bo miał za sobą wielkie prośby krewnych. Po torturach w Sądczu stracono Michała Mszaniaka; szyję mu ucięto; bo to ten Michał był rodzic z *Poręby*, nie miał za nim kto co radzić, — z Jazowska się też żaden nie odezwał. Hyclaka zaś w kilka dni pod pręgą kat ociął, i puszczono go do Jazowska. Peciaka zaś trzymano w okowach aż do Wielkiéj Soboty, potém go puszczono wolnym. Obadwa byli i Peciak i Hyclak parochianie i poddani Jazowscy.

Roku tego *mense Majo* [12]) *Illustrimus et Rndismus Dominus Casimirus a Łubna Łebiński* biskup krakowski w Kielcach pomarł. Był to człowiek dobry, świątobliwy, rozsądny i na księdzów osobliwie świeckich łaskawy.

Roku tego, Jaśnie Oświecone książę Jego Mść Alexander Dominik Lubomirski Starosta Sendomirski, dzie-

---

[12]) Wedle dzieła ks. Łętowskiego umarł 20 maja 1719 r. — Niesiecki zgadza się w dacie z naszym Kronikarzem. P. W.

dzic Jazowska w młodzieństwie będący, mający roków 30, 14o Novembris, w *Dubnie* tam kędyś na Rusi pomarł. Nastał po nim zaraz w jego wszystkie dobra dziedziczne J. O. książę Sanguszko Marszałek Nadworny Litewski sukcessorem, siostrę za sobą w małżeństwie pomienionego J. O. ks. IMci nieboszczyka, mający Jéj Mość rodzoną. W tymże roku powietrze było na Rusi we Lwowie i daléj.

1721. Rok ten był spokojny, nie było żadnéj wojny. W zbożach urodzaje były wszędzie dobre, zboże było tanie. Żyta wiertel kupił ktokolwiek za tynfów dwa i niżéj, insze wszystko jeszcze tańsze było zboże. To tylko, że jako ludzie świeccy tak i my księża, musieliśmy składać i dawać dwa razy pogłówne do roku.

I to téż *non postreme notandum* że 25 Novembris w dzień ś. Katarzyny wieczór o godzinie ósméj we wtorek dzień z wieczora, dla nieszczęsnego stróża Bartłomieja nazwiskiem Peciaka, wszystkie gumna dworskie ze zbożem, co go tam tylko mogło być zgorzały. A to dla tego, że niedobry człowiek kurząc tabakę zapuścił ogień kędyś w barłogi i tak się zapaliło gumno, bo wiatr był bardzo wielki i ciężki od *Łącka* z góry. — Niech będzie Panu Bogu wieczna chwała, że i kościół z plebanią, z organistowém mieszkaniem, i wszystek dwór z swojemi mieszkaniami, stajniami, chlewami, oborą i ze szpichlerzem nie zgorzał, a to dla tego że wiatr z góry wielki ku *Kadczy* na dół ognia popierał. Zgorzał jednak niżéj stodół browar, który żyd arendował ze wszystkiém. Rachował sobie tenże żyd przez to zgorzenie szkody mniéj więcéj na trzy tysiące. Od tych stodół i od browaru żydowskiego, przeniosło ogień wiatrem do stodół kaczmarskich, i tam także w karczmie zgorzały dwie stodoły ze zbożem i ze słomą. Mnie zaś ubogiemu plebanowi tamże we dworze według zwyczaju złożonéj dziesięciny zgorzało kóp 48, snopów 2, samego żyta

i pszenicy. To się działo za dzierżawy zastawnéj Wgo Jgo Mci Pana Piotra Sulimirskiego, chorążego Bracławskiego, sędziego wojskowego, a zaś Podstarościm był natenczas Jego Mść Pan Wojciech Michniowski, ktory lubo wiedział że stróż tabak kurzył, przecie mu tego nie zabraniał.

1722. Rok ten z łaski Pana Boga Wszechmogącego, jako był spokojny od wszelkiéj wojny, tak téż był z łaski Boskiéj we wszelakie zboże urodzajny. Zboże było bardzo tanie, żyta pięknego kupił kto chciach za półtora tynfa, pszenice pięknéj za dwa tynfy, i inszego zboża bardzo tania była cena. Dla czego, że była łaska Boża wszędzie między ludźmi taniego zboża i chleba, trudno było o służebną czeladź i o zarobników gospodarzom, i mnie samemu. Niechcieli czeladź służyć, zarobnicy na zarobek chodzić. Kto tedy chciał mieć czeladź albo zarobników musiał zapłaty podwyższyć; — co przedtem parobkom dawano na kolędę po jednym tynfie, odtąd zaczęli dawać po trzy tynfy. Zarobnikom zaś dawano za dzień jeden przy strawie po trzy grosze, teraz im potrzeba płacić za dzień jeden roboty po półtoraków dwa, i pięć razy na dzień jadła się domagają. Od kośby zaś, kiedy zboże albo trawę kosą sieką chłopi, potrzeba im płacić po trzy albo po cztery półtoraków za jeden dzień kośby. Takowa to mizerya odtąd nastała z czeladzią ubogim gospodarzom, co to podobno nigdy nie zaginie.

1723. Wielmożny Jego Mć Pan Piotr Sulimirski, chorąży Bracławski, Sędzia wojskowy, odebrawszy Jazowsko przez plenipotenta swego w zastawę in anno 1717, die 5ta Septimbris, dopiero pierwszy raz bytnością swoją roku tego 1723 die 14 Octobris do Jazowska szczęśliwie przyjechał. Który uczyniwszy we wszystkiém porządek jako pan, wyrozumiawszy swoje nieukontentowanie w Podstarościm, odprawił go ze służby, a potém

bawiąc niedziel dziewięć, pojechał do swoich krajów 15 Decembris. Tenże pomieniony zwyż Wielmożny Jego Mść Pan Chorąży Bracławski i Sędzia wojskowy zlecił mi był, przez kilkanaście pisania do mnie i prośby w pisaniach, przed bytnością swoją w Jazowsku, dozór wszelki nad Podstarościm i nad gromadą. Dla przysługi tedy Wielmoż. Jego Mści przez roków przeszłych pięć, posyłałem zawsze człeka mojego na dozór miary tak do siewu jako i młochy, wiele który dzień zebrano i jakiego zboża z boiska, pisząc sobie regestra wszystkiego, co, i wiele czego jest, i jako się obróciło; a za to wszystko ani kościołowi, ani mnie nic nie dano, tylko podziękowano. Lepiej drugi raz dać pokój każdemu księdzu takowéj przysłudze, i mnie samemu. Był natenczas niejaki Pan Wojciech Michniowski Podstarościm Jazowskim, którego drugiego takowego, racz nas zawsze Panie Boże zachować w Jazowsku, bo jako z gromadą Jazowską, tak i ze mną ubogim Plebanem, bardzo nie dobrze żył. Po nim nastąpił na Podstarostwo Jazowskie, Jego Mść Pan Jerzy Chronowski ślachcic dobry, rodowity i poczciwy człowiek.

I to też *notandum*: za rządu i podstarostwa tegóż Pana Wojciecha Michniowskiego, złego sumienia ludzie, wyborcy najpierwszego pogłównego in anno 1717, wybrali z całej gromady na dwie raty tynfów 941 groszy 5, a nie oddali przez rok na swoje pogłównego tam gdzie należało, według grodzkiéj taryffy opisanéj, tylko szelągami złotych 528. Zostało tedy przy nich zaraz w pierwszym roku 1717 w zbieraniu tynfów 501 groszy 5, tak jakom ja według sumienia za prośbą Wgo Jego Mci zwyż pomienionego Chorążego i Sędziego pomiarkował i porachował. Za inszy żaden rok nie rachowało się, ale łatwy domysł, że tyloż, albo więcéj musiało im zostawać.

(*Dokończenie nastąpi*).

# WYŚCIGI KONNE

## W WARSZAWIE.

### Obrazek Dramatyczny w 2ch częściach.

napisany wierszem

przez

**Konstantego Gaszyńskiego.**

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

..... Mniejsza że źli i głupi powstaną nań z wrzawą
Krzycząc: „do strofowania kto tobie dał prawo“...?
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu ściskając: „Niech ci Bóg odpłaci“...
(*Gra i karciarze* mpt. autora).

---

**Osoby:**

PAN BONAWENTURA były Prezes wojewódzki.
PANI HRABINA jego córka.
PANNA TEKLA } dzieci Hrabiny
PAN MARCELI } dzieci Hrabiny
PAN DYDERSKI Mecenas.
PAN TATARKOSKI Ekonom.
WOJCIECH Służący.

(Rzecz odbywa się w Hotelu Rzymskim w Warszawie).

# CZĘŚC PIERWSZA.

## SCENA I.

PAN BONAWENTURA i PAN MARCELI.

P. MARCELI.

Jak to dobrze wypadło że dziadzio łaskawy
Na sam czas nam przybyłeś wczoraj do Warszawy;
Bo dziadunio już musiał wyczytać z Gazety
Co to za świetne jutro czekają nas fety.
Nie pozostanie w mieście ani żywa dusza,
Jutro, cały świat piękny pod Mokotów rusza.
Polska w drodze postępu, kołem leci chyżem
Stanęliśmy na równi z Anglią i Paryżem:
Mamy wyścigi konne — *sport* wzmaga się wszędzie
A jeżli rząd pozwoli i *Jockey Club* będzie!

P. BONAWENTURA.

Mój kochany Marcelku, gadasz waść androny
Od których, ja dziad stary, już odzwyczajony.
Cóż mnie obchodzą fety, *sport* i inne duby?
Co do klubów, to warto by was wzięto w kluby!
Przyjechałem tu w ważnym dla mnie interesie
I muszę z Mecenasem radzić o procesie.
A sprzedaż mojéj wełny na kogóż ja zlecę?
Mamże ją ekonomskiéj zostawiać opiece?
Wełna, pewniejszy profit niż angielskie hece! *)

P. MARCELLI.

Ależ drogi dziaduniu, czasu mamy pełno:
Ułatwi się interes z jurystą i z wełną.

---

*) Wiadomo że Sto Jański jarmark na wełnę odbywa się w Warszawie w tym samym czasie co wyścigi konne.

Jutro *kursa* i na nich dziadunio być musi;
Mama jak najsolenniéj przyrzekła Teklusi
Że ją weźmie — a dziadzio powiezie kobiety; —
Już do wielkiéj trybuny kupione bilety.
Tylu pięknych projektów niszczyć się nie godzi
Zwłaszcza, kiedy się dowie dziadunio dobrodziéj
Że tu idzie i o mnie; — bo ja temi czasy
Sprowadziłem z Londynu klacz najczystszéj rasy,
Zowie się *Turtelsuppe* — jéj ojcem był, znany
*Sir Peper* w stajniach księcia Norfolk hodowany,
A matką *Mistress Pickle* klacz dziwnéj zalety,
Co w kursach zawsze pierwsza stawała u mety!

P. BONAWENTURA (*śmiejąc się*).

Ho! ho! to nie przelewki! Waścina kobyła
Z nielada antenatów na świat zejść raczyła
I może z Bucefałem krewieństwo wykaże!
U angielczyków, widzę, są końskie herbarze
I waść się ich wyuczył jak gdyby pacierza;
Jest to arcy-potrzebny kunszt — dla mastalarza!
A czy też wié dokładnie pan Marcel dobrodziéj
Jakie imie miał dziad mój? i z kogo się rodzi?
Ja i moi współcześni, wszyscyśmy wiedzieli
Familijne alianse z miecza i z kądzieli;
To były nasze studja od lat niemowlęcych
I nie stało nam czasu do metryk zwierzęcych!

P. MARCELI

Niech kochany dziadunio tak bardzo nie łaje;
Każdy wiek ma odrębne mody i zwyczaje.
Dziś Europa końskiemi kursami zajęta;
*Sportem* bawią się Lordy, Grafy i Książęta —
Więc dziadzię niezadziwi to jeszcze wyznanie
Że nietylko klacz moja do wyścigów stanie,
Lecz że zamiast *Jockeja* ja sam jéj dosiędę
I przez dwanaście barjer przeskakiwać będę!

P. BONAWENTURA (*z oburzeniem*)

Wszelki duch Pana chwali! Czyż mnie słuch nie myli?
My, szlachta starej daty, tegośmy dożyli
By patrzeć, jak przed obcą rzeszą nasze wnuki,
W dłoń zdolną dzierżyć szablę, ująwszy munsztuki
Puszczają się na hecę i łamane sztuki!....
Siwej mej głowie, tego waść oszczędzisz sromu.—
A toż to byłby splendor dla naszego domu
Gdyby się kraj dowiedział że prawnuk daleki
Tych co męztwem i radą słynęli przed wieki,
Co w rodzie senatory miewał i biskupy,
Zleciał na kursach konnych przez łeb *Turtelsuppy!*

P. MARCELI

Dziadzio widzę się gniewa, a Pan Bóg wie za co!
Nie!— pokolenie nasze nie całkiem ladaco
Dla tego że ma zmienne zabawy i gusta:
Inny był Rzym za Grachów, inny za Augusta!
Czyż u nas przed stu laty byłoby stosownie
Gdyby jaki syn pański zakładał cukrownie?
Jego dziadek senator wyrzekł by się wnuka;
Możeby nawet przyszło do *prawa kaduka!*
Dziś największe imiona fabryk się nie wstydzą
Gdyż w tém i dobro kraju i zysk własny widzą—
A ze starych portretów wiszących u ściany
Zapewne im nie łają ich przodki Hetmany,
Bo pieniądz jest zaszczytem, gdy zapracowany!
Tak samo dziadziu drogi, dziś *sportu* rzemiosło
Z Londynu i z Paryża do nas się przeniosło.—
Nie splami się od niego moja tarcz herbowa;

(*pokazując sygnet na palcu — z uśmiechem*)

Prawda! krzyż na niéj błyszczy— lecz jest i podkowa!
Z resztą, zajęć na serio śród Warszawy mało,—

Nuda cięży jak ołów nad młodzieżą całą—
Czujemy nadmiar życia i chęć do działania
A działać według serca tysiąc przeszkód wzbrania!
Musim się więc zatrudniać tém co nam niewzbronne:
Pokochaliśmy stajnią i wyścigi konne
I galopujem z hardém lecz smętnem obliczem
Wolelibyśmy z szablą!— a musimy z biczem!...

P. BONAWENTURA.

Trwonić żywot na fraszkach, to dziś chleb powszedni!
Marcelku! jam cię zmartwił... oj! biedni wy biedni!...
Bawże się więc twym *sportem* gdy teraz człek młody
Musi być mastalerzem z potrzeby i z mody.
Niech i twa klacz angielska kłusuje ku mecie,
Byle mi tylko Waszeć nie był na jéj grzbiecie!

P. MARCELI.

Już nie czas drogi dziadziu w planach robić zmiany,
Program jutrzejszych kursów już wydrukowany;
Imie moje wpisane na goniących liście;
Niech dziadzio czyta; (*podaje mu program*)

P. BONAWENTURA (*czyta i łapie się za głowę*).

Chłopcze!... Pfu! zwarjowaliście!
Każdy dał trzysta rubli? trzysta rubli stawka?
A to grubo kosztuje ta wasza zabawka!
Karty już wam niestarczą, biegniecie szaleni
Do nowéj gry, co grozi karkom i kieszeni!

P. MARCELI (*z uśmiechem.*)

Nie grozi! — bo ja wyznam dziaduniowi szczerze
Że owa gruba stawka tylko na papierze;
To dla oka, dla gazet, by gadano w tłumie
Że *gentelman* warszawski zakładać się umie.
A w istocie, stanęła tajemna umowa
Że niefortunny jeździec w błoniach Mokotowa,

Dla innych, którzy przed nim dobiegną do celu
Wyprawi suty obiad w angielskim hotelu!

P. BONAWENTURA.

Rozumiem!... choć na blichtry umysł we mnie tępy;
Pozory! szych! — ot, wieku waszego postępy!
Dziś pod ten wyraz *postęp* każda rzecz się garnie
Jak ćma ślepa co leci pod jasną latarnię!
Wszak Waść mówił, że kursa także prostą drogą
W same *centrum* postępu wprowadzić nas mogą!

P. MARCELI.

Mówiłem i potrafię dziadzi dowieść snadnie
Że ztąd niejedna korzyść na Królestwo spadnie.
Premia które rząd daje stały się zachętą.
Już w kraju, chowem koni szczerzéj się zajęto;
Stajnie dotąd ubogie — lecz będzie inaczéj,
I co rok więcéj u nas dziadunio obaczy
I arabskich ogierów i angielskich klaczy!
Krew *Folblutów* ze swojską gdy mięszać się zacznie
Nasza rasa krajowa poprawi się znacznie
I dojdzie aż do tego, że za sto lat może,
Tak jako dzisiaj wełna, konopie i zboże,
Koń polski jako towar będzie szedł za morze!
Mamże jeszcze coś dodać o kursów potrzebie?
Ich użyteczność jasna jak słońce na niebie;
Bo jako żołnierz młody wykształca się w bitwach,
Żak w szkole, wyżeł w polu, tak koń na gonitwach.
Więc powtarzam co prawda, prawda oczywista
Że z warszawskich wyścigów cały kraj skorzysta.

P. BONAWENTURA.

Marcelku! choćbyś gadał jak Demosten grecki
Nigdy tego nie pojmie mój rozum szlachecki
By dla tego — że gdzieś tam, angielska kobyła
Bez szwanku kilkanaście płotów przeskoczyła,

Lub że *Sir Peper* dobiegł w pięć minut do mety,
Miało to krew uzacniać i zwiększać zalety
Mojéj stadniny wiejskiéj, co w tym samym czasie
O piętnaście mil zdala po łące się pasie!
A choćbym nawet przywiódł parę mych kasztanów
I w trybunie, pośrodku waszych *gentelmanów*
Postawił jako widzów — to jeszcze nie sądzę
Bym w nich przez to obudził emulacyi żądzę!
Nikt dawniéj nieposłyszał u nas o gonitwie,
A były sławne stada w Koronie i Litwie
Wiśniowieckich, Tarnowskich i Sanguszków konie
Mnożyły piękną rasę w każdéj kraju stronie.
Nie szedł do angielczyków z Polski okup złoty
Za klacze skakające przez rowy i płoty.
Tureckie zaś *bachmaty* z krwią i siłą diablą,
Pod Chocimem i Wiedniem płacił szlachcic — szablą!
Oj! nie były to pewnie rasowe *Folbluty*
Na których nasz Czarnicki, bez wioseł i szkuty
Wpław przez nurty Pilicy i morskie odnogi
Wiódł zwycięzkie swe hufce na najezdne wrogi!...

P. MARCELI.

Napróżno chciałbym zbijać tę piękną oracyą,
Drogi dziadzio ma racyą — lecz i ja mam racyą.

P. BONAWENTURA (*przerywając mu*).

Waść chwytasz kwestyą z wierzchu, a ja biorę ze dna;
Racye mogą być liczne — lecz prawda jest jedna,
Prawda przy mnie...

P. MARCELI.

Dziaduniu! nim ten spór rozpocznę
Chciałbym aby go świadki poparły naoczne —
Dla tego błagam dziadzię aby jutro raczył
Być z nami na wyścigach — aby sam obaczył

Jaki to dobór jdżdżców, jakie pyszne konie
Wysuną się na popis w Mokotowskie błonie!

P. BONAWENTURA.

Choćbym za upartego miał uchodzić zrzędę,
Będę na sztukach *Renza* *) na waszych nie będę
Bo mi żal że się szlachcic z mastalerzem brata!

P. MARCELI (*na stronie*).

Trzeba tu zręczniejszego niż ja adwokata; —
Mama lepiéj tę całą sprawę poprowadzi.
(*patrzy na zegarek i mówi głośno.*)
Co widzę! już południe.— Uciekam od dziadzi;
Ignaś przy Zygmuntowskiéj czeka mnie kolumnie.
(*całuje p. Bonawenturę w rękę.*)
Jeżeli drogi dziadzio ma gniew jeszcze ku mnie
To proszę mi przebaczyć. Nie ciężkać to wina
Lubieć wyścigi konne. (*odchodzi*).

## SCENA II.

P. BONAWENTURA (*sam*)

Poczciwy chłopczyna!
Dotąd trochę pstro w głowie — fraszkami się trudni;
Lecz młodzi wszyscy tacy!... a my starzy nudni.
Pewniem i ja tym samym pędził wiatry szałem
A dziś już o trzpiotostwach własnych zapomniałem.
On na progu żywota, ma czas do poprawy
I będzie jeszcze z niego obywatel prawy
Bo w chłopcu serce dobre, dusza nieskalana
A to grunt.

---

*) Sławny Renz ze swoją truppą skoczków konnych znajdował się w Warszawie w czasie Śgo Jańskiego Jarmarku w 1855 i 1856.

WOJCIECH (*uchylając drzwi*).

Pan ekonom, proszę Jaśnie Pana!

P. BONAWENTURA.

Wpuścić! Teraz znów inny czeka mnie *certamen*.

## SCENA III.

PAN BONAWENTURA i PAN TATARKOSKI.

P. TATARKOSKI.

Niech będzie pochwalony!

P. BONAWENTURA.

Na wiek wieków — Amen!
No, Tatarkosiu! cóż tam słychać na jarmarku?

P. TATARKOSKI.

Z przeproszeniem, harmider, wre jak woda w garku;
Kupców huk, lecz wybrydni bo towaru pełno,
A więc sobie dworują i nad naszą wełną.
Ten mówi że za gruba — ów, że się zleżała;
A trzeci, z przeproszeniem, że niedosyć biała!
Jeden tylko, z Kalisza... (*namyśla się*).
dziwne ma nazwisko!
Kruc czy Kuc — ot, zwyczajnie jakieś prusaczysko,
Deklaruje wziąść hurtem — lecz płaci za nisko.
A więc przyszedłem z prożbą o instrukcye nowe,
Bo jutro, z przeproszeniem, sprawy jarmarkowe
W zawieszeniu — i pewno kupiec będzie rzadki.
Wszystko za Mokotowskie wyciągnie rogatki,
I Jaśnie pan zapewne tam wyruszy z rana
Ja również...

P. BONAWENTURA (*z gniewem*).

Bies opętał także i Wasana!
Myślisz Waść, że jak fircyk na kursa polecę?
Pfu, stary! czyż to dla nas te stajenne hece!
To widzę epidemia!— Tém jednėm zdarzeniem
Wszystkie łby zaprzątnięte...

P. TATARKOSKI

Ale, z przeproszeniem,
Bo to mają być rzeczy ogromnie ciekawe
Dla tego tak zajęły calutką Warszawę.
Dzisiaj rankiem, w garkuchni gdziem zaszedł na flaki
Jacyś dwaj jegomoście ubrani we fraki,
W łosiowych rękawicach, w ostrogach ze stali,
O tych koniach zamorskich cuda powiadali,
Że je ci angielczyki jakąś sztuką swoją
Surowém mięsem pasą i arakiem poją
By im dać, z przeproszeniem, większy hart do próby.

P. BONAWENTURA.

I Wasan uwierzyłeś w te smalone duby?
I połknąłeś przy flakach ten żarcik tak gruby?
Pfu!— Teraz Waści powiem, lecz bez przeproszenia,
Że owe zbiegowisko mych planów niezmienia.
Dzień jutrzejszy tam spędzim gdzie nasze wańtuchy
Choćby jedynym kupcem miał być skwar i muchy—
Niech świat modny waryjuje— my myślmy o wełnie

P. TATARKOSKI (*zmięszany*).

Wolę Jasnego Pana do joty wypełnię (*odchodzi*).

## SCENA IV.

P. BONAWENTURA (*sam*).

No, proszę! i ten stary głupiec już był gotów
By jaki świszczypałka lecieć pod Mokotów!

A to strach! a to nowa dżuma Mościpanie!
Kto wie, czy się i do mnie ten szał niedostanie?
Trzeba uciekać na wieś, do mego Żablina
Bo djabeł zacznie kusić...

(*widząc otwierające się drzwi*).

he?

WOJCIECH (*wchodząc.*)

Pani Hrabina
Z panienką, Jaśnie Panie, przyjechały obie
I już idą po wschodach hotelu... (*odchodzi*).

P. BONAWENTURA (*zrywając się*).

Masz tobie!
Wszystkie się dziś nademną chmury oberwały
Pewno będą mi także o kursach gadały;
Lecz mnie piosnka tych nowych Syren niezałapie.

## SCENA V.

PAN BONAWENTURA, PANI HRABINA, PANNA TEKLA.

(*Hrabina z córką wchodząc, całują w rękę starca*).

PANI HRABINA.

Śliczny, śliczny dzień dobry przynosimy Papie —
Marcelek miał tu być już — teraz my z Teklunią. —

PANNA TEKLA.

Jakże tę noc przepędził kochany dziadunio?

P. BONAWENTURA.

Wybornie! — podróż zawsze sen u mnie przedłuża.

PANI HRABINA.

Papa ślicznie wygląda! rumiany jak róża!

P. BONAWENTURA.

Ha! krew mi się wzburzyła i czerwonym ponom
Bo mnie tu zalterował mój stary ekonom.

PANNA TEKLA.

Co? śmiał obrazić dziadzię?

P. BONAWENTURA.

Szło całkiem nie o to. —
Zgniewał mnie nie zuchwalstwem, lecz swoją głupotą—
Nie warto o tém gadać. — Cóż wy zamyślacie
Dziś robić?

PANI HRABINA.

Dzień prześliczny! — Zaraz po herbacie
Pojechałyśmy obie do Pani Janowéj —
Ona ma się dość dobrze — on jeszcze niezdrowy;
Był tam u nich z wizytą brat Pana Wacława
I najświeższe nowinki sypał jak z rękawa. —
Wystawże sobie Papa — na warszawskim bruku
Jaka urosła plotka o papie i wnuku,
Mówią, że Papa chce go żenić z panną Klarą
A że Marcel ją znalazł zbyt brzydką i starą
I niechce ani słyszeć o owym projekcie; —
Ztąd gniew papy że wnuk Mu uchybił w respekcie.
Że papa nas unika — i że nie bez celu,
Przybywszy, nie w mym domu stanął, lecz w hotelu—
O tém już wczoraj wieczór wieść krążyła głucha —

P. BONAWENTURA.

W imie Ojca i Syna i Świętego Ducha!
I tak wierutnym kłamstwom świat nadstawia ucha?
Widać że im do rozmów materyi ubyło.
Stwarzać brednie o których ani mi się śniło!
Tak to zwykle po miastach — potwarz i obluda —
A źródłami tych grzechów: próżniactwo i nuda!

PANI HRABINA.

Myśmy tu przyjechały aby papę z nami
Przed obiadem na spacer przewieźć alejami —
Słońce błyszczy na niebie pogodą czerwcową —
Odetchnąć tém powietrzem, to dla papy zdrowo.

PANNA TEKLA.

Obaczym mnóstwo ludzi; a mnie tak milutko
Będzie, jechać z dziaduniem. —

P. BONAWENTURA (*całując ją w czoło*).

Moja ty jagódko!
Może tam nas napotka jaki modny fraczek
I wnusia chce pokazać swój ładny buziaczek?
Zgadłem! — oczki w dół poszły, a wystąpił raczek!
(*śmieje się*)
No dobrze, pojedziemy.

PANI HRABINA.

Papuniu kochany!
Jakież Papa na jutro zrobił sobie plany?

P. BONAWENTURA.

Jutrom interesami cały dzień zajęty.
Naprzód u Kapucynów będę na Mszy świętéj,
Potem u mecenasa — bom mu przyrzekł wczora —
A potem przy méj wełnie zejdzie do wieczora.

PANI HRABINA.

A czy już nic w tych planach odmienić się nie da?

P. BONAWENTURA.

Nie kochanko, — dopóki towar się nie sprzeda. —

PANI HRABINA.

To źle — bo i ja także robiłam planiki
Lecz interesa papy mięszają mi szyki. —

*(nieśmiało).*

Jutro wszyscy zajęci końmi, wyścigami...
I liczyłam... że Papa... pojedzie wraz z nami.

P. BONAWENTURA *(marszcząc brwi).*

Źleś Wasani liczyła! Ta końska parada
Bynajmniéj do mojego gustu nie przypada —
To dla młodych, nie dla mnie zgrzybiałego dziada!

PANI HRABINA.

Szkoda! bo od tygodnia na jutrzejszą fetę
Teklunia już przyrządza śliczną toaletę —
Nową suknię przymierza i całe dnie marzy
Jak modny kapelusik będzie jéj do twarzy!

PANNA TEKLA.

Kiedy dziadzio nie jedzie, to i ja zostanę
Choć niewidziałam kursów.

P. BONAWENTURA *(żywo).*

A! moje kochane!
Jakto? do waszych zabaw mam stać się zawadą?
I więzić was przy sobie, kiedy wszyscy jadą
Jedźcież i wy za niemi — wystrójcie się ładnie —
Przecież tam bez méj straży nikt was nie ukradnie!

PANI HRABINA.

Łatwo to Papie mówić; lecz mojém jest zdaniem
Że gdy Papa nie jedzie, to i my zostaniem!
Wie papa jaka plotka po Warszawie lata
I co za długi język u modnego świata!
Jeśli się sama z córką w trybunie pokażę
Wnet nieobecność papy dojrzą nowiniarze
I ozwą się złośliwe zewsząd komentarze —
I całkiem już uwierzą że papa kochany
Niechce widzieć Marcelka — na nas zagniewany —

Więc choć mi przykro — sądzę że najlepiéj zrobię
Gdy w domu dzień jutrzejszy przesiedziemy obie!

P. BONAWENTURA
*(przechadza się szybkim krokiem po pokoju i mówi sam do siebie).*

No, proszę! Mościpanie; gdybym o tém wiedział
To byłbym sobie na wsi, jak lis w jamie siedział!

*(głośno)*,

A to djabelskie miasto! to rzecz niesłychana!
Mamże za domowego uchodzić tyrana?
Cudzą złość uradować a swoich zasmucić —
Lub dla modnych wybryków interes porzucić?

PANNA TEKLA *(całując dziadka w rękę).*

Myśmy powodem smutku i kłopotów dziadzi
*(ociera łzy z oczu)*

PANI HRABINA.

Niechaj się papa serca własnego poradzi. —

P. BONAWENTURA *(chwytając się za głowę).*

Mózg pęka, rozum słabnie jak gdyby w malignie!
Serce, tak serce tylko z téj toni mnie dźwignie!
Starcom jak ja, w grób bliski patrzającym śmiało
Dla których wszystko w świecie już zobojętniało,
Sprawiać przyjemność drugim, jest rozkoszą całą!
Miłość ku wam, jedyną dyktuje mi radę:

*(po pauzie).*

Jutro z wami na konne wyścigi pojadę!
*(obie kobiety rzucają mu się w objęcia).*

PANI HRABINA.

O! jaki Papa dobry!

PANNA TEKLA.

Jak dziadzio łaskawy

P. BONAWENTURA.

Wasza radość mi starczy za wszystkie zabawy!

## SCENA VI.

CIŻ SAMI i PAN MARCELI.

P. MARCELI (*wchodząc szybko*).

Dziadziu! Mamo! siurpryza całkiem niespodziana!
Stryjostwo do Warszawy przybyli dziś z rana —
Z całym domem — bo wzięli Kocia i Żanetę
I gotują się wszyscy na jutrzejszą fetę. —

PANI HRABINA (*do Marcelego*).

Ja ci się téż na dobrą nowinę zdobędę:
Dziadek będzie na kursach.

P. MARCELLI (*z uradowaniem*).

Dziadzio będzie?

P. BONAWENTURA (*wzdychając*).

Będę!

(*na stronie sam do siebie*).

Ha! starego Adama znów Ewa skusiła!
W naszych dawnych przysłowiach jest rozumu siła:
*Gdzie djabeł sam nie może, tam babę posyła,*

(*zwracając się do Marcelego*).

Nim pojedziem na spacer, powiedz no mi Wasze
O którējż to godzinie te wyścigi wasze?

P. MARCELI.

O czwartéj — ale trzeba ztąd ruszyć o trzeciéj
Bo choć droga niedługa, lecz czas szybko zleci.

P. BONAWENTURA.

Mam dziś wyexpediować trzy, lub cztery listy.
Odłożę do wieczora; — tylko do jurysty
Chcę napisać słów kilka nim z wami wyjadę,
By do mnie jutro zrana przyszedł na naradę.
*(siada do kantorka i pisze).*

PANI HRABINA *(do Marcelego)*.

Widziałeś się z stryjostwem? Jak się ma bratowa?

P. MARCELI.

Stryjaszek jak rydz czerstwy i stryjenka zdrowa. —

PANNA TEKLA.

Żanetka pewnie o mnie się wypytywała!
Czy niewiesz jaką suknią będzie jutro miała?

P. MARCELI *(śmiejąc się)*.

Do takich konfidencyj niedoszła Żaneta —
Stroiki, to są wasze kobiece sekreta,
O tem się z tobą samą dziś wieczór naradzi.
*(widząc że p. Bonawentura zapieczętowawszy list, podnosi się)*
Może czego potrzeba kochanemu dziadzi?

P. BONAWENTURA.

Zawołaj służącego. —

P. MARCELI *(otwierając drzwi do przedpokoju.)*

Wojciechu! Pan woła!

P. BONAWENTURA *(do wchodzącego Wojciecha)*.

Pójdziesz z tym listem. — Obok dawnego kościoła

Na ulicy — za placem zaraz — święto Jerskiéj —
Zapytasz się — tam mieszka mecenas Dyderski —
Do rąk mu własnych oddasz to moje pisanie
I poprosisz o odpis.

WOJCIECH.

Idę Jaśnie Panie.
(*wychodzi*)

P. BONAWENTURA.

Ten proces mnie markoci; — chociaż mam nadzieję
Że wygram.

(*bierze kapelusz i laskę*).

A tymczasem, jedźmyż w te aleje!

(*wszyscy wychodzą*).

**Koniec części pierwszej.**

# CZĘŚĆ DRUGA.

## SCENA I.

PAN BONAWENTURA i PAN DYDERSKI.

(*siedzą przy stole okrytym papierami.*)

P. DYDERSKI (*trzymając stary pargamin*).

Już może być spokojnym pan prezes dobrodziej,
Ten akt, jak najdobitniéj własności dowodzi
I bez repliki niszczy pretensye sąsiada; —
*Cum silvis boribusque* dokument powiada:

A że *in graniciebus* téj wioski Biłasów
Nie mogło być i niemasz żadnych innych lasów
Prócz tego co dotyka do gruntów Żarnowa;
Więc nam daje wygraną kontraktu osnowa,
Gdyż tylko o tym lesie może tu być mowa. —

P. BONAWENTURA.

Dopatrzyłeś Pan prawdę bystrém znawcy okiem,
Trybunał ją zwycięzkim potwierdzi wyrokiem
I da Bóg, kres położy téj granicznéj wojnie;
Ufny w zdolnościach pańskich, będę spał spokojnie.
Teraz przyjm drogi Panie me exkuzy szczere
Żem cię dziś fatygował na moją kwaterę —
Miałem zamiar zajść rankiem do jego mieszkania,
Lecz prożby wnuka, wnuczki, córki nalegania
Wzięły mnie w takie ciężkie obroty i krygi
Żem przyrzekł jechać z niemi na konne wyścigi!
Pojmiesz panie Dyderski, jako mnie starego
Nie łatwą było rzeczą namówić do tego,
Bo uważam za głupstwo te modne ich hece —
Alem zkapitulował na szlochy kobiece.

P. DYDERSKI.

Zupełnie pod tym względem zdanie pańskie dzielę.—
Oj, byłoby o kursach rozpowiadać wiele!
Krążą o nich po mieście powiastki złowieszcze
Iż nietylko są głupstwem lecz czemś gorszem jeszcze,
I staną się nie jednéj familii ruiną;
Bo na ten nowy zbytek krocie, krocie giną!...

P. BONAWENTURA.

To, coś rzekł drogi Panie, mocno mnie kłopoci —
Jakto? końskie wydatki dochodzą do kroci?
Co? w biednym naszym kraju do tegośmy przyszli?
Przerażasz mnie! —Bo oto staje mi na myśli

Że i syn mojéj córki zarażon tym szałem
Pokochał stajnię z całym młodości zapałem —
Wczoraj plótł wciąż o koniach — a ja go słuchałem!

P. DYDERSKI.

Łaskawy dobrodzieju! już to lat dwadzieścia
Jak jestem jego radzcą — a pańskiego teścia
Mój rodzic jeszcze trzymał w rękach interesa; —
Mam szacunek i przyjaźń dla pana Prezesa,
Więc sumienie mi każe dać przestrogę wczesną
I wypowiedzieć szczerze, prawdę choć bolesną!
Pan Hrabia był człek rządny — co rok w karnawale
Dawał kilka obiadów i dwa lub trzy bale,
Lecz przy ładzie, majątku nienaruszył wcale. —
Dopiero gdy on umarł — a pani Hrabina
Zdała zarząd dóbr całych na młodego syna
Rozpoczął się wydatków płochych szereg długi —
I nieznane w tym domu, zjawiły się długi.

P. BONAWENTURA (*z wzruszeniem*).

Długi? co słyszę! długi? aż przeszło mnie mrowie!
Ostatki siwych włosów wstają mi na głowie!
A jam żył sobie zdala bez obaw i trosek,
Nic niewiedząc — zajęty gospodarstwem wiosek —
Co się działo z mym wnukiem z moim ulubieńcem!

P. DYDERSKI.

Pan Marceli, jak mówią, jest zacnym młodzieńcem,
Niezbywa mu na takcie ani na rozumie,
Lecz namiętny — żądz młodych powściągnąć nie umie.
I żyjąc w towarzystwie nierozważnych trzpiotów,
Wraz z niemi, ojcowiznę roztrwonić jest gotów;
Bo kogo raz schwyciła do gonitw pokusa
Temu będzie za mało i skarbów Krezusa!

P. BONAWENTURA.

Może w tém co pan mówi, jest nieco przesady.
Wczoraj, wnuk mi się przyznał, że te ich zakłady
Są tylko dla pozoru, by gadano w tłumie, —
Że elegant warszawski zakładać się umie. —
A w istocie — po drukach i hałasach wielu
Kończą się, na obiedzie w angielskim hotelu!

P. DYDERSKI.

Nie przesadzam! opinia moja nie jest błędną!
Z resztą, stawki, zakłady są rzeczą podrzędną;
To co ich ciągnie w zguby otchłanie bezdenne
Jest kupno drogich koni i koszta stajenne. —
O tych dwóch głównych punktach chcę mówić Mu właśnie
I tu niebezpieczeństwo wyścigów wyjaśnię. —
Koń angielski krwi czystej, płaci się mniéj więcéj
Dziewięć, dziesięć, a czasem dwanaście tysięcy, —
Każdy *Jockéj* z Londynu w swéj kurtce szkarłatnéj
Trzykroć tyle co polski sługa bywa płatny —
Te konie rozpieszczone z młodu wygodami
Trudno paść sieczką z słomy, albo otrębami;
Trzeba im sypać owies, dać miękkiego siana,
A dzisiaj tych produktów cena niesłychana!
Wnuk pański, jak słyszałem już od wielu osób,
Urządził swoją stajnią na zamorski sposób:
Malowana podłoga — rzeźbione drabiny —
A w niéj — oprócz zaprzęgu dla pani Hrabiny
Jest sześć angielskich koni w oponach z tywtyków,
A do stajennéj służby, aż trzech angielczyków. —
Teraz *summa summarum* niech pan Prezes doda,
Do jakich kosztów pędzi ta szalona moda!...

P. BONAWENTURA (*ze smutkiem*).

Więc wnuk mój do ruiny prostą leci drogą!
Na ten przepych i zbytki, czyż wystarczyć mogą
Intraty ze trzech wiosek?

(*liczy na palcach*)

Konie... stajnia... sługi! —

P. DYDERSKI.

O! nie, niewystarczają! — Ztąd wexle i długi!...
Na pierwsze zawołanie młodego panicza
Lichwiarz na krótki termin pieniędzy pożycza —
A gdy niemasz czém płacić na czas oznaczony
Nowy oblig się pisze procentem zwiększony.
Lgną coraz głębiéj sępa brodatego szpony
Bo coraz dłuższy ogon do summy przyrasta,
Dopóki woźny z pozwem nie zawoła: *basta!*
I pan Marceli zaczął od pożyczki małéj,
Lecz go skrypta po skryptach daleko zagnały
I dziś za te płochości kara na nim bliska
Gdyż, jak słychać, Mośkowicz bardzo go naciska

P. BONAWENTURA (*z rezygnacyą*).

Pełen goryczy kielich dałeś mi do ręki —
A jednak, drogi Panie, dzięki tobie, dzięki
Żeś mnie ostrzegł, objaśnił o téj smutnéj sprawie
O któréj, jak pan mówisz, już głośno w Warszawie?

P. DYDERSKI.

Szałem pańskiego wnuka całe miasto tętni —
Żałują go życzliwi — szydzą obojętni —
Mnie zaś lżéj na sumieniu, że do uszu pana
Doszła nareszcie prawda długo ukrywana!

(*patrząc na zegarek*)

Spieszno mi — mam zajęty dzień interesami;
W bardzo ważnym procesie stawam przed kratkami
A może nawet po nim przyjdzie sprawa druga. —

(*zabierając papiery i kłaniając się nisko*)

Szanownego Prezesa najżyczliwszy sługa!

P. BONAWENTURA (*ściskając mu rękę*)

Drogi Panie Dyderski, dzisiaj najwyraźniéj
Dałeś mi szczery dowód prawdziwéj przyjaźni.

## SCENA II.

P. BONAWENTURA (*sam*).

(*siedzi przy stoliku z czołem opartém na dłoni*)

Wyrwać go z téj przepaści jeszcze czas jest może —
I przy Twojéj pomocy miłosierny Boże
Tym szaleństwom i hańbie dziś koniec położę!

(*po chwili namysłu*).

Wiem prawdę — lecz mi spadła straszniejsza od gromu
Zwiastująca dyshonor dla mojego domu!...
A jam liczył niebaczny. że mój wnuk Marceli
Pociechą mi ostatki życia uweseli,
Że strzegąc poczciwego przodków obyczaju
Będzie chlubą rodziny, zaszczytem dla kraju —
A on!...

(*wzdycha*).

Jam zaślepiony ucha mu nadstawiał
Gdy mi wczoraj o swoich *folblutach* rozprawiał,

I starca miękkie serce do pobłażań skłonne
Już go uniewinniało za te szusy konne!...

*(wstaje i podnosi ręce w górę).*

Panie! przed Twém obliczem pełen skruchy stoję!
Gorycz którą mnie poisz przyjm za grzechy moje,
Ale mnie nie opuszczaj w téj biedzie i wstydzie!...

WOJCIECH *(wchodząc).*

Pan Tatarkoski Jaśnie Panie!

P. BONAWENTURA.

Niechaj wnijdzie.

## SCENA III.

**PAN BONAWENTURA i PAN TATARKOSKI.**

P. TATARKOSKI.

Niech będzie pochwalony!

P. BONAWENTURA.

I na wieków wieki!

P. TATARKOSKI.

Z tém słońcem Jaśnie Panie nieunikniem spieki. —
Teraz ledwie dziesiąta a już, z przeproszeniem,
Tak gorąco, że w mieście człek wzdycha za cieniem.—
Jaśnie Pan by zaniemógł gdyby w te upały
Miał wraz ze mną przy wełnie siedzieć dzionek cały!
Zresztą, już dzisiaj rankiem przylazł niemiec stary,
Postąpił na cetnarze po cztery talary —
Widzę że nasz interes wkrótce da się zrobić —
Jeszcze coś tam — a targu będziem mogli dobić. —

P. BONAWENTURA.

Na rozsądek Wasana spuszczam się zupełnie
Nowy kłopot zabrania myśleć mi o wełnie.

P. TATARKOSKI.

Czy Jaśnie Pan już słyszał?

P. BONAWENTURA.

O czém słyszeć miałem?
Cóż tam nowego? gadaj!...

P. TATARKOSKI (*skrobiąc się w głowę*).

Z razu milczeć chciałem —
Lecz kiedy kalkuluję, widzi mi się przecie
Że trzeba Jaśnie Panu powiedzieć w sekrecie
O tém, czegom był świadkiem temu pół godziny. —
Idąc przed domem Jaśnie Wielmożnéj Hrabiny
Spotykam z przeproszeniem, burgrabię Stefana. —
„Dzień dobry! szczęść wam Boże! — Jak zdrowie Wasana?“.
Witamy się jak czynią znajomi zwyczajnie.
On mi radzi obejrzeć paniczowe stajnie;
Idziem — w głębi podwórza budynek paradny
Jakom nigdy nie widział w życiu stajni żadnéj —
Dach pod blachą — nad gankiem gzymsy, ceregiele.
Wewnątrz szyby w kolorach — wzdłuż filarów wiele:
Już chciałem się przeżegnać myśląc żem w kościele!
Konie choć bez ogonów lecz rosłe i śliczne,
Każden z nich ma nazwisko jakieś zagraniczne —
Jedna klacz, z przeproszeniém, zwie się *Totumsupa*,
Na niéj dera jak gdyby ornat u Biskupa.

P. BONAWENTURA (*z niecierpliwością*).

Te szczegóły i bzdury obchodzą mnie mało;
Gadajże wasan prędko — i cóż się tam stało?

P. TATARKOSKI.

Otóż gdy się tak bawię jakby na teatrze
I z otworzoną gębą na te dziwy patrzę —
Aż tu ni ztąd ni z owąd, wchodzi prosto drzwiami
Trzech ludzi z kałamarzem i z fascykułami —
Liczą konie, spisują, zaglądają wszędzie —
Jam się usunął na bok myśląc co to będzie:
I robię burgrabiemu po cichu uwagę
Że oni każdą szkapę będą brać na wagę,
Bom słyszał z przeproszeniem, że to moda taka
Iż ważą przed gonitwą każdego rumaka —
Lecz Stefan wstrząsnął głową i zalał się łzami
Mówiąc mi: „to komornik z swemi pisarkami!
„Tradują nas!“ — Wtém nadbiegł Pan hrabia Marceli.
I kiedy wszyscy razem coś gadać zaczęli,
Ja w nogi nieżegnając nawet i Stefana,
I tę smutną wieść niosę do Jasnego Pana.

WOJCIECH (*uchylając drzwi*)

Pani Hrabina.

P. BONAWENTURA (*do Tatarkoskiego*).

Wracaj na targ panie bracie,
A jeśli się z tym niemcem z Kalisza spotkacie
Nie marudź już z nim dłużéj — kiedy chce niech kupi.
(*do siebie z cicha*)
Widzę że się to wszystko na mym worku skrupi! —
(*Tatarkoski odchodzi*)

## SCENA IV.

PAN BONAWENTURA, PANI HRABINA.

PANI HRABINA (*blada i drżąca*).

Drogi Papo! cios straszny... plaga niespodziana...
Nieśmiem wyznać... a muszę! Tak jestem zmięszana...

P. BONAWENTURA (*przerywając jéj*).

Wiem o wszystkiem — i w mojéj też mąci się gło-
wie! —

(*po chwili namysłu*)

*Jak kto zasiał, tak zbiera*: powiada przysłowie —
Najbogatsza fortuna w przepaść leci snadno
Gdy zbytek z nieporządkiem do domu się wkradną.—
Gdzie długi, jak płaz szpetny, przez próg się przewleką
Tam komornik już bliski — woźny niedaleko!
Na tobie saméj ciąży najgłówniejsza wina,
Pobłażałaś Wasani płochym sprawkom syna,
Teraz nadeszła kara zaślepienia twego.

PANI HRABINA.

Papo, drogi mój Papo! ratuj Marcelego!
Dziś nieczas już obwiniać mą ufność niebaczną;
Za kilka godzin, kursa za miastem się zaczną.
Imie Marcelka w listę goniących wpisane
A wszystkie jego konie zaaresztowane!
Nie stawić się na placu niebyłożby wstydem?
Pomóż, pomóż nam Papo skończyć rzecz z tym żydem!

P. BONAWENTURA (*z oburzeniem*).

Jakto? a więc Wasani wstydem to rozumie
Że zabraknie Marcelka w sowizdrzałów tłumie?
A na to żadna w tobie nie ozwie się skarga
Że syn twój, po lichwiarzach zacne imie szarga?
Czyż i tym razem jeszcze pójdzie w las nauka?
Nie! — Mam lepszą opinią o rozsądku wnuka.
Czuję, że po konfuzie która go spotyka
Nie stanie grać przed rzeszą roli harcownika —
Że, gdy go w tem czém grzeszył, dotknął palec Boży,
Pod tym ciosem opatrznym we łzach się ukorzy!

PANI HRABINA.

Drogi Papa nie pojmie, pośród tego miasta
W jakie olbrzymie kształty każda plotka wzrasta;
Ile złośliwych żartów z wszystkich ust wystrzeli
Jeżeli się na kursach nie zjawi Marceli. —
A cóż to za wstyd będzie gdy się w końcu wyda
Że go zatrzymał w domu prawny areszt żyda!

P. BONAWENTURA.

Wiem ja, o! wiem niestety! że w waszéj Warszawie
Zamiast płakać w cichości, myślą o zabawie
Że gdy im hec, teatrów, muzyki za mało,
Szydzić z biédy bliźniego rozrywką się stało!
Lecz wiem także iż w mieście gadano nie tajnie
O zbytkach mego wnuka na konie i stajnie;
Szał jego był czas długi powiastką uliczną
Niechaj więc i pokuta stanie się publiczną;
Może ten smutny przykład mając przed oczyma
Niejeden marnotrawca w szaleństwach się wstrzyma!

PANI HRABINA (*składając ręce błagalnie*)

Nie! — Papa nieodepchnie mojéj prożby wdowiéj,
Tak ciężkich upokorzeń oszczędzi wnukowi —
Przewinił on płochością i dziś jest w rozpaczy;
Bóg każe nam przebaczać, więc Papa przebaczy,
Cios domowy przed obcych wejrzeniem zasłoni
I przyjdzie nam z pomocą do wykupu koni.

P. BONAWENTURA.

Przebaczyć?.. o! przebaczać, u mnie rzecz nie rzadka!
A od czegoż jest serce i ojca i dziadka?
Gniew tam gaśnie jak iskra co na wodę padnie
Bo żywy zdrój miłości w tém sercu jest na dnie!
Gniew zniknął — a w téj chwili nie czas się i żalić —
Ja tylko myślę nad tém jak wnuka ocalić,

Ale myślę nad takiém jeno ocaleniem
Któreby zaród złego wyrwało z korzeniem!
Tak — przyjdę wam z pomocą — wydam grosz ostatni
Aby was wyswobodzić z téj lichwiarskiéj matni; —
Ale oboje razem czuwajmy i brońmy
Marcelemu, by dłużéj miał trudnić się końmi
Które go do haniebnéj ciągnęły ruiny!

PANI HRABINA (*całując go w rękę*).

O! mój Papo najdroższy, mój Papo jedyny!
Niech od jutra się zacznie pokuta za winy,
Lecz dzisiaj, niechaj Papa wnukowi niewzbrania...

P. BONAWENTURA (*przerywając jéj, żywo*).

Bez najmniejszego sensu Wasani żądania!
Trzeźwieniem pijanego jesteśmy zajęci
Który zmorzony trunkiem leży bez pamięci,
A wasani od tego trzeźwienie poczyna
Że chcesz podać mu szklankę i nalewać wina?
Już dłuższą o tych kursach nie dręcz mnie rozmową:
Uszłyszałaś wasani me ostatnie słowo. —

(*po chwili — mówi spokojnie*)

Teraz do interesu. — U twojego syna
O jakąż się to sumę lichwiarz dopomina?

PANI HRABINA (*nieśmiało*)

Dług ten, do pięćdziesięciu tysięcy dochodzi; —
Ale niechaj nie myśli papunio dobrodziéj
Że Marcel wziął to wszystko — niech Papa pamięta
Iż tu weszły w rachunek procentów procenta,
Koszta....

P. BONAWENTURA (*żywo*)

O tych szczegółach nie gadaj mi dłużéj
Nie brudź ust twych tém błotem z żydowskiej kałuży!

(*po namyśle*)

Ha! pięćdziesiąt tysięcy! to pieniądz dość duży.
Na *sport* trzebaby widzę fortuny Książęcéj. —

*(pokazując na stojącą szkatułkę)*

Mam tu w listach zastawnych dwadzieścia tysięcy —
Jeśli dziś Tatarkoski kupca nie ominie,
Przeszło tysiąc Talarów za wełnę mi wpłynie —
To już kwota nie lada! — a dodamy do niéj
Sumę która się zbierze z wyprzedaży koni. —

PANI HRABINA *(z przerażeniem.)*

Co? konie?.....

P. BONAWENTURA *(z uśmiechem.)*

Tak; kochanko! wyprzedamy konie!
A za niemi i drabów angielskich wygonię
Że mi się nieobejrzą aż gdzieś tam za morzem.—
Tym sposobem kres zbytkom stajennym położem.
A co? czy niepochwalasz słuszności, mych planów?

PANI HRABINA

Dzięki Papie za pomoc!— Ale się zastanów
Drogi papo— że raptem odjąć Marcelemu
Wszystkie konie......

P: BONAWENTURA *(marszcząc brwi)*

Wasani zawsze po swojemu!
*Pop swoje a czort swoje!*— Czy myślisz Wasani!
Że dziś znów dam się skusić słodkim głosem pani?
I zastraszę się myślą, że plotkarka jaka
Nazwie tę wolę moją tyraństwem dziwaka?....
Owszem, będę się chlubił gdy świat modny powié:
Że dziad nudny zabronił warjować wnukowi!
Scenę rajskiej pokusy graj wasani sama:
Ewa jest— lecz niebędzie słabego Adama!.....
Przebaczyłem— a ty mnie chcesz gniewać na nowo?
Tak być musi— to moje ostateczne słowo! —

(*mówi spokojnie*)

Ot już sprawy część pierwsza — druga się zaczyna;
Wróć kochanko do domu, a przyślij mi syna,
Chcę z nim o interesach pomówić bez świadka.

PANI HRABINA.

Marcelek bał się stawić przed obliczem dziadka —
Biegliśmy tu oboje smutni, zatrwożeni,
Lecz on został na dole i czeka mnie w sieni.

P. BONAWENTURA.

Ten wstyd wróży mi dobre, przysparza otuchy. —
Kto wstydzi się swéj winy — dojdzie i do skruchy!

PANI HRABINA (*całując ojca w rękę*).

Odchodzę — i za chwilkę przyszlę Papie wnuka —
Tylko niech drogi Papa nie bardzo nań fuka!

(*odchodzi*)

## SCENA V.

PAN BONAWENTURA (*sam*).

Przebaczyłem — i łajać nie myślę już wcale.
Pieniędzmi, od żydowskich szponów go ocalę;
Lecz to nie dosyć — teraz zdrową radą, muszę
Ocaliwszy majątek, ocalić mu duszę —
Wzbudzić, jeśli w nim gasną, honoru uczucia,
Wyrwać biednego chłopca z téj kaźni zepsucia;
Niech na ludzki szacunek poczciwie zarabia
By stać się jeszcze godnym swych przodków....

WOJCIECH (*uchylając drzwi*),

Pan hrabia!

## SCENA VI.

PAN BONAWENTURA i PAN MARCELI.

PAN MARCELI (*wchodząc rzuca się do nóg dziadka*).

Dziadziu! najdroższy dziadziu! czyż zdołam w tę chwilę
Wyrazić me podzięki za dobroci tyle?
Niech od słów wymowniejsza łza co z ócz mi spada,
Mój szczery żal ogłasza — wdzięczność opowiada!

P. BONAWENTURA (*podnosząc go*).

Widzisz panie Marceli do czego to wiodą
Wasze kursa i *sporty* z angielszczyzny modą!
Widzisz, syn zacnych ojców na co się naraża
Gdy go płochość raz pchnęła w brudny próg lichwiarza!
Zbytek, dawnać to plaga śród naszéj krainy.
Zawszé bies gnał do szału — a szał do ruiny!
Niegdyś, placem wyścigów były polskie bory,
Rujnowała się młodzież na łowieckie sfory,
A gdy ktoś zagrzązł w długi — cała okolica
Powtarzała z przekąsem: „*psy zjadły szlachcica*"
Dziś inna znów zaraza nad szlachecką miedzą:
Dzisiaj konie angielskie z kretesem was zjedzą!
Stajnia, od psiarni stokroć żarłoczniejszym sępem;
Ot profit któryś waszeć nazywał postępem!...

P. MARCELI (*z uczuciem*).

Dziaduniu! już ja nie ten którym był niedawno!
Chcę tutaj przed dziaduniem odbyć spowiedź jawną
Jak gdybym klęczał korny przed konfesionałem.—
Trzy lat temu — gdy porwan nowomodnym szałem
Pierwszegom konia kupił — nieprzewidywałem
Jak ten pierwszy wydatek wciągnie mnie daleko
I do jakiej mnie zguby te konie powleką! —
Na koszt stajni, szła co rok z dóbr intrata cała,
Wkrótce i sprzedaż lasów już niewystarczała!

Brakło złota — lecz rzekli młodzi towarzysze
Że o złoto nietrudno gdy się skrypt podpisze
I usłużni — zawiedli aż do Mośkowicza
Który na gruby procent gotówki pożycza.—
A raz już zanurzony w téj zdradliwéj fali
Zamiast wrócić do brzegu, brnąłem coraz daléj.
Zaspokojona żądza, nową siała żądzę,
Bo każdy pociąg pióra sypał mi pieniądze. —
Dziś przejrzałem nareszcie — dziś czuję że błądzę!
Ocucił mnie z uśpienia grom co mnie uderzył;
Dziadziu! jam w parę godzin długie lata przeżył!
Udręczył mnie lecz podniósł święty głos sumienia.
O! zdrowym jest choć gorzkim, owoc doświadczenia

P. BONAWENTURA (*ściskając go*).

Niech ci Bóg błogosławi na téj skruchy drodze!
Twojemi szaleństwami zmartwiłeś mnie srodze;
Ale oto mi błysła niebieska pociecha;
W twem życiu moje życie znów mi się uśmiecha.
O! nie płonnemi były duszy mej przeczucia
Że twe serce Marcelku, wolne od zepsucia
Że tylko umysł młody z chucią nieoględną
Pchnął cię chwilowym wirem nad tę przepaść błędną,
Kędy kwiaty cnót wszystkich marnieją i więdną:

(*po chwili namysłu*)

Już musiała ci matka oznajmić me plany?
Wiesz czego się domagam mój wnuku kochany?

P. MARCELI.

Mówiła — i cieszyłem umartwioną mamę —
Bo i mnie zdrowy rozum dał rady też same. —
Tak! pojmuję — ma racją dziadunio dobrodziéj:
Już mnie dziś na wyścigi jechać się nie godzi. —

P. BONAWENTURA.

Dobrze! — A teraz inna myśl mnie niepokoi:
Musim teraz pomówić o przyszłości twojéj. —
Ufam twym sentymentom, ale cię w Warszawie,
Samego, śród niedawnych pokus niezostawię.
Za jaki tydzień, — gdy się przy pomocy Bożéj
Twój interes ułoży i twój dług umorzy,
Wezmę cię z sobą na wieś, na lepsze zabawy,
Byś nabrał do rolnictwa ochoty i wprawy;
Byś poznał jak to skrzętność, porządek i praca
Złotym plonem, za trudy ziemianom odpłaca.
A gdy się u mnie — ze wsią obznajmisz powoli
Pójdziesz chętniéj, pracować na swéj własnéj roli.
Ród nasz zawsze się bawił orężem i sochą
A ta ziemia nie była dla niego macochą;
Ziemia odwdzięcza dłoni co ją w skiby kraje,
Ona niebierze lichwy, choć z lichwą oddaje!
Na wsi, w każdéj dnia chwili jest nowa robota,
Szał żaden ani fraszka umysłem nie miota;
Miejskich próżniaków język, spokoju niedrażni
Nuda nie rodzi plotek — plotki, nieprzyjaźni!...
Marcelku! mnie odmładza ta błoga nadzieja
Że modnego *sportmana* zmienię w grykosieja
I złe które cię żarło, zniszczę w samém jądrze. —

P. MARCELI (*całując go w rękę*).

Wszystkie plany dziadunia pomyślane mądrze.
Słowa jego, jak zasiew padną w rolę żyzną:
Wczoraj byłem młodzikiem — dziś, jużem mężczyzną!

WOJCIECH (*uchylając drzwi*).

Pan Tatarkoski.

## SCENA VII.

CIŻ SAMI I PAN TATARKOSKI.

P. TATARKOSKI.

Niechaj będzie pochwalony!

P. BONAWENTURA.

Na wieki wieków — Amen!

P. TATARKOSKI.

Interes skończony!
Twardszym był od kamienia ten prusak niezdara;
Chciałem żeby postąpił choć po pół talara
Lecz ani weź. — U lutrów to już taki narów
Że twardzi. — Tysiąc dwieście czterdzieści talarów
Wypłacił, — część w papierach, a resztę dał złotem,
Oto są: (*rozkłada pieniądze na stole*).

P. BONAWENTURA.

Zostaw Wasan — policzę je potem.
Już mi tu niepotrzebnyś — ale jutro z rana
Niezapomnij przyjść do mnie. —

P. TATARKOSKI (*kłaniając się*).

Sługa Jaśnie Pana!

(*sam do siebie na stronie*)

A teraz gdym się pozbył jarmacznych kłopotów,
Cichutko, z przeproszeniem, czmychnę pod Mokotów.

(*odchodzi*)

P. BONAWENTURA (*licząc pieniądze*)

Tysiąc dwieście czterdzieści — nie brak i fenika.

(*Kładzie w kieszeń — otwiera szkatułkę, dobywa listy zastawne i mówi do Marcelego*)

No, pójdziemy poszukać pana Komornika —

Jest gotówką, tysięcy dwadzieścia i osiém;
O resztę, na dni kilka kredytu poprosiém. —

*(Kiedy pan Marceli wkłada rękawiczki i szuka kapelusza, P. Bonawentura mówi na stronie sam do siebie).*

Ten dzień, nie do feralnych dni życia policzę;
Zaczęły go, niepokój, smutki i gorycze. —
Teraz myśl już spokojna — serce we mnie chrobre:
*Niemasz złego któreby nie wyszło na dobre!*
Wnuk, po płochych wybrykach młodzieńczego szumu
Opamiętany, wrócił na drogę rozumu;
A żyd kursowe konie trzymając w areszcie
Od angielskiej mnie hecy uwolnił nareszcie!
Mogę więc, rozmyślając nad tą szczęsną dolą
Wyrzec z Horacym: *Sic me solvavit Apollo!*

*Pisane we wrześniu i październiku 1857 r.*

# MŁODE SERCE.

## (Powieść).

---

### I.

— Assendzka dobrodzika powiadasz tedy...

— Że to nic do rzeczy! Któż bo widział mój Referendarzu, chować ją tam gdzieś na wsi do lat dziewiętnastu u jakiejś zakazanéj ciotki, od któréj chyba tylko pierniki piec i konfitury smażyć się nauczy. A to mi właśnie wychowanie dla twojéj wnuczki!

Tak mówiła mierzonym i poważnym tonem pani Wojewodzina w swojém mieszkaniu na Senatorskiéj w Warszawie, do przyjaciela młodości. Ten całą swą osobą przypominał ostatki wieku zeszłego; w starownéj odzieży przebijała się staroświecka elegancya, w palcach kręcił złotą tabakierkę z portretem podobno Stanisława Augusta, z kieszonki od białéj kamizelki wisiał łańcuszek z brelokami, chustka na szyi w misterną związana

była różę, lecz nadewszystko głęboka dla płci pięknéj attencya, świadczyła wymownie że był niedzisiejszéj daty człowiekiem.

— Chciéj się tylko asseńdźka dobrodzika najłaskawiéj zastanowić — odpowiedział na uczyniony mu zarzut, z pewną gracyą niosąc szczyptę wyśmienitéj holenderki pod sam koniec nosa — iż sam dla niezależnych niestety! od woli méj okoliczności będąc nieżonatym, osierociałą ś. p. siostry kasztelanowéj wnuczkę u siebie hodować nie mogłem.

— Ależ Bogu dzięka na uczciwych krewnych jéj przecie nie brakło, a wpakowałeś ją do jakiejś dziury!... Któż to przecie ta pani... pani... jakże się tam ona zowie?...

— Pani Prościńska, rodzona siostra żony mego biednego siostrzana.

— Prościńska! Prościńska!... pierwszy raz słyszę o tém nazwisku. Skądżeście ją wyrwali?... Prościńska!— Jak téż mój Referendarzu syn twojéj godnéj siostry mógł się łączyć z takiemi imionami!

— Miłość ślepa, Mościa Dobrodziko!

— Ha! niechże Bóg broni od takiéj co koczkodonów wprowadza w najpierwsze familie! Jam dla niego zawsze moją krewną starościankę miała na oku.

— Wdzięczen będę do śmierci za ten dowód szczególnéj łaski assendźki dobrodziki; ale proszę tu było rozsądnie co począć! Dzisiaj tak; ledwie się wąsik mszyć zaczyna, już kawaler bryka na wszystkie strony, niechciał słuchać i basta.

— A cóż to jest chcieć albo niechcieć? Czyż myślisz mój Referendarzu, że się mnie pytano o panu Wojewodzie? a przecież...

Tu Referendarz westchnął głęboko, i za całą odpowiedź wzrokiem tkliwéj wymówki rzucił na Wojewodzinę. Poważna matrona zrozumiała zapewne znaczenie téj

pantomimy, bo wyciągając dobrze zachowaną i co się zowie piękną jeszcze rękę, dodała z uśmiechem:

— No, no, mój stary przyjacielu, któż bo widział pamiętać takie dawne dzieje. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— Pierwsza miłość nie rdzewieje Mościa dobrodziko! odrzekł stary kawaler z wielkim respektem i niemniejszą czułością, zbliżając usta do łaskawie podanéj sobie ręki.

— Banialuki mój Referendarzu, powiadam ci banialuki! Otóż tedy — kończyła daléj — między nami mówiąc, czas byłoby już przecie wydobyć Idkę z rączek szanownéj ciotuni, bo na dobitek gotowa ją wyswatać za jakiego szarego kuzynka kapocistę; tego by też jeszcze brakowało! Oto wiesz co? przywieź mi ją tutaj, ukażemy ją światu podczas koronacyi — a szczątek krwi tak zacnéj, partya świetna pod wszystkiemi względy, przynajmniéj stósownie śród swoich się ukaże.

Podczas gdy Referendarz nie bez pewnego atoli ambarasu, głęboką swą wdzięczność za tyle dowodów niezasłużonéj łaski w jak najtkliwszych wylewał wyrazach, oznajmiono, że zaszła kareta Jéjmości; powstając wnet ze swego adamaszkowego głębokiego, a podówczas staroświeckiego krzesła, uprzejmie dodała:

— Pomówimy o tem obszerniéj zacny przyjacielu, jeśli mi dzisiaj zechcesz w przejeździe na Bielany towarzyszyć.

— Zawszem najwierniejszy sługa assendzki dobrodziki! —

I Referendarz z młodocianą gracyą ofiarował ramię przedmiotowi swego dawnego lecz niewygasłego bynajmniéj uwielbienia.

Działo się to w ostatnich dniach kwietnia roku 1829 tego to roku świetnych zabaw i błogich nadziei... Jaką wówczas była Warszawa, niejednemu to jeszcze pamię-

tna — jaką jest dzisiaj, i o tém tu mówić niema potrzeby — jaką zaś będzie za lat drugie tyle?... któż to odgadnąć potrafi? — Niezagłębiając się zatem w przyszłość zakrytą przed nami i teraźniejszość zostawując w pokoju, cofnijmy się raczéj o tych parę tygodni, które poprzedziły tylko co przedstawioną scenę, bo tak potrzeba dla naszéj powieści.

## II.

*z Topolówki 26 marca 1829 r.*

Jużeś więc u *siebie*, w *swoim* pokoju, w *swoim* domku i na *swojem* gospodarstwie, droga moja Tereniu! winszuję ci tego wszystkiego, choć niezazdroszczę bynajmniéj; cieszę się z tobą i dla ciebie, a podobno najwięcéj dla tego żeś mi przytem wszystkiem zawsze taka poczciwa, że o twoim biednym trzpiocie niezapominasz, że go kochać nieprzestajesz, choć za mąż poszłaś! przyznam ci się teraz pod wielkiem sekretem, żem się bała aby twój pan mąż zupełnie mię z serca twego niewyrugował; niegniewaj się o to; cóż w tem tak strasznie byłoby dziwnego? wszystko się w koło ciebie zmieniło, mogłabyś była i ty się zmienić. Wiesz sama Rózię; co to za miła była panienka! a teraz.... ani patrzy na nas, zdaje się jedwabna suknia, szal i czepek, nieprzebytą między nią a nami położyły tamę; a niechże która niebacznie się odezwie z jakiem dawnem przypomnieniem a przyjacielską broń Boże radą... o, tak huknie z wysokości że już ani *mru mru*.— Może to dla tego żem kobieta, a do tego i bez nadzwyczajnego dotąd do zakonu Adamowego powołania, ale w każdym takim

razie bez ceremonii wzięłabym się za pana męża. — „Wszak wszystkie panny dobre“ — mawia czcigodny nasz sąsiad, może dla tego że sam został starym kawalerem — „zkądże te złe mężatki?“ — I w niezrównanéj pokorze serca i on i wszyscy jego kochani współbraciszkowie, ile się ich zmieści na świecie, wmawiają sobie że się *zniżamy* do udawania skromności, łagodności, swobody umysłu i Bóg wie czego, dla ich pięknych oczu, w pożytecznym celu zwabienia sobie męża, bez którego naturalnie w ich mniemaniu wszystko mdłe i szare na świecie; a jak już która dopnie swego, to już śmiało zrzuca maskę i dopiero ukazuje się w prawdziwem świetle, taką jaką była, jest i będzie przez resztę dni swoich — bywajcież mi zdrowi kochani panowie! Wprawdzie wiem i ja o tem, że małżeństwo jest niby próbierczym kamieniem rzetelnéj naszéj wartości — lecz tysiączne rozczarowania, zawody i niesmaki, miałyżby być niczem? — I dziwią się jeszcze, że nawykła do rodzinnéj swobody, do pieszczot, słodyczy i pobłażania nieboga co dotąd świat cały w różowej tylko barwie widziała, wraz z błogiemi ułudami traci i całą swą wesołość, swą wiarę w życie i w ludzi, a nie rzadko i zdrowie, i na otaczających ją bliżej mimowolnie spędza żal swój i nieukontentowanie? — Powiedzże sama, czyż więc nie słuszną mam z Ciebie pociechę? Najprzód widzę żeś nie taka jak pani Róża i wiele innych; bo pomimo strasznego mego napadu na mężów, wiem bardzo dobrze że nigdy prawie wina nie jest wyłącznie z jednéj tylko strony; a powtóre, pokazuje się ze wszystkiego że i twój małżonek z niepospolitych! — Ale ja się rozgadałem po swojemu, a ty przecie z mego listu czegoś więcéj wyglądasz i pragniesz zapewne jak rozprawy filozoficzno moralnej o przezacnym małżeńskim stanie, który bardzo szanuję, poważam, etc. etc. ale...... ale dosyć o tem. — Że my to po tobie odtęsknić się

nie możemy, tego zdaje się mówić niepotrzebuję, bo jużci przy całej twojej pokorze niemożesz nieczuć tego żeś nieoszacowana, tak jak ja wiem i czuję bardzo dobrze, że choć sobie jestem nic dobrego, jednak czasem .... ale tego przez skromność czarno na białem wypisać nie mogę. Po waszym odjeździe szlochałam dzień cały; jak przypomnę że już po wszystkiem, że się i z wieczorną pogadanką i z pustotami i ze twemi poczciwemi morałami na zawsze pożegnać trzeba, to aż serce pęka! — Teraz już wszystko wróciło niby do dawnego trybu, ale post! wszystko szare i mgliste; śnieg niknie powoli, na przeciw naszego okna łysieją pagórki, z dachów kapie i kapie bez końca! Całą moją pociechą *Rozrywki* naszéj kochanéj panny Tańskiéj, a w nich dziennik *Franciszki Krasińskiéj*! — Odczytuję go już po raz trzeci i doprawdy z coraz to większym zapałem. Kochana Franciszka! wyborna Franulka! żeby mi też przyszło sto łat żyć, zgarbić się i osiwieć (co nie daj Boże!) zawsze będę utrzymywała że trudno coś bardziéj naturalnego, przypadającego nam do serca w tym rodzaju napisać. Wszak to mój, mój własny dziennik! tak w nim moje myśli, moje pragnienia, moje bujania, moje uczucia, moje wszystko poznaję (oprócz urody naturalnie) — słowem jak ona niegdyś w romansach pań *de Beaumont, Lafayette i Scudery*, tak ja znowu w niej, saméj siebie widzę! — Dowód oczywisty żeśmy wszystkie od wieków z jednéj i téj saméj glinki ulepione — a wiesz że to koniec końcem nienajmilsze odkrycie! bo jednak chciałoby się troszki od innych odróżniać — niech sobie będą lepsze, piękniejsze, doskonalsze we wszystkiem, byle tylko nie zupełnie takie jak ja! — Ale wracając do *Dziennika Franciszki*, to tylko bieda że żadnego niemam królewica! — Cóż to ja znowu mówię? bieda? — ej, gdzie tam, chwała Bogu! mnie tu przy was, przy mojéj drogiéj Cioci, przy

wspomnieniu o rodzicach których mię Niebo pozbawiło tak wcześnie, przy tem wszystkiem co serce moje kocha, tak dobrze, że zda się niczego nie pragnę i z nikim mieniać bym niechciała — a być porzuconą, wzgardzoną choćby na chwilkę, choćby przez najpierwszego mocarza świata, o! tegobym niezniosła! — Ty wiesz że Ida dumna — i tego się niezapiera wcale; lecz kiedy mię Ciocia kochana zacznie prześladować o arystokracyę, to się bronię zapamiętale. Alboż ja niewiem, że wszyscy od Adama i Ewy pochodzimy? Już ci to prawda, że nie bardzo bym rada pójść kiedyś za jakiego *Trybulskiego* czy *Szafrańskiego*, czy *Pietruszkiewicza*, co to niewiedzieć zkąd, z *soli* albo z *roli*, nie zaś *z tego co boli*, chociażby siedział w złocie po same uszy; tem mniéj nawet! bo i na cóżbym miała iść za nich? są przecie dla nich *Trybulskie* i *Szafrańskie* na świecie — pani *Trybulska!* dziękuję za łaskę! — A i to, żeby pan Trybulski był miły, śliczny, rozumny, dobrze wychowany i co się zowie szlachetnie myślący — słowem żeby mi się podobał, to któż wie?...... Ale otóż właśnie Ciocia myśli że taki nigdy niemógłby mi się podobać — może nie, może tak — ręczyć za nic niemożna przed czasem. Że mile brzmią uszom i sercu nazwiska Tarnowskich, Sapiehow, Potockich, Zamojskich, Lubomirskich, Chodkiewiczów, Ossolińskich itd. itd. to niema co przeczyć — tyle świetnych ojczystych wspomnień do nich się wiąże, że jest za co Bogu dziękować jeźli ta krew co tyle razy za kraj i wiarę na polu chwały polaną była i w naszych żyłach płynie. — I cóż to przeszę komu szkodzić może, jeżeli przeto innemi niegardzę i tylko tyle żem rada ze swego Imienia i swego herbowego klejnotu?..... A potem, choć to kochana Ciocia na mnie niby napada, kto wie tylko czy nie możnaby to powiedzieć, że *kocioł garnkowi przygania* a *obydwa smolą* — gdyby np. komu przyszło do głowy po-

wiedzieć że Prościńscy z dziadów i pradziadów nie karmazynowa szlachta, oho! wnet zobaczylibyśmy coby mu na to zaśpiewała. A więc na moje wychodzi — bo jeźli wogólności wolno szczycić się *karmazynem*, pomnąc zawsze na pierwsze godło szlacheckie: *Noblesse oblige* za cóżby *illustracye* śród tegóż karmazynu miały iść w poniewierkę? Mnie się zdaje że albo znieść wszystkie różnice rodowe i cześć oddawać tylko zasłudze osobistéj, albo w tychże samych różnicach wszystkie szanować gradacye — tak też u nas dawniéj bywało, choć to niby *szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie* — Alboż to nie logicznie, co? — Widzisz! — Ale, ale — o mało mi niewyleciało z pamięci coś co mi całkiem zawróciło głowę i wyniosło tam gdzieś, gdzieś wysoko, ledwo nie pod obłoki, choć prawdę mówiąc sensu w tem ani za trzy grosze! Czy się niedomyślasz? — „Pewnie znowu pani Łowczyna nagadała!“ a cóż jeźli nie to? tak, tak nagadała! a tyś moja Tereniu nie w ciemię bita, co zresztą nie nowina. — Wracając do naszéj poczciwéj Łowczulki, niegniewajże się na nią i nie mów że to ona mię bałamuci — wszakżeś sama opowiadań jéj nieraz słuchała z wielką ciekawością, a przecież wszystko u ciebie pozostało na właściwem miejscu. Domek twój mały, nie jest że ci teraz zamkiem, pałacem? a pan Jan księciem, Wojewodą, kasztelanem, a przynajmniej starostą?... U mnieć to prawda, po każdem jej o naszych dawnych dziejach opowiadaniu, bardzo, bardzo szumi.... ale się i wyszumi — a zresztą prawdę mówiąc czyż to grzech tak wielki? — Pani Łowczyna jest jakby moją żyjącą familijną kroniką — przez nią to podobno najwięcéj takem biegła w rodzinnej genealogii, parentelach, koligacyach itd. Ona swą młodość na usługach babki mojéj spędziła, wypiastowała Ojca i nie tylko że się tego zapierać nie myśli, ale przeciwnie tém się szczyci — a jakże mnie kocha,

jak mi dobrze życzy! ani wątpi że kiedyś będę wielką panią! słowem poczciwa z kościami babuleńka! Otóż onegdaj odwiozła mi książkę com jéj wnuczce była pożyczyła i jak zwykle parę dni zabawiła w Topolówce. Już ja to zaraz zmiarkowałam żestaruszce język świerzbi, bo wciąż się uśmiecha i pokręca głową znaczącym sposobem na mnie spoglądając — aż nareszcie, niemogąc już dłużéj wytrzymać, razu jednego przy kawie ozwała się do Cioci: „Oto muszę się przyznać pani Dobrodzijce żem już Bogu chwała i na swachę wyszła". — „Pani Łowczyna! cóż to znowu nowego?" — „A tak pani Dobrodziko; miarkujże pani sobie jak się to stało; onegdaj siedziemy z moją córką; ona szyła sobie szlafroczek na wacie, taki wcale nie zły choć bardzo nie drogo kosztował, a ja robiłam oto tę samą pończoszkę co tu mam z sobą — aż tu do drzwi puk, puk. Kto tam? — Matko wielkiego miłosierdzia! wsunęło się żydzisko słusznéj urody, z taką długą siwą brodą że strach! Ale daj pani pokój; rozpatrzywszy się taki porządnie ubrany, czysto około niego, widać żyd jakiś układny — już to zaraz pani znać, jaki pan taki kram! Miarkujże pani sobie, skłoniwszy się pięknie wcale dobrą polszczyzną zapytał: „A czy tu mieszka pani Łowczyna?" — „Tu właśnie; a czego to asan chcesz odemnie?" — „Pokornie kłaniam pani Dobrodziejce; jestem głównym arędarzem w dobrach księcia S*** na Litwie" (a pani dobrodzijka wie że ja sama rodem z Litwy) — „jadę za własnemi interesami i umyślnie zboczyłem na mil kilka z drogi, żeby pani oddać list od syna co to u naszego księcia w obowiązku." — „Proszę, jaki grzeczny! bardzo asanu dziękuję panie arędarzu." — Taka ja kontenta pani Dobrodziejko; bo trzeba jeszcze wiedzieć i to, że już mój Franciszek dawno do mnie niebył pisał i byłam już o niego niespokojną — chciałam nawet żydowi i kawy kazać zgotować, ale powiedział:

„Nie, bardzo pani dziękuję, u nas teraz post.“ — Z Panem Bogiem; kiedy post to niechże sobie będzie i post; dalej tedy wypytywać o syna, o księcia, o wszystko. Bogu dzięka mój Franciszek zdrów i dobrze mu się powodzi; a książe ma być nawet tak łaskaw, że nic bez jego porady nie czyni; nie wiem pani czy to prawda czy nie, ale tak mi przynajmniéj powiadał żyd. Zapytałam go jeszcze: „a powiedzże mi panie arędarzu, czy to młody jeszcze ten wasz książe?“ — „O, młody pani, i przystojny mężczyzna!“ — „Zapewne być musi żonaty?“ — „Nie pani“. — „Doprawdy? ale wszak to bogaty pan?“ — „O, pierwszy bogacz na Litwie!“ — „A czemuż się nie żeni?“ — „Pan Bóg wie! widać nie może sobie dobrać do gustu.“ — A co pani myślisz? książe pan, to nie żarty! a miljoniki? Albož to u nas niebyłoby dla niego żony? — A mojaż królowa, a mojaż ty księżna kochana!“ — zawołała ściskając mię uszczęśliwiona. — „Co się też pani Łowczyni stało?“ — „A co pani? albož to nie równego jesteś urodzenia? a do tego i pięknie edukowana i widzą ludzie że i nie szpetna — nie bój się pani, nie ustąpisz nikomu, jak mię żywą widzisz! Co pani sądzisz? oto tak zaraz napisałam do syna: Kochany Franciszku! bardzo ci dziękuję za pamięć o staréj Matce i za oznajmienie o sobie; a ponieważ sam mi donosisz i ja taki od innych słyszę że książe pan na ciebie łaskaw i że twoim jest dobrodziejem, osądźże sam czém lepiéj możesz mu się odwdzięczyć, jeśli nie dobrą żoną? jej że mu tylko i godnego potomstwa brakuje. Jest tu u nas jak sam wiesz, panienka znakomitego rodu, dobra, piękna“. . . . — „Dla Boga! cóż to pani Łowczyna najlepszego zrobiła!“ — „Zmiłuj się pani, a czy to panią krzywdzi?“ — „Ale pewnie że krzywdzi, bo pan Franciszek gotów pomyśleć że“. . . — „A co komu do tego co się ubzdrzy starej babie? co ma być, będzie; uda się dobrze; nie

uda się — co robić; a zawsze taki przynajmniéj puściłam pogłoskę że i u nas są śliczne panny przecie — a zresztą.... któż wie? drogi Opatrzności pani, jak to mówią, nie zgłębione! a nuż"..... No powiedz tylko moja Tereniu, czy nie pocieszna to starowina? w najlepszéj nadziei że pan arędarz nie darmo do niéj zboczył — i że jak niegdyś przez Eljezera dla Izaaka, tak teraz przez jéj Franciszka dla biednego księcia pan Bóg wybierze małżonkę! — Tegoby też jeszcze brakowało, żeby nieborak któremu się nie śni o tak nadzwyczajnem szczęściu, za sprawą żyda arędarza i staréj babulki o sto górą mil jechał szukać sobie żony! — a potem, że pan wielki, magnat, młody i przystojny, to już prawda bardzo wiele, ale nie wszystko czego potrzeba! i ja przecie mam serce! — Wreszcie tak daleko od was! na samą tę myśl tęskno mi się już robi. Oto proszę, pani Łowczyna swojem dobrem sercem nie potrzebnego narobiła mi kłopotu! Jakkolwiek bądź gniewać się na nią niemogę; wszystko to bowiem choć dziwaczne i śmieszne, w dobrem źródle, w szczerej życzliwości początek wzięło — a więc może i doprawdy, dziwnym jakimś trafem...... O, widzę, widzę jak się ze mnie śmiejesz, jak kręcisz głową i grozisz mi palcem mówiąc: „O, pusta, pusta głowo!" — Jużciż pusta, to nie sekret; ale pomimo tego uręczam cię, zdałaby się i na *księżną panię*! — Już to tak prawdę mówiąc, nie wiem co mi Bóg przeznaczył, państwo czy chudopachostwo — bogactwa lub biedę; ale jakoś mi się i jedno i drugie uśmiecha. Tak, tak doprawdy — czasem marzę o marmurowych pałacach, złocistych podwojach i szumnym dworze, jak za dobrych dawnych czasów bywało — inny raz znowu o schludnym domku, ładnym ogródku i szczęśliwéj mierności. Jak jedno tak drugie ma swoje powaby; a choćbym się całem sercem zdała choćby na królowę, zdałabym się też i na gosposię,

z twojem wielkiem przeproszeniem — i kto wie nawet czy skromny i cichy obraz tej ostatniej, milszego mi nie zostawuje wrażenia; bo ach! utaić tego przed sobą nie mogę — wielkość, sława, bogactwa, mogłyby się stać i dla mnie tak jak dla wielu innych, bardzo niebezpiecznemi, zwłaszcza że przy nich brakłoby może na czemś daleko ważniejszem, na tem właśnie co prawdziwe szczęście, o ile go tu mieć możemy, stanowi.— Widzisz że jestem rozsądną! -- Koniec końcem, coby kolwiek mię też czekało w przyszłości, przyznaj sama że niepospolity koncept poczciwéj Łowczyny, pod wprawnem piórem mógłby się stać osnową jakiegoś romansu! Gdybym to ja miała talent naszéj panny Tańskiéj na przykład, ubrałabym tę rzecz po swojemu i puściła w świat — o, i autorką być bym chciała! tylko niepospolitą ma się rozumieć. — Ale ponieważ do ciebie tylko pisać umiem, kończę na dzisiaj, rychło wczas się obejrzawszy że w wielkim poście post języka, pióra a nawet i myśli, wcale niezawadzi — i że też jakie takie choć z téj strony warto zadać sobie umartwieńko. Chciałam ci to prawda serdecznie suszyć za moje ciężkie grzechy; ale Ciocia zawsze do zbytku o mnie troskliwa, na to niepozwoliła. Tymczasem wielki tydzień nadchodzi! a dębem stają włosy na głowie na samo wspomnienie żem tak zakamieniała i tak całem sercem lgnę do tego mizernego świata i wszystkich jego próżności. — Bywaj zdrowa droga moja, nie prędko teraz napiszę; ale też da Bóg będziesz miała za poczekanie.

# III.

*Z Topolówki dnia 22 kwietnia 1829 roku.*

Moja Tereniu! Jakże miło jak wybornie żyć na świecie! Słoneczko świeci tak jasno, śniegu już ani na lékarstwo, łączki zielenieją, fiołki pachną, bzy duże mają pączki, żółte motylki latają, skowronki śpiewają wesoło wzbijając się pod obłoki, bociany uściełają sobie gniazdo na staréj lipie za oficyną, wszystko piękne i szczęśliwe! Nawet Wisła rada że się pozbyła brudnych lodów! Czemuż nie jestem fijołkiem, motylkiem, jaskułką, skowronkiem... czy rybką w wodzie, wietrzykiem w powietrzu... Ale nie! nie żałuję, dziś zwłaszcza ani trochę nie żałuję żem się urodziła kobietą, że jestem Idą! Otwierasz oczy moja ty droga; pytasz do czego te wszystkie wykrzykniki? — prozaiczna kobieto! nie widzisz że mię moja gorączka napadła? nie widzisz że..... ale już ja ci to wszystko rozpowiem!

W wielką sobotę o szóstéj wieczorem, proboszcz w komży i stule nad suto zastawionemi i smakowicie pachnącemi stołami w obec nas wszystkich i całego grona domowników, odmawiał zwyczajne błogosławieństwo — był to już jakby wstęp do Wielkiéj Nocy, przedsmak święconego, na które nie jeden w gromadce skrycie się oblizywał. Koniec postu, początek świąt wesołych! Jeszczem nie uśpiała otrzeć krople wody, które się i nam z hojności pasterza rzęsisto dostały, gdy się dał słyszeć turkot zajeżdżającego przed ganek powozu — serce mi także zaturkotało z radości! wiesz jak czasem gości lubię — biegnę do okna i spostrzegam... zgadnij kogo?... poczciwego Bronisława, co nam zgotował tę

miłą niespodziankę i nieuprzedzając nikogo, z Krakowa do domu zjechał na święta — a nawet nie jeden! Przedstawił Cioci nieznajomego: „Pan Zygmunt Zacnowski, mój przyjaciel.“ — Ciocia przyjęła go ze swą szczeropolską gościnnością, która jeszcze nigdy tyle wyborną mi się niezdała, zapewne dla tego że pókiś ty była w domu, tom się ja o nic tak bardzo nie troszczyła i mało na co zważałam; a teraz co innego — staram się ciebie zastąpić... i wiesz, wcale nieźle idzie! Moja serdeczna, byłabyś ze mnie kontenta, bo mię to niespodziane przybycie właśnie dla tego że niespodziane, bynajmniéj nie wybiło z konceptu — a choć się po same białka zaczerwieniłam, ma się rozumieć z radości dla naszego poczciwego Bronisława, czułam jakoś żem nie była taką jak to wiesz kiedy mię kto czasem gniewa lub ambarasuje. Owszem przez wszystkie te dni tak mi jakoś lekko, tak swobodnie, takem siebie pewna i... nieumiem ci tego wyrazić... ale zdaje mi się żem i was wszystkich i cały świat dwa razy więcéj pokochała —! — Chciałabym doprawdy żeby mi zawsze wszystko spadało *insperate*, jak mówi Łowczyna; upewniam cię to daleko korzystniej! Gość zwłaszcza skoro sam wleci jak piłka, dużo też od nas wymagać niemoże i gotów wszystko przyjąć z pobłażaniem — wreszcie sama niespodzianość takiego wpadnięcia będąc rzeczą niezwykłą w niezwykły też wprawia *rezon* — i tak wszystko co się mówi i czyni idzie z natchnienia, jak z płatka. —

Przygotowań nienawidzę! bo kiedy kogoś czekam, to w żaden sposób nie mogę wytrzymać aby w niespokojnym umyśle nie układać naprzód całych rozmów, pytań odpowiedzi naturalnie bardzo zgrabnych, gładkich, dowcipnych i przyjemnych — ale też na tém i koniec; bo albo wcale do nich nie przyjdzie albo co jeszcze gorzej, choć się i nadarzy zręczność, to się powie wcale nie to i wcale nie tak jak się powiedzieć chciało — i

potem tylko złość i niesmak po czasie! O, już co to to pewna, że jeżeli mam się kiedy komu podobać, to chyba takiemu co spadnie jak z nieba i wleci jakby jaka bomba!

O dziesiątej wszyscyśmy się udali do kościoła na rezurrekcyę, podczas której chłopcy palili z moździerza na wiwat Panu Zmartwychwstałemu, jak nigdy! noc była prześliczna a kościół zdaleka gorzał tysiącem świateł— dawno też dawno tak serdeczniem się nie modliła. Była chwila zwłaszcza, w której oderwana od wszystkiego co ziemskie, przejrzałam jakby oczami ducha! Ujrzałam w całej niewypowiedzianej jasności i niezmierzone Stwórcy ku nam miłosierdzie i słodycz nieporównaną, którą zgotował tym co Mu się oddają zupełnie i roskosz anielską—i takie rzeczy, których już dziś ani tobie ani sobie przedstawić nie mogę!—A jak podjęto Pana z grobu a zaśpiewano: *Wesoły nam dziś dzień nastał* i procesya potrójnym wiankiem okrążała świątynię, jakoby mi się skrzydła u ramion znalazły! spojrzę na książkę, mokrzuteńka od łez, których jednak nie czułam—i już, już mi się na dobre zachciało wzlecieć do Nieba, gdy całem sercem wtórujący głos, dźwięczny, piękny, ale niestety! nie chór anielski! przykuł mię znowu do ziemi. Mimowolnie, jakby jakiego ukrytego magnesu skutkiem, żwawo obróciłam głowę—i spotkałam wzrok pana Zygmunta! Ach! przed tem ziemskiem spojrzeniem, zamknęły się moje duszne oczy..... i już ich więcej otworzyć nie mogłam. Wprawdzie uczucie jakieś nieznane i nie bez wdzięku mię opanowało — żal mi jednak pierwszego! tamto musiało być lepsze, bliższe doskonałości, kiedy tak krótko trwało! — Moja jedyna, on musi być dobry, kiedy tak szczerze się modli! nieprawda? Ale korci mię to, że widział moją zpłakaną książkę i oczy! może myśli, żem... zakochana, broń Boże!—Radabym też wiedzieć jak ty go sobie przedstawiasz? Jak

moją idealną męzką piękność może? — Słuszny, wysmukły, czarnobrewy, blady, z ciemnym wąsikiem, greckim profilem, interesującą twarzą; a przytem w mazurku niedorównany, w walcu niejprześcignięty, itd. — Pamiętasz zapewne że takim był ów ideał, o którym czasem, w wyskoku wybujałej fantazyi, jak o ósmym cudzie świata marzyłam, za com też od mojej mądrej Tereni, nie jedno rozsądne usłyszała kazańko. — Otóż uspokój się; niepojmuję gdzie się to wszystko podziało — znikło jak noc przede dniem, jak sen przed rzeczywistością! Bo patrz tylko, ten pan Zygmunt prędzéj blondyn niż brunet, prędzéj mężny niż cienki, prędzéj brzydki niż piękny, jeźli pięknością w mężczyznie zowiesz regularność rysów — prędzéj milczący niż gadatliwy, prędzéj flegmatyk niż żywy, a wiesz sama jakem z twojem i wszystkich rozsądnych ludzi zgorszeniem, piorunowała zawsze przeciw flegmatykom — co więcéj, powiada iż nietańcuje wcale! A z tem wszystkiem wcale niemogę powiedzieć żeby mi się on niepodobał! Wszak to między nami zostanie? — Ale zkądże znowu ta obawa? dotąd póki żyję żadnych dla nikogo tem bardziéj dla ciebie niemiałam tajemnic — i teraz konieczną zwierzenia się czuję potrzebę — czegóżbym się więc bać miała?... Ażebyś wiedziała jaki rozumny, to aż strach! O, źle mówię; nie strach wcale; bo przy całéj swojéj umiejętności, wyższości swojéj nienarzuca nikomu, owszem zachęca jakoś, ośmiela; a choć daleko więcéj z Ciocią i starszemi niż z nami pannami rozmawia, jednak z nim mówiąc wcale mi się nie plącze język jak to czasem bywa — i do młodszych siostrzyczek czasem zagaduje... prawie częściéj niż do mnie — i z niemi i ze mną wszystko idzie bardzo gładko, bardzo naturalnie — słowem, wiesz kogo mi przypomina? Nie kasztelanica Kochanowskiego, ani nawet królewicza Karola, tylko zupełnie pana Starostę Świdzińskiego! — Zaczynam poj-

mować że i Basia być mogła szczęśliwą! — Bronisław mówi o przyjacielu z największym szacunkiem, ledwie nie z uszanowaniem, co zresztą sama różnica wieku tłumaczy — pan Zygmunt musi mieć lat ze trzydzieści! Wyobraź sobie jeszcze co za mania! Choć ma być majętny, zgadnij czego się uczył w uniwersytecie? — niezgadniesz nigdy — oto medycyny — ma stopień doktora! To mi się podoba, to pięknie poświęcić się tak trudnym naukom, tak mozolnemu ślęczeniu, tak utrudzającemu zawodowi, nie dla zysku, nie dla karyery, nie dla sławy nawet, lecz dla ratunku ubogich bliźnich i kmiotków swoich włości. Przyznaj sama, to popęd wielkiéj, szlachetnéj duszy! Ale piękna zemnie wice-gospodyni, niema co mówić, ślicznie cię zastępuję! Gości najechało w téj chwili, a ja niebiegnę co tchu na ich spotkanie, lecz piszę panegiryki osoby, o któréj temu dni kilka ani mi się śniło że jest na świecie! Żegnam cię zatem — do jutra!

*23 Kwietnia.*

Źle podobno słychać z twoją biedną Idką! smutno jéj dzisiaj! — Jednak czas równie piękny, i słońce i ptaszki te same co wczoraj — i słowik nawet się odezwał, a łąki jeszcze pozieleniały — i Bronisław jeszcze kilka dni zabawi... A tak mi jakoś dziwnie takem przez cały ten czas była wesoła, tak rada ze wszystkiego, ze wszystkich, oczywiście i z siebie...że nierozumiem tego, a raczej niechcę zapuszczać się w głębsze badania, niechcę wyruszyć po odkrycia w nieznane mi dotąd strefy mojego serca, bo mi tak dobrze było, tak lubo! Ale też i ty mi bardziéj niż kiedy brakujesz, a musi to być prawda gdym wczoraj porzuciła miłe towarzystwo i zajmującą rozmowę w salonie, aby z tobą choć listownie

pomówić. Gdym już była skończyła pisać i tylko jeszcze odczytywałam niektóre kawałki, wpadł Bronisław z wielkim hałasem, papier i pióro bez ceremonii wytrącił mi z ręki i kazał bawić gości i robić herbatę nieszczędząc mi po drodze morałów — od herbaty szczęściem wybawiła mię poczciwa Helenka, która mi bardzo zaczyna ciebie przypominać i zobaczysz że wkrótce na śliczną i praktyczną pannę wyrośnie — niech jéj to Bóg wynagrodzi! Zjechało się było kilka osób z sąsiedztwa między innemi i pani Róża z mężem i siostrą, obie bardzo wystrojone i z paką nót w rezerwie na przypadek gdyby je grać i śpiewać proszono, naturalnie żeśmy ten przypadek wyprowadzili na scenę i bardzo dobrze się stało — pani Róża grzeczniejszą była i weselszą niż zwykle, aż mi żal tego com o niéj w pierwszym moim liście napisała, taką jak wczoraj doprawdy ją lubię; bo to znowu dziwna osoba! raz tak, drugi raz inaczéj, od fantazyi. Po herbacie i muzyce, że tańcować jeszcze do przewodnéj niedzieli niewolno, a droga Ciocia od przepisów kościoła bez wyraźnéj potrzeby nigdy ani na jotę nieodstąpi, zachciało się koniecznie naszemu braciszkowi, który przez post ani trochę nie spoważniał, przypomnieć sobie dawne czasy i w gry *niewinne* pograć — były więc kolejno wszystkie biegane na placu; ale pan Zygmunt do nich się nie mięszał, przypatrując się nam z całem poważnem gronem. „A dopókiż tak będzie?“ zawołał nareszcie zasapany Bronisław. „Upraszam całe prześwietne towarzystwo aby usiadło parami, niewykręcisz się teraz panie Zygmuncie, ani mama dobrodziejka, o tak! a teraz proszę uważać.“ To powiedziawszy zaczął to jedną to drugą parę attakować rozmaite zadając pytania; jeżli zaś na nie odpowiedziała osoba zagadniona a nie obok siedząca, fant dać musiała i zmieniała pytającego. Uważałam że najczęściéj napadał na pana Zygmunta i na

świeżutką siostrzyczkę pani Róży, która między nami mówiąc naszemu studentowi trochę wpadła w oczko i niezdawała się za to gniewać bynajmniéj, owszem co chwila złapana na roztargnieniu, ogałacała się z widocznem upodobaniem ze wszystkich swoich bransoletek i pierścionków, składając je z przymileniem w ręce Bronisława. O ci mężczyzni, mężczyzni! byle tylko ładna twarzyczka to i dosyć, nie pytają o więcéj, a nawet niewiem czy zawsze radzi znaleźć więcéj, nie wszyscy jednak, nie wszyscy... pana Zygmunta długo nikt nie mógł zwalczyć, ale nareszcie wybiła i na niego zła godzina... gdym go o coś zapytała, odpowiedział...i fant dać musiał, dopiero był tryumf ogólny! — Gdy przyszło do rozegrania fantów, kochana Ciocia raczyła wszystkie przyjąć na swoje kolana — po kilku mniéj więcéj zabawnych pokutach, które nowego ognia do ogólnéj wesołości dodały, zapytała znowu: „Cóż ma uczynić ten, którego fant trzymam?“ — „Niech nam co wydeklamuje!“ — zawołał sędzia. Fant się ukazał — był to pierścień z krwawnikową pieczątką pana Zygmunta; na widok swego fantu powstał skromnie i bez namysłu ani ociągania się, powiedział zwolna i dobitnie, głosem w którym było coś dziwnie wzruszającego:

Z pałaców sterczących dumnie
Zejdź miła do mojéj chatki,
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie!

Tereniu! ten Mickiewicz to wielki poeta! spotkały się znowu oczy nasze — a może nie tylko oczy... i żeby mi wieki żyć przyszło, spojrzenia tego niezapomnę! Nieśmiéj się ze mnie kochana, to niepochrześciańsku! byłam dzieckiem, gdy tego wszystkiego pojąć nie byłam w stanie! — Jakiś głos wewnętrzny szepnął mi ni ztąd

ni z owąd: „patrz to będzie tw..“ ale nie, lepiéj nie do mówić. Może on ani myślał, może mi się tylko tak zdało; może... Wkrotce gra się skończyła; sąsiedztwo się rozjechało, a myśmy zostali sami. Niewiem czym unikała pana Zygmunta, ale to pewna że wzrok jego ciążył nademną i nieśmiało, pomięszano mi było w sercu. I on coś milczał. Po wieczerzy gdym jedna stała w oknie, choć ku świecącym na niebie gwiazdom wzrok miałam zwrócony, widziałam jak się zbliżył nieznacznie i usłyszałam w krótce półgłosem wyrzeczone słowa: „Czym panią czem obraził?“ — „Mnie? dla czego?“ — „Tak mi się zdało... że się pani na mnie gniewa“... — „Jakżeby to być mogło? na pana! i za co?“ — „Niechciałbym przykrego zostawić wspomnienia i... dla wszystkiego... całem sercem przepraszam!“ — Wzruszona chciałam coś odpowiedzieć, zaspokoić go, upewnić że gniewać się nie mam za co... ale nadeszło kilka osób, także i Ciocia — i tyle tylko było całéj naszéj rozmowy. Powiedz mi co ona miała znaczyć, bo ja tego dobrze nierozumiem — to jest nierozumiem, ale.. zdaje się żem się nie omyliła! o co nie to nie! tu w sercu jest *coś* co nas ostrzega gdy się komu na dobre podobamy; a to *coś* to sympatya, to nić niewidzialna którą Stwórca przy stworzeniu powiązał dusze do siebie podobne i serca sobie przeznaczone — tę nić można rozerwać umyślnie, lub przez niebaczne z nią obejście się, ale związać z drugą... nie, to niepodobna! — Przed rozejściem się na spoczynek, jeszcze tego samego wieczoru pan Zygmunt nas pożegnał — i wiesz co? zdało mi się że go Ciocia niedosyć zatrzymywała; wprawdzie powiadał że śpieszy do domu bo się spodziewa przybycia matki swéj z Litwy; ale możnaby przecie coś więcéj powiedzieć jak: „bardzo żałujemy że pan dłużéj z nami zabawić nie może.“ — To się niemal każdemu powtarza! a potem znowu, gdy prosił o pozwolenie ko-

rzystania nadal z tak *zacnéj i miléj znajomości*, możnaby je dać w sposób bardziéj zachęcający! prawdziwie ledwie nie powiem że przywitanie lepsze było niż pożegnanie! I on to musiał uważać— ta myśl mię smuci — co też mógł o nas pomyśleć? może nie wróci!... Ach! a teraz tak pusto, tak tęskno za wami wszystkiemi! przyjeżdżajcie, proszę was, bo powtarzam Ci nigdyś mi tak pożądaną a może i tak potrzebną nie była.— Bronisław jeszcze kilka dni bawi; on niecnota musiał także coś uważać; ale jak na złość nic o tem nie mówi — owszem zdaje się unikać wszelkiego objaśnienia; a jednak znam go i widzę doskonale że mu język świerzbi. O przyjacielu mówi że go poznał przeszłéj zimy w Krakowie, że majętny, ma wioskę w Krakowskiem i dobra na Litwie, w których głównie dotąd przemieszkiwał i pochwał mu w żadnym względzie nie szczędzi; a bardzo mi przyjemnie z ust jego takie gruntowne słyszeć zdania. Nawet sama nieoszacowana Ciotka, choć wszelkim domysłom i przedwczesnym projektom jak wiesz zawsze była i jest przeciwną i nie przestaje powtarzać stare przysłowie że *aby z gruntu poznać człowieka, beczkę soli z nim razem zjeść potrzeba*, pewnego ukontentowania wszakże jak mi się zdaje ukryć nie może. Dzisiaj Bronisław rozgadał się jak to wiesz, po swojemu, nieoszczędząc nikogo dowcipnym swym ale nieco uszczypliwym językiem; aż niby to żartem, niby na prawdę powiedziałam mu: „Poczekajże mi szkaradny drwiarzu; jeźli kiedy będę miała męża, (bo *nb.* męża pani Róży najwięcéj obracał) niechno cię tylko spostrzegę z daleka, to go zaraz pod rękę i daléj w świat!“— „Ale ba! moja Idko, jakżeś dziecinna ja się z twojego męża śmiać nie myślę, bo wyobrażam sobie że to będzie doskonałość!“— Doskonałość jak doskonałość, gdzież jéj szukać na świecie? Ale kiedy już koniecznie ma być mąż, to pewnie co dobrego!

Ale co też ty o mnie pomyślisz Tereniu? co powie twój *Jegomość* szczególniéj? Byłabym sobie wyrzucała gdybym ci tego wszystkiego niewypowiedziała — a teraz stracham się i niepokoję żem otwarła tajniki serca, żem zprofanowała może uczucia których jeszcze ocenić nie umiem. Prawda iż są rzeczy żadnym językiem wysłowić, żadnem piórem oddać się niemogące — i to mię trochę pociesza. Myślcie sobie i mówcie co się wam podoba, ale przedewszystkiem znajcie mię taką jaką jestem — i jeżli warto, to kochajcie — a jeżli nie?... A! to cóż robić! niezasłużonego nic niechcę! — Teraz zaś proszę cię i błagam moja droga, jeżli myślisz że tu dużo jest niepotrzebnego, to spal całe liścisko i bywaj mi zdrowa!

## IV.

Czy usłuchała przyjaciołka téj ostatniéj rady, tego z pewnością powiedzieć nie możemy; ale podczas gdy odczytując wyznania Idy, gotowała na nie odpowiedź zapewne z morałami, w innéj stronie są także miejsca i ludzie, co nas obchodzić mają prawo.

Oto naprzykład tam zdala ku południowi w malowniczém położeniu, wznoszą się szare mury starego zamczyska, cztery narożne baszty, w których czas niejedną wygryzł szczerbę, unosząc się po nad wierzchołki otaczających je do koła ponurych świerków, przenoszą wędrowca mimowolnie w dawno już przeszłe czasy. Niegdyś tam być musiało i ludno i gwarno — dziś tylko puszczyk w odwiecznych murach gniazdo swe zakłada

i co nocy złowieszczym krzykiem, pozostałym z przeszłéj wielkości ścianom rychły zapowiada upadek... Głuchy teraz a niegdyś pełen życia i ruchu, obszerny, kamieniem wykładany podwórzec, przerastały zielska i chwasty, ordzewiały łańcuchy zwodzonego mostu, fossy opanował łopuch z pokrzywą, a w oknach z szyb ogołoconych, gnieżdżą się kawki. wróble i niedoperze — i wicher zagłębiając się w puste korytarze, nocami wyje przeraźliwie: Rudera — rudera!

Jedną tylko część zamku czas zostawił nietkniętą, jakgdyby go zaklęły cienie bohaterów, jakgdyby się był uląkł ich pamięci i nieśmiał dzieła zniszczenia dokonać na ich ostatniém schronieniu. Śród zwalisk, prochów i gruzów otaczających ją do koła, sala portretowa ostatni przeszłych splendorów zabytek, jakby cudowną ręką zachowaną była. Wielkie gotyckie okna z szybami w ołów oprawnemi, z których środkowa ze szkła kolorowego, nosiły na sobie wyryty familijny klejnot, śród dnia nawet rzucają fantastyczne i niepewne światło na złocone lamperye, szare wyniosłe sklepienia, marmurową posadzkę i groźny szereg antenatów, których wizerunki w hebanowych, kosztownéj snycerskiéj roboty ramach, wzdłuż całą pokryły ścianę. W żelaznéj zbroi rycerze, co pod Piastami mężnie w kraju obronie walczyli — wielcy dygnitarze koronni w bisiórach, sobolich szubach i kołpakach, złotem i drogiemi kamieniami bramowanych szatach — Hetmani z buławą w ręku — kanclerze z pieczęcią — biskupi w mitrze i fioletach — wojewodowie, kasztelanowie w złotolitych pasach, z szablicą u boku, z podgoloną głową, i zawiesistym wąsem, skrytą trwogą przejmują przechodnia, z politowaniem i wzgardą zdając się zwracać ku niemu surowe oblicze. Daléj za Sasów spostrzegamy już częściéj zarzucony strój narodowy; ogromne od wykwintnego francuzkiego dworu pożyczone peruki, zastąpiły starodawną ojców

czuprynę — znikły wąsy, żupany i żółte buty — a natomiast jaśnieją wstęgi, i wszelkie krajowe i zagraniczne ordery. — Cały ten długi szereg kończy się z panowaniem Stanisława Augusta i potęgą rodziny uświetnionéj tylą zasłużonemi w ojczyznie mężąmi. Późniejsze portrety, wieszano po salonach, buduarach, gabinetach, w nowomodnych ramach — przeszły téż wraz z modą. Smutny spadek! — kolej niestety przeznaczona wszystkim ziemskim sławom i wielkościom! — O, gdyby te wizerunki, te ramy, te marmurowe kominy, te odarte obicia, te lamperye, te głuche sklepienia, przemówiły! Ile by się odkryło publicznych i prywatnych dramatów! Ile łez, ile westchnień tajemnych! Jaki rozdział do dziejów serca ludzkiego — do dziejów narodu!

W jednym z rogów téj starożytnéj sali, w chwili naszego opowiadania, siedziały dwie osoby prawie równe wiekiem, lecz nader różne postawą, wyrazem. Noc była na dworze; na marmurowym stoliku, lichym szczątku dawnych przepychów, zastawiono skromną wieczerzę, a łojowa świeca jakby na urągowisko przeszłości, ponurą ścianę słabo oświecając, uwydatniała tylko rysy biesiadujących. Jeden z nich z założonemi na piersiach rękami, jakby pod ogromem nasuwających się wspomnień skłonił był głowę w zamyśleniu; drugi młodszy, niedbale sprzątał jadło z talerza, a z żywych oczu i otwartéj twarzy świeci mu umysł z natury wesoły, roztargniony a może i obojętny na wszystko otaczające go, wyjąwszy łechcącą zmysły materyalną uciechę. Właśnie sięgał ręką po jedyną na stole flaszę, gdy ujrzawszy ją do dna już wysuszoną, wykrzyknął z nawpół komiczném westchnieniem:

— Niestety! *próżność próżności i wszystko próżność!* ha! ha! Nie takiego podobno zdania byli moi szanowni antenaci! w ich piwnicach i brzuchach nigdy *próżności* nie było — a jednak, przeklęta próżności! Co mi po

tych zbutwiałych płótnach, kiedy z nich niewytoczę i kropli owego wiekowego węgrzyna, co się go te malowane oryginały nałykały swego czasu!

Tu milczący towarzysz podnosząc głowę ozwał się łagodnie i rzekł:

— Pokój, pokój popiołom ojców!

— Ba! czy to ja baba czy dziecko, żebym się miał trząść przed niemi? My sobie żyjemy w pokoju! Nie prawda panie Hetmanie Wielki koronny; nieprawda panie Podkanclerzy, nieprawda wielebny mości Księże Prałacie? — Niepatrzcie tak z ukosa — to niegrzecznie!— I ty moja piękna czarnobrewo, co tak tkliwie i melancholijnie na mnie spozierasz, moja ty babko czy prababko! powiedzże, co? — Podanie starych bajarzy całą mi o tobie i bardzo tragiczną głosi legendę — ale ja temu niewierzę ja bo poczciwe dziewiętnastego wieku dziecię!

— Jeszcze raz; porzuć te brednie Stanisławie, przez wzgląd na krew co w żyłach twoich płynie!... Lepszą ci mężowie przekazali ci spuściznę, niż wszelkie świata skarby; klejnot najdroższy, nieposzlakowane Imie, zasługi w ojczyznie i sławę.

— Dla Boga! to całe kazanie! — zawołał niebacznie ten co go Stanisławem zwano — i doprawdy łatwo je prawić po ojcu tłusty odziedziczywszy worek.

Na te słowa zaiskrzyło się spojrzenie poważnego towarzysza — ale wnet biorąc górę nad sobą i tłumiąc wybuch gwałtownego uczucia, odpowiedział spokojnie:

— Prawda; podobało się Niebu pobłogosławić pracy moich rodziców: lecz wierzaj Stanisławie, jak mi miłe zbawienie! niechciałbym posiadać jednéj piędzi ziemi nieprawnie nabytéj, jednego grosza, na którym by cię żyła choć jedna łza, choć jedna niesprawiedliwość!

— Wybacz, odparł drugi, wyciągając dłoń którą towarzysz jego ścisnął silnie — jam cię bynajmniéj nie-

chciał obrazić! wszakżeśmy tu razem spędzili nasze pierwsze dziecinne lata — wszakżeśmy przyjaciele, kamraci szkolni! — a jeżeli ci to ostatnie niewiele czyni honoru, to doprawdy nie twoja w tém wina, boś mi nieszczędził dobrego przykładu. Chciałem cię tylko przekonać, że lepsza pełna szkatułka niż wszystkie w świecie pargaminy, chociażby w nich nawet sam ojciec Noe ze swoją arką dowiedzionym był protoplastą.

— Złoto koleją z rąk do rąk przechodzi, ale Imienia nikt wydrzeć nie zdoła!

— Ale jeszcze raz, cóż mi po tém Imieniu, kiedy nie mam czém przyzwoicie blask jego podtrzymać? Co mi po tych czczych malowidłach, po tych herbowych tarczach, po walącym się zamku, kiedym goły jak święty turecki? — Czym jaszczur żebym się karmił zbutwiałemi papiérami? — Ej, wracam z kolebki europejskiego światła — i wierz mi, dziś, w wieku powszechnéj oświaty, prawdziwa, jedyna arystokracya to pieniążki! — Wolałbym zwać się Pstremdziszewski, jak mówi czcigodna moja ciotka, a mieć spory złota trzos — ot i byłbym panem.

Towarzysz cierpliwie i z uśmiechem słuchał tych słów wymówionych z przyrodzoną żywością i dowcipem właściwym mówiącemu — znać jednak było iż niepodzielał bynajmniéj jego sposobu widzenia w téj mierze a może i w wielu innych, — zabierał się właśnie do obszerniejszego wyłuszczenia własnych swych wyobrażeń, gdy brukowany podwórzec zatętniał brzękiem podkowy, a gospodarz nadstawiając ucha, smutno spojrzał na szczątki szczupłéj wieczerzy i zawołał prawie w téjże chwili:

— Czy słyszysz? Opatrzność zsyła nam towarzysza na nocleg; byle tylko nie zgłodniałego ani spragnionego broń Boże! bo chybabym go częstował wodą z mojéj naddziadowskiéj studni — a to nie Kana Galilejska aby

się stać mogła winem — Widzisz, że mi jeszcze niezupełnie wywietrzały dziecinne nauki!

To mówiąc próżną flaszę cisnął o marmurową posadzkę aby spodziewanemu gościowi pokusy przynajmniéj oszczędzić — i w téjże chwili głuche korytarze kilkakrotnie powtarzając brzęk szkła potłuczonego, ozwały się zarazem rozległem echem zbliżających się kroków.

— Kto tam? — zawołał Stanisław.

— Ja JW. Panie — odrzekł ku stolikowi po ciemku zmierzający famulus, w wyszarzanéj odzieży lecz z tém bardziejszą miną, który wraz ze starym burgrabią Gerwazym, żoną jego pełniącą obowiązki kucharki i praczki i na prędce przyjętym woźnicą, składał całą zamkową załogę. — Goniec z Warszawy przywiózł list do Jasnego Pana.

— Daj tu! oho! to mi coś zakrawa na staroświecczyznę — to galanterya losu dla ciebie, najżarliwszy jéj obrońco! Dla Boga! goniec z Warszawy ze spieszném poselstwem do kasztelana obronnego zamku, to brzmi doskonale! Hej! załoga do broni — i być w pogotowiu. Pst — jeśli się nie mylę pieczęć mojéj ciotki! na honor, coraz to lepiéj; zaczynam wierzyć w cuda! — Stara, po dziesięciu latach najdoskonalszego milczenia, przypomina sobie nareszcie, iż ją los szczodry raczył opatrzyć ukochanym bratunkiem, i woła go do siebie... na kijka i podporę starości! — A waruneczek to miły, dla którego gotowem i przezacną parentelę i paręset tysięcy jakiemi mię ze szczodrobliwości swéj przy jak najdłuższém życiu obdarzyć może, posłać do trzystu gnatów!

Zabrał się nareszcie do przejrzenia poselstwa — lecz niedługo parsknął od śmiechu, wywracając się na krześle.

— Na honor! — powiadam ci, kochana ciotka zwaryowała.

— Nie masz z czego tak bardzo się cieszyć — odparł towarzysz z uśmiechem.

— Jak to niema? swatostwo! czy uwierzysz? swatostwo! cha, cha, cha — tego mi téż jeszcze brakowało! — Ja, ja: miałbym się podać w takie pęta, miałbym się okuć w takie kajdany — miałbym dobrowolnie świat sobie zawiązać — miałbym się żenić; żeby ród mój perpetuować! na co, po co? — I bezemnie już by się obeszło — jednym biedakiem mniéj byłoby pod słońcem! Ciotunia dobrodzika cała przesiąkła przesądliwą atmosferą zeszłych wieków — my się z sobą nigdy zgodzić niepotrafimy.

— Ależ przynajmniej przeczytaj do końca — przerwał znowu drugi widząc list porzucony na pierwszéj stronnicy — a potem rób co ci się podoba. Jużcić nikt cię zmuszać nie będzie — ale znając cię z gruntu trzymam z twoją ciotką i pewien jestem iż na wszystkie twoje choroby najskuteczniejszem lekarstwem, byłoby dobre ożenienie.

— Doprawdy? — odrzekł Stanisław z lekką ironią, list jednak biorąc ze stołu. — Kiedyś tak mądry panie doktorze, czemuż nie każesz przykładem?

— Któż wie? z czasem i do tego przyjść może — tylko cierpliwości trochę!

Poczciwy uśmiech dziwnie rozjaśnił oblicze mówiącego — Stanisław zaś czytał daléj.

— Tam do licha! — zawołał po chwili — czekaj, czekaj! w saméj rzeczy nie głupiś mój moralisto, mój filozofie; przed końcem o niczem sądzić nie można — pono już ktoś przed nami zrobił tę słuszną uwagę — Lat dziewiętnaście, dziedziczka: a przy téj zręczności formalny zapis całego majątku pani Wojewodziny — ciotunia nieoszacowana! To rzecz, co potrzebuje namysłu.

— Niechże cię za to uściskam!

— Słuchaj sam — to są ostatnie słowa: „Maryaż ten ukartowałam z zacnym Referendarzem — to rzecz uło-

żona — nie będziesz miał trudności; przybywaj więc i kończ.“

Schował list do kieszeni, krzesło odsunął z hałasem i powstał:

— Ida, Ida! piękne imie — powtarzał przechadzając się szybkiemi kroki — wnuczka pana Referendarza, i to nieźle.

Na słowa te przyjaciel wyraźnie się zmięszał, choć wsparty o stół, twarz malującą silne wzruszenie zobojętnić usiłuje. Nastało przeciągłe milczenie, przerywane tylko odgłosem nierównego stąpania, co się gubiło pod starożytnemi sklepieniami — lecz ktoby na tych dwóch ludzi baczne zwrócił oko, dostrzegłby w jednym zaprzątnienie żywsze niż się tego zrazu spodziewać było można, w całéj zaś osobie drugiego wewnętrzną walkę silnego uczucia z nieugiętą wolą. O, bój to ciężki — bo wola bądź co bądź zwyciężyć musi. — Biedne uczucie!...

Nareszcie Stanisław się zatrzymał i rzekł wpatrując się w przyjaciela:

— Ty, co wiesz wszystko, Zygmuncie, niesłyszałżeś przypadkiem ile to tam tego być może?...

— Ile być może?... czego?... odparł spokojnie na pozór, zagadniony.

— A jużcić posagu... wiesz sam że w mojem położeniu...

— Niewiem... niesłyszałem... — odrzekł Zygmunt spiesznie, choć słowa te mu więzły w gardle.

Stanisław chodził daléj, a po niejakim namyśle zbliżywszy się znowu, rzekł głosem tkliwszym niż dotąd, kładąc rękę na ramieniu Zygmunta:

— Bez ciebie jednak nic w téj rzeczy postanawiać nie chcę. Wiem że mi dobrze życzysz i polegam na tobie *jakby na Zawiszy* — nigdy mię przyjaźń twoja niezawiodła — powiedz mi tak szczerze, z serca, co mam

czynić? Czy łaskę ciotki odrzucić i żyć jak dotąd żyłem, z dnia na dzień, bez jutra, bez troski, ale i bez pociechy — czy jechać i.... zobaczyć przynajmniéj, popróbować szczęścia? — Coż milczysz... namyślasz się? — A widzisz że to nie tak łatwo jak ci się zdawało!....

— Jedź! — wyrzekł Zygmunt stanowczo — jedź... i bądź szczęśliwy! —

— Szczęśliwy!... hm, na to albo bardzo mało, albo bardzo wiele trzeba! — Szczęśliwy tak jak to mówią na świecie... mogę się pochwalić że nim dotąd byłem, ale podług was... to znowu wcale co innego — ha! cóż robić! dziękuję ci, dobrze mówisz; pomyślę nad tem i może... hę, kto tam wie u licha?... raz przecie skończyć trzeba, a zatem.... zobaczymy. — Tyś zmęczony z podróży, — jeśli cię nieprzestrasza sąsiedztwo tych przezacnych i przewielebnych nieboszczyków to ci tu każę sporządzić jakie takie posłanie — chyba że wolisz po dawnemu, zemną razem... ale niedałbym ci zmrużyć oka... a ty już widzę zasypiasz, szczęśliwy człowiecze! Héj, Gerwazy Protazy i wszyscy święci z kalendarza! wnieść tutaj łóżko dla pana Zacnowskiego! będziemy sąsiadowali — a może wierzysz w duchy?

— Nieboję się ich.

— To więc smacznego snu mój drogi i... przyjemnych marzeń; boś mi tak niby niechcący wrzucił w ucho parę słówek, co mi dają do myślenia! Miałożby nareszcie parę pięknych oczu zwyciężyć dotąd niezwyciężonego? brunetka, co? — O! *cierpliwości* mam czasem więcéj aniżeli sądzisz — a zresztą.... dałeś mi prawo we wszystkiem dobrego przykładu od ciebie wyglądać. Hę?

— Żartowałem... nie myśl o tém proszę... dobranoc!....

— A, żartowałeś? — proszę, jaki skryty! niechże sobie i tak będzie — dobranoc!

Serdecznie przyjaciela uścisnąwszy, odchodził już Stanisław, kiedy tknięty pustą myślą co u niego w najpoważniejszych okolicznościach nienowina, zwrócił się by jeszcze powiedzieć:

— *A propos*, pamiętaj Zygmuncie iż cię solennie zapraszam przy tych oto dostojnych świadkach, jeśli nie na wesele to przynajmniéj na chrzciny mego pierworodnego Infanta, a ponieważ obaśmy kandydaci do poważnego małżeńskiego stanu, więc oczywiście pod warunkiem że mię wzajemnie wraz z moją przyszłą *magnifiką* wezwiesz w podobnéj potrzebie; wszak zgoda?

Zaskrzypiały ordzewiałe zawiasy potężnych podwoi i Stanisław ze stoczkiem w ręku znikł z przed oczu Zygmunta, który dopiero głębokiém westchnieniem ulżył piersi, którą jakby młyński kamień przygniatał. Jękły boleśnie sklepienia, ściany i portrety — i znowu wszystko było głuche jak wprzódy — i znowu tylko puszczyk z baszty od czasu do czasu przerywał grobowe milczenie — a myśl jedna w torturach czuwała, podsycana gorzkiemi uwagami nad zmiennością losów, kolejami świata i swą własną dolą.

## V.

*Z Warszawy 6go Maja 1829 r.*

Z Warszawy? czy być może? czy nie śnię? czym przy zdrowym rozsądku? Tak, tak Tereniu! widzę przecie że tu okno, tam drzwi, tam kałamarz, tu pióro,—

więc i to prawda żem w Warszawie, że z Warszawy do Ciebie piszę! O, niezawodna prawda! — Ten gabinecik, to nie mój poczciwy kącik — to machoniowe biórko, to nie nasz stół zasłużony, to nie Topolówka!— Wszystko daleko; i Ciocia droga i siostrzyczki, i dom i swoboda — i jeszcze... tyle innych rzeczy! — Ale zatom ja w Warszawie! — *Człowiek sądzi, pan Bóg rządzi* nic prawdziwszego nad to stare oklepane przysłowie; przed piętnastu dniami wcale co innego mię otaczało! inni ludzie! inne światy!... gdzież się to podziało? — Żebyż przynajmniéj wszyscy wiedzieli żem w Warszawie!... możeby i tu kto zjechać potrafił!... ale gdzież tam!.... Tu zaś wszystko tak zupełnie dla mnie nowe, powiem nawet tak dziwne, że dotąd do siebie przyjść nie mogę — przewraca mi się w głowie!— A najlepszym tego dowodem to że zapominam, iż czytając mię, jesteś dotąd jakby na niemieckiem kazaniu.

W parę dni po Świętach, pewnego poobiedzia wjechała w bramę żółta kareta zaprzężona pocztowemi końmi — poznałam w niéj zaraz pana Referendarza, mojego dziada i opiekuna. Żebym się zwykle z jego przybycia nadzwyczajnie cieszyła, tego Bogiem a prawdą powiedzieć nie mogę! odwiedziny jego nie częste i nie długie, jak sama wiesz, raczéj pewnego rodzaju żeny niż istnéj radości bywały przyczyną, tym razem wszakże tak jakoś byłam rozochocona i tak jeszcze nierada wrócić do codziennego trybu życia, żem aż podskoczyła z radości! Moja duszko jak wiele znaczy usposobienie, jak często przypisujemy sobie, swoim osobistym zaletom, to cośmy okolicznościom winni jedynie! Mógłże się biedny Referendunio spodziewać; że tę radość, którą czytał w mych oczach, winien był w wielkiéj części czemuś i komuś innemu niż sobie? — Choć mię zwiesz trzpiotem, ja przecie *myślę*, i nieraz robię sobie w duchu spostrzeżeńka bardzo zabawne, saméj siebie w nich bynaj-

mniéj nieszczędząc. — Mój pan Referendarz jak wiesz, zawsze dla płci pięknéj galant, tym razem szczególniéj wylewał się w grzeczności dla cioci; był prawdziwie nieoszacowany—aż miło mi było, że takiego co się zowie przedziwnego mam dziada. Zaraz pierwszego dnia po wieczerzy, zaprosił ciocię na osobną konferencyę, domyślałam się, że tam trochę i o moją skórę chodziło, ale mi nie przeszło przez myśl, że po mnie przyjechał, aby jak powiadał, poznać mię z tym światem do którego należę. Bodajby nigdy chwili rozstania nie było! — Na pociechę powtarzała mi ciocia że zobaczę Warszawę, zdawna cel gorących mych życzeń, a w niéj mnóstwo osobliwości, ciekawych rzeczy i ludzi; zapoznam dużo krewnych, a w końcu że nie na zawsze, tylko na czas jakiś odjeżdżam — ja też to sobie wmówić usiłowałam; ale jakiś głos okrutny szeptał mi z innéj strony, że dużo wody upłynie, nim wrócę do Topolówki! taką zaś, jaką w niéj dotąd byłam, może już nigdy nie będę! — Nigdy! jakiż straszny wyraz! — nigdy — zawsze! toż wieczność cała! Przez drogę zalewałam się łzami, a pan Referendarz drzemał; niewielką też nawzajem mieliśmy z siebie pociechę — a deszcz lał jak z wiadra. W Warszawie stanęliśmy bardzo późno; pogoda się zmieniła, jakby umyślnie na nasze przyjęcie; te też światła, te latarnie, turkot powozu toczącego się po bruku; te piękne gmachy i długie ulice, te karety, kocze, doróżki pełne osób wracających jak mi powiadał zbudzony pan Referendarz z teatru, niezmiernie mię zajęły — zdało mi się, żem ja sama na jakiemś dziwném, ogromném widowisku! — Przejechawszy tak niewiem wiele ulic i placów wzdłuż i wszerz, nasza żółta karetka stanęła przed piękną kamienicą. Zapomniałam ci powiedzieć, żem się miała ukazać światu pod skrzydłem pani Wojewodziny*** wielkiéj przyjaciołki pana Referendarza, bardzo zacnéj i ogólnie poważanéj damy; nagadał mi też o niéj; ale

jakoś w żalu za Topolówką nie bardzo się zważało; aż tu dopiero wszystko straszliwie stanęło mi w pamięci. Widok téż saméj pani, niebardzo mógł dodać śmiałości. Kiedyśmy weszli zameldowani przez starego jak świat kamerdynera, pani Wojewodzina siedziała w ogromném adamaszkowem krześle, a z razu zwątpiłam czy to żyjąca osoba, czy jaka skamieniała prababka, tak mało się poruszyła za naszém przybyciem. — Pan Referendarz tymczasem zbliżył się z wielkim respektem i po kilku niskich, bardzo ceremonialnych lecz pełnych jakiejś poważnéj gracyi ukłonach, wyrzekł uroczystym tonem: „Spełniam łaskawy rozkaz assendźki Dobrodziki, oddając pod jéj szczególną opiekę z własnéj Jéj a zawsze świętéj dla mnie woli, wnuczkę ś. p. siostry mojéj, Idę N“. A pani Wojewodzina zwracając się ku mnie niziutko się kłaniającéj, lekkiem skinieniem głowy raczyła mię powitać, na znak szczególnéj łaski podając mi rękę do ucałowania. — „Chodź no tu bliżéj moja panienko“ — wyrzekła po chwili; a gdym się nieśmiało zbliżyła do stojących przed nią dwóch świec jarzących, włożyła na nos złote okulary i tak się we mnie wpatrzyła, jak gdyby mię tylko co z antypodów przywieziono do królewskiéj menażeryi — i znowu łaskawie rzekła do Referendarza: „To wasza krew! poznaję ją— wasza poczciwa krew! — to twój nos mój zacny przyjacielu, twoje oczy, twój“...— „Ale owszem“ —przerwałam niewcześnie — „powiadają żem ja bardzo podobna do nieboszczki Mamy?“ — „A jakże to wacpanna śmiesz mnie przerywać?“ — wyrzekła tonem w którym więcéj jeszcze było zdziwienia niż gniewu; spuściłam oczy i coś lodowatego przeszło mi po skurze.— Ależ powiedz tylko sama, jak tu było wytrzymać? Jużci choć moja biedna Mama i na portrecie nawet bardzo piękna, a ja tylko tyle żem sobie boskie stworzenie, zataić tego przecież nie mogę żem troszki ładniejsza od

pana Referendarza; moje rysy sobie pospolite, nikomu zawadzać nie mogą — a u niego nos jak tromba, oczy jak pieprzowe ziarnka, a do tego jeszcze ogromna kosmata brodawka na skroni! — Uchowaj Boże aby mu te małe fizyczne niedoskonałości wczemkolwiek miały ująć mego winnego uszanowania — i owszem!...... ale przyznawać się do podobieństwa choćby zkąd inąd najpochlebniejszego, kiedy urojone, niewidzę najmniejszéj potrzeby. — Jakkolwiek bądź, spostrzegłam wnet, żem się była odezwała nie w porę — pani Wojewodzina zadzwoniła na służącego i kazała mi pokazać przyszłe moje mieszkanie, czyli innemi słowy, odprawiła mię z kwitkiem; a gdym się zapewne niedość poważnie wyniosła z salonu, usłyszałam jeszcze na dobranoc te pocieszające słowa: „Jakiegożeś mi tu szpaczka przywiózł mój Referendarzu? ależto istna wiewiórka!“ — „Chciéj się asseńdzka Dobrodzijka łaskawie zastanowić“.. „Nie bój się mój zacny przyjacielu, potrafimy temu dać zradę“... Tu się za mną zawarły podwoje; dalszéj przeto rozmowy niesłyszałam, czego też bynajmniéj opłakiwać nie myślę. — A teraz, powiedz że mi proszę, jak ci się podoba moja pani Wojewodzina? — Jużciż nam poczciwym wieśniaczkom cośmy Bogu duszę winne, a serce nosimy jak na dłoni, na pierwszy rzut oka koniecznie musi wydać się dziwną. Rzekłby kto, iż raz na zawsze weszła z sobą samą w układy, żeby dziś być taką jak wczoraj, jutro taką jak dzisiaj itd. i broń Boże nigdy nie okazać swoich wewnętrznych uczuć; dlatego się też czasem zdawać może że ich wcale niema. Wszakże bliżéj się rozpatrzywszy, żyć z nią można! bo też znowu z kimże żyć nie można! byle brać ludzi takiemi jakiemi są i nie wymagać od nich więcéj niż oni dać mogą, wypatrując zalety, na wady, (bo któż ich niema?) przymrużając oczy, oto cały sekret! — Pani Wojewodzina niegdyś musiała być bardzo piękną; duże

czarne oczy któreby zapewne niemało jeszcze zyskały gdyby ich wyraz był cieplejszy i łagodniejszy, profil rzymsk postawa wspaniała mimo lat znacznych ręka bardzo piękna i jakaś pańskość w całéj figurze i we wszyst, kich ruchach, wzbudzają mimowolne uszanowanie, prawie obawę. To ostatnie uczucie szkodzi może innym a słodszym — zdaje się jednak że o nie pani Wojewodzina niedba wcale. Bezdzietna, niepragnie miłości, troskliwych starań, pielęgnowań zobowiązujących serce — dość jéj byle ją słuchano, poważano i nigdy w niczem jéj nie uchybiano..... Trudno pojąć aby się bez kochania obejść można! mnie zwłaszcza z otwartem sercem na przeciw każdego lecącą istotę, nie mało to zastanawiało i zastanawia — wierzyć jednak muszę oczywistości jak to być może? nie wiem; ale że tak jest, to pewna! Aż mnie czasem litość ogarnia, choć pani Wojewodzina bezwątpienia litości mojéj nie potrzebuje — ale mię boli gdy widzę najpiękniejsze dzieło rąk Stwórcy przekształcone, ścieśnione — człowieka zamienionego w machinę którą sam raz na zawsze nakręcił! -- Nie takiego tryumfu woli, nie takiego panowania nad sobą Bóg od nas wymaga — On dał nam serce na to abyśmy kochali i cierpieli czasem. — Prawda i to, że jak do rozczulenia tak i do gniewu przyprowadzić panią Wojewodzinę zda mi się niepodobna; jeszczem niesłyszała żeby kiedy jakie żywe słowo z ust jéj się wymknęło, choćby do służącego; byłoby to słabością — a wszelka słabość niegodna pani Wojewodziny! kiedy jéj się co niepodoba, powie tylko z najzimniejszą krwią: „Bardzo proszę żeby tego więcéj niebyło — ale bardzo o to proszę!“ — I to więcéj nierównie znaczy niż wszelkie pukania, gderania i kary, bo wiedzą ludzie dobrze że z panią Wojewodziną nie żarty! i że, jeżeli pomimo téj niby prośby „*żeby tego więcéj nie było,*“ *to* choć raz jeszcze będzie, to się w ten moment przyjdzie ze służbą

pożegnać — a wygodna! bo jeżeli pani Wojewodzina hce być dobrze usłużoną, to téż i dobrze zato płaci; ale téż nigdy, uchowaj Boże, oprócz koniecznych rozkazów i słówka — do służącego nieprzemówi. Nie musi to im być tak bardzo przykrem, kiedy w ten sposób kamerdyner i wyprawna panna, wielce szanowną pleśnią porośli w przedpokojach i garderobie Jejmości. — Może powiesz że moja pani Wojewodzina egoistka? jużci to trochę prawda... ale kogo potęga takiego uczucia jakiem być musi uczucie rodzicielskie, niezmusza do ciągłego wyrzeczenia się siebie, do ciągłych ofiar, które nawet i niekosztują, bo wypływają z saméjże natury, z całéj istoty naszéj, ten łatwo zamknie się w sobie, a zmuszony niejako konicznością, z czasem staje się egoistą w najdrobniejszych szczegółach codziennego życia. Któżby nieraz o tych samotnych wśród ludzi istotach pomyślał, jeżliby same niemyślały o sobie? bądźmy przeto dla nich wyrozumiałemi — a jeżli pośród nich znajdzie się która co zapomniała o sobie, klęknijmy przed nią, bo to święta na ziemi! — Dla mnie dotąd pani Wojewodzina dobra w swoim rodzaju i ile być może łaskawa — za jedną tylko rzecz czuję jakby jaki żal w sercu; niewiem nawet czy mam ci to powiedzieć — ale ponieważ zaczęłam to już i kończyć muszę. Otóż widzisz moja Tereniu droga, jam się spodziewała że mię przecież chociażby przez samą grzeczność zapyta o Ciocię, o was, o krewnych mojej Matki — i już gotowałam odpowiedzi energicznie malujące co czuję — ale nic z tego — dotąd ani pół słówka jak gdyby was nigdy nie było na świecie! Ledwiebym nie wolała aby dla mnie saméj była złą i nieznośną — tobym jéj z całego serca wybaczyła; krzywd osobistych się nie boję — lecz kto mię dotknie w ukochanych moich, kto pamięci téj co mi życie dała ubliży — o! temu niechaj Bóg niepamięta, bo co ja to niewiem jak-

bym to zapomnieć potrafiła! — Pod tym względem dla pana Referendarza prawdziwą czuję wdzięczność; zawsze mi nieznacznie coś miłego o was szepnąć umié Niech mu to Nieba wynagrodzą stokrotnie! — Ach słyszę już metra tańców w przedpokoju — bo ty niewiesz, wszystkie moje cudowne napowietrzne kroki poszły tutaj za nic — pani Wojewodzina znajduje że niemam żadnego ułożenia — ale co dotąd to francuzisko ma biedy niemało! onegdaj aż ochrzypł nieboraczek ustawicznie mi powtarzając: „*Mais mademoiselle*“ a w końcu już i: „*Mais mon enfant plus de dignite!*“ — I cóż ja pocznę kiedy mi pan Bóg żywego srebra wlał w żyły? —

Po lekcyi.

Zdobyłam się przecie na powagę! — Ach moja droga, jakiż to przedziwny ten wielki świat! jacy w nim mili, jacy grzeczni ludzie! jam go sobie wcale nie tak wystawiała; bo téż dziwosy o nim prawią ludzie, którzy go zapewne nigdy z bliska niewidzieli! — ja przeciwnie spostrzegam tu same tylko kwiaty i uśmiechy, wszyscy dla mnie dobrzy, grzeczni, uprzejmi — zda się doprawdy, że mię kochają, że mi dobrze życzą! Miałożby to być dla tego tylko żem nowość, cacko, bawidełko chwilowe? — O, nie! nie tak djabeł czarny a lew straszny jak go malnją — i ludzie téż nie tak źli jak ich nam koniecznie przedstawić usiłują! I powiedzże wreszcie sama, za cóżby nie mieli mię lubić kiedy ja ich lubię? — a potem.... ja do tych wszystkich pięknych pań jak trawka polna do przepysznych kwiatów, a więc żadna z nich nawet choćby i chciała zazdrościć mi, nie może, bo niema czego. — Młodzieży tu bardzo dużo, to

też bawimy się przewybornie; ciągłe bale, wieczory, i trzy razy w tydzień: U Czartoryskich, Zamojskich i Sobolewskich — a na nich cały wielki świat Warszawski spotkać można — niepowiem jednak, aby w tym tłoku dużo było zabawy — wolę tańcujące wieczory na których téż niezbywa. Może ci ślina idzie do gęby? o nie! tyś taka szczęśliwa ze swojéj klatki i swego ptasznika, że bez obawy, bez zgryzoty sumnienia mogę ci prawić o tych wszystkich pięknych rzeczach — ja bo klatki niechcę ani ptasznika; nie, nie, jeszcze nie! — Na balu byłam nie późniéj jak zawczoraj; tańcowałam do upadłego i bawiłam się wyśmienicie! powiem ci szczerze, że mi było do twarzy; po skończonym ubiorze aż podskoczyłam z radości ujrzawszy w zwierciedle żem wszystko z wszystkiem doprawdy prawie nieszpetna! Jak mi téż serce biło, jak nogi drgały wysiadając z karety za panią Wojewodziną i wstępując na rzęsisto oświecone i kobiercami wysłane wschody — woń pachnideł biła z przedpokojów, dźwięki instrumentów dolatywały zdaleka — jakiś szmer w około, jakieś odurzenie — Łaska Boska żem w tym odmęcie każdemu z wygalonowanych lokai niedygała niziutko, tak mi ich bogate stroje i uroczyste miny imponowały — Ale bo trzeba widzieć ten przepych, te salony, to światło, te kwiaty, te piękne postrojone kobiety, tych grzecznych panów — trzeba słyszeć tę muzykę nadewszystko i oddychać tą atmosferą i to po raz pierwszy w życiu, żeby pojąć, co się ze mną działo! — Ale zapominam powiedzieć ci, że widziałam przedmiot wspólnego naszego uwielbienia, tylko niestety! już nie pannę Tańską, ale panią Hofmanową, wyobraź sobie poszła za mąż! aż mi się serce ścisnęło gdym się o tém dowiedziała — broń Boże pisać przestanie!.... a mnie koniecznie trzeba jeszcze drugiéj Franciszki Krasińskiéj! Widziałam ją na raucie u księżnéj Czartoryskiéj, ale w natłoku i tylko na chwilę!

nikła w tłumie, bo téż i niepokaźna, ale jaka miła! anielska jéj dusza patrzy z oczu. Daje lekcye w instytucie guwernantek, muszę się tam kiedy wybrać... ale czy tylko zdołam na to upatrzyć chwilkę? Czemuż jéj uczennicą być niemogę! — Gotuję się i ja przecie na koronacyą; będę prezentowana w sukni z długim ogonem! Czy słyszysz Tereniu w sukni z ogonem jak nasze prababki! Ujrzę dwór w téj saméj Warszawie; prawda że nie Augustowski i bez królewica — ale zawsze dwór — zobaczę coś ciekawego, a na starość będę miała o czém prawić twoim wnukom, zażywając tabaczkę jak pani Łowczyna — poczciwa Łowczyna, co też ona porabia?... Ale nim do tego przyjdzie, zacznę od szanownéj babuni twoich przyszłych wnuków i z góry ci zapowiadam szeroki opis wszystkiego co będę widziała. Już to zabaw różnego rodzaju ma być hukiem; czekają Paganiniego i pannę Sontag, za którą szaleje cała Europa; będą koncerta jakich mało!... żebyś téż tu mogła zjechać... żeby i jeszcze *ktoś*... biedny *ktoś*! — Ale bo czemuż go tu niema?... czy moja w tém wina? — Byłam już i w teatrze! Co téż to znowu za przewyborna zabawa! Tutejszy wydał mi się bardzo piękny, choć nasi panowie co to bywali we Włoszech, Niemczech, a szczególniéj w Paryżu, dosyć lekko go traktują — gniewa mię zwłaszcza pan Stanisław, bratanek pani Wojewodziny który u ciotki codziennym jest niemal gościem. Lat kilka spędził na podróżowaniu po Europie; bawił niewiedzieć jak długo w Paryżu, a od kilku tygodni zaledwie wróciwszy do kraju, wszystko w nim znajduje nie tak dobre jak gdzie indziéj... Między nami mówiąc, zdaje mi się, że niekoniecznie w najlepszy sposób skorzystał ze swych podróży; w gruncie niewiele posiada nauki, ale naturalnego dowcipu podostatkiem — słowem *c'est un aimable étourdi*, a może trochę i *mauvais sujet* co w mazurku jednak niezawadza — że w towarzystwie

wyborny i do ożywienia jedyny, to prawda; ogólnie się też podoba i jest bardzo w modzie........

........................

W téj chwili przyniesiono mi listy od was — i jakże tu jeszcze wierzyć że źli ludzie są na świecie? — Ale, spodziewałam się czegoś jeszcze.... jakichś wiadomości.... O Bronisławie wyczytuję tyle tylko, że zdrów w Krakowie — w Topolówce zaś od mego wyjazdu, z gości nie było *nikogo* oprócz kilku starych sąsiadów.... prawda, że to tylko dwa tygodnie!... ale zawsze możnaby... dwa tygodnie, to czasem wieki!... Tak; jam się była omyliła... a jednak ... ale gdzież tam! bawiono się ze mną jak z dzieckiem... Któż wie, może jak z dzieckiem popsutém.... i więcéj nic! — Kiedy tak, to się i my potrafimy obejść bez tych co się bez nas tak łatwo obchodzą — znajdziemy tu jeszcze doprawdy czém się pocieszyć. — Bądź zdrowa droga moja; właśnie krawiec przyniósł suknię z ogonem... wołają mię... muszę biedz ją przymierzać... Dobrze! niechże żałuje kto niezobaczy!...

(*Dalszy ciąg w następnym zeszycie*).

Maryan Dobrowolski.

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

---

**Zmienny los książek. — Znaczniejsze płody zeszłoroczne— Walka realizmu z ideałem w dzisiejszych płodach, ztąd brak wynalezienia. Nowość i doskonałość celem sztuki. — Słówko o tłumaczeniach — Wydawnictwo pomników historycznych. —**

Niektóre dzienniki szczególniéj Warszawskie, podały spis książek polskich wydanych w roku 1857, spis mniéj więcéj dokładny, z podniesieniem ważniejszych dzieł, z lekką wzmianką o tych, co się mniéj ważnemi zdawały, i z przemilczeniem wielu, bądź gwoli niewiadomości o ich wyjściu, bądź z niemożności wzmiankowania o nich. Jest to więc pod względem statystyki ruchu księgarskiego a razem bibliografii, niedostateczny wykaz, równie jak pod względem ocenienia ducha literatury i kierunków jéj, bo omówienie mniéj więcéj pochlebne o jednéj lub drugiéj książce, niedaje jeszcze ogólnych i ostatecznych wypadków.

Co do ostatniego, trudność niemała, a nawet niepodobieństwo sądzić *eo instante* o znaczeniu i wpływie ksią-

żek świeżo przechodzących w ręce publiczności, gdy tylko czas, mniéj więcéj długi, przynosi świadectwo i potwierdza wpływ i znaczenie.

Wziętość książki mająca źródło często w nazwisku autora, w trafnéj aluzyi do bieżących zdarzeń i zajęć, albo niekiedy i w krytyce sprzymierzonéj z autorem i jego opiniami, nierozstrzyga sądu bez apellacyi, bo jeśli interes chwili przeminie, opinia zbankrutuje, książka na wziętości traci, wychodzi z obiegu i idzie zapełniać pułki bibliotek, tego cmentarza sławy pisarskiéj.

U nas, spędzonych z pola sławy życia, mało kto nierzuca swego nazwiska w tę urnę, którą jeniusz nieśmiertelności ma postawić kiedyś na mogile wieków. Nazwiska te zazwyczaj są przyczepione do jakiéj książki, nawet artykułu i ulotnego wierszyka. Piśmiennictwo więc stało się tą łodzią, w któréj Charon przewozi na Elizejskie pola. Ztąd natłok niezmierny; coraz nowe występują nazwiska i pseudonazwiska; powstaje ścisk, tłum napiera na tłum, słychać głosy dopominające się swego miejsca i znaczenia — ale to jeszcze niedaje przekonania żeby na tém dużo miała zyskiwać istotna literatura narodu. Bibliografia może grube spisywać tomy — gdy tymczasem z tego posiewu na umysłowéj niwie ledwie setne zejdzie ziarno i wyda w potomności owoc.

Cóż znaczy to pragnienie rozgłosu, to kołatanie do bram nieśmiertelności, kiedy wiemy jak smak, język, obyczaje, wyobrażenia, zmieniają się nagle i ciągle. — Czyż my sami jesteśmy tem dzisiaj, czém byliśmy przed pięćdziesiąt laty; czyliż pochód wieku niezrobił zmiany w każdym z nas? Wiersze Felińskiego, Stanisława Potockiego lub Kropińskiego proza, mająż jeszcze ten urok jaki miały swojego czasu? — Nie krytyka to zabija autorów, ale czas; co miało wziętość w jednéj epoce, niema jéj w drugiéj. Złem tego nazwać nie można, ale rapwem konieczności, bo niema na to lekarstwa. Iluż to

pysznych autorów rozsiadających się po szafach bibliotek, skurczyło się, jak ów talizmaniczny balzakowy jaszczur do tak małéj objętości, że dziś ledwo służą na oznaczenie swego czasu, lub pewnéj daty w historyi literatury?

Aczkolwiek sława autorska jest tak przechodną, wypadaż wnosić, że nic nietrzeba robić, aby ją zdobyć? Bynajmniéj; po dobrze spędzoném i zapełnioném życiu, słodko pomyśleć, że pamięć nasza przeżyje krócéj, lub dłużéj w miarę zasług i prac złożonych dla dobra bliźnich.

Uwagi te o marności sławy autorskiéj przyszły mi na widok tych sążnistych spisów bibliograficznych świadczących o corocznéj produkcyi pisarskiéj, która z każdym rokiem wzmaga się u nas i służy dla wielu, co lubią na cyfrach opierać swoje wnioski i twierdzenia, za dowód postępu w oświacie i kulturze.

Rzemieślnicza płodność a twórczość zapładniająca, nie są synonimami — do téj ostatniéj kategoryi stanowiącej właściwe duchowe bogactwo narodu, ileż to dzieł wydanych w upłynionym roku moglibyśmy sumiennie odesłać?

Ile i które? odpowiedź kłopotliwa, bo uprzedzająca wyrok czasu — co jednakże nieprzeszkadza żeby niemożna było na polu naukowych poszukiwań wytknąć wiele prac posuwających różne gałęzie umiętności do tego szczebla na jakiém gdzie indziéj stoją. Poczet ich niedługi, lecz znaczący. Dość tu wspomnieć z uszanowaniem przyjęte dzieło A. Z. Helcla: *Starodawne prawa polskiego Pomniki*, a zasługujące aby rozbiór onegoż i ocenienie dokonane było przez jakiego głębokiego znawcę praw dawnych i historyka, na co zawsze dość czasu, aby tylko sąd wypadł dojrzały. *Fiziologia* Dra Majera wniosła światło do téj gałęzi poczynającéj się u nas umiętności, zdobywając i porządkując tę masę doświadczeń, jakie w tym

przedmiocie dokonano gdzieindziéj. W historyi Szajnocha wydał dalszy ciąg historycznych Szkiców, w których wiele zawiłości, błędów, lub opuszczeń, wyjaśnia, prostuje, wprowadza. Są to przygotowawcze roboty, cegiełki dla przyszłego historyka, lecz napisane z tym artyzmem, że nietylko samego badacza dziejów, ale i zwykłego czytelnika zajmować mogą. Bartoszewicz opisywał kościoły Warszawskie, więcéj jednak zrobił i dał, jak zwykły dawać texty do illustracyi. Pamiętnikowa literatura była jednak najliczniejszą — szczególniéj czasy schyłku 18go a początku 19go wieku zostały skreślone w tych drobniejszych rozmiarach domowego życia, które często więcéj mogą powiedzieć niż sama historya sfer oficyalnych. Kraszewski wydał i zapewne ostatnią rękę przyłożył do pamiętników Duklana Ochockiego, Bukara i Chrząszczewskiego — Praca ta wymowną jest protestacyą przeciw pamiętnikom Bartłomieja Michałowskiego, wyrzuconym jakby na urąganie téj przeszłości którą przywykliśmy tradycyonalnie szanować. Jednakowoż porównywając te dwa pamiętniki, nierzadko napotyka się w nich to samo zdanie o charakterze osób, te same szczegóły faktów ważniejszych, tylko punkt, z którego wszystko widzi i ocenia pan Bartłomiéj, jest tak sprzeczny z sumieniem narodu, a tak swoim cynizmem obrażający uczucie, że możnaby pismo jego nazwać wyznaniem wiary Targowiczanina, ale bez skruchy i zgryzoty bo dworującego i z przekąsem nauczającego: to była wasza droga zbawienia, a nie tamta, którą poszliście na zgubę. — Krytyka bez względu potępiła ten objaw samobójczy: w tém tylko chybili niektórzy, że zbyt wzgardliwie traktowali talent pisarski autora umiejący się niekiedy utrzymać na takich wysokościach prawdy historycznéj i moralnéj, do jakich innym dosiągnąć niezawsze się uda, co tém przykrzejsze, że tuż obok miejsc nacechowanych głębokością sądu i znajomością natury lu-

dzkiéj, otwierają się przepaści prawdziwego moralnego upadku, na dnie których odegrał po mistrzowsku swoją apoteozę podłości.

Ochockiego pamiętniki nie są fikcyą obrachowaną na cel pewien, ale rzetelną relacyą wołyńskiego szlachcica, który ma ten wysoki przymiot, że się dość otwarcie ze swego życia spowiada, a tem samem uchyla zasłony i pokazuje spółeczeństwo że tak powiem, w negliżu. Jednakowoż zdaniem mojem mógł był szanowny wydawca bez żadnego skrupułu wyrzucić przynajmniéj z połowę miłośnych przygód pana Duklana; niebyśmy na tem niestracili, bo takie przygody nie są charakterystyką pewnego czasu, ale niestety! wszystkich czasów, a zgorszenie zawsze będzie zgorszeniem choćby nosiło cechę poważnéj starożytności. Szczególniej cały ten romans z podżyłą i otyłą podkomorzyną, niepotrzebnie szpeci karty téj wzruszającéj i bolesnéj epoki, a rzuca wcale niepochlebny cień na pana Duklana; nic bowiem nieznam wzgardliwszego w rodzaju męzkim, jak młodzieńca zostającego na żołdzie staréj nierządnicy, a chełpiącego się, że pieniądzmi tak zarobionemi utrzymywał młodą — aktorkę. Podobne wyznanie zrobione w gronie światowych i hulaszczych kawalerów przez którego z nich, niezawodnie pozbawiłoby go szacunku nawet w opinii rozpustników; cóż dopiero powiedzieć o wrażeniu jakie podobne wyznanie sprawić może na czytelnikach i czytelniczkach nieobeznanych z tradycyami najwyższéj korrupcyi moralnéj. Ta uwaga powinna była zastanowić wydawcę i odjąć mu wszelki skrupuł w wykreśleniu nieprzyzwoitych ustępów; a byłby przez tę ostrożność ułatwił poznanie pamiętników Ochockiego nawet i tym osobom, co z niedowierzaniem przystępują do czytania płodów dzisiejszéj literatury powieściowéj, pilnie przestrzegając, aby tylko książki nieskalane żadnym moralnym brudem dostawały się do rąk młodzieży.

Poświęcenie wszystkich ustępów rażących moralność publiczną zależało zupełnie od wydawcy, i natemby niestraciły pamiętniki, jak z drugiéj znowu strony niemały poniosły one uszczerbek przez konieczność osłabienia lub wyrzucenia wielu szczegółów które Ochocki opowiedział, będąc ich świadkiem. Podobne trudności towarzyszące publikacyom drażliwych wspomnień, odbierają pomiętnikom tego rodzaju ich właściwy charakter, zamieniając je najczęściéj w bladą gadaninę; dla téj przyczyny wolelibyśmy je czytać w zupełności i w tym kształcie jak wydrukowane zostały pamiętniki Kitowicza. Ukrainna kampania 1792 roku, późniéjsze prześladowania i intrygi Comburleja, pokazałyby się zapewne w pełném świetle, bo Ochocki w trzech szczególniéj momentach dowiódł niepospolitego obserwacyjnego talentu, raz, gdy kreślił tę niespodziewaną chwilę ogłoszenia Ustawy trzeciego maja, która zupełny miala charakter emeuty; powtóre gdy nam otworzył salony i obyczaje rozwiązłéj czeredy co się na sejm grodzieński zwaliła, a nakoniec gdy w 1795 roku przyjechał do Lwowa i tam ukazał bohatyrów z rozpaczy po świeżéj katastrofie nurzających się w hazardownéj grze i łatwej rozpuście. Osobliwą jego oryginalność znamionuje szczególniej ton niefrasobliwy wietrznika, który o wszystkiem co widz, mówi bez ogródki, i niewdaje się w moralne obroki piorunów nieciska, następstw niebada, a tylko używa życia póki sił starczy i grosza w kieszeni. Ten rodzaj opowiadania tak rzadki w pamiętnikach pisanych z dawnych wspomnień, zazwyczaj w wieku dojrzałym z natury swéj dydaktycznym i rozumującym, ma niepospolity urok dla czytelnika, bo mu w duszy obudza nawał myśli, że nieledwo większy od nich powstaje nad nimi komentarz. Książka pobudzająca do myślenia zawsze wyższą ma wartość od tèj co wszystko wygada — jest to tajemnica, któréj jednakowoż tak rzadko trzymają

się nasi pisarze, i dziwią się, że ich utwory przechodzą bez śladu, jak łódź przemykająca się po powierzchni wody.

W rodzaju pamiętnikowym odnoszącym się do domowych stosunków zakątka Litwy wyszła: *Powieść z czasu mojego* czyli *Przygody Litewskie.* Niewiadomy autor dzieje domowe przyoblókł niby w szatę powieści, niby jakiegoś pamiętnika w którym podaje wiele szczegółów familijnych. Opowiada po prostu, ale niekiedy wpada w przewlokłość napełnioną komunałami: „że chciwość w zbieraniu majątku, bez względu na środki, nie jest korzystną“ i tym podobne ogólniki, albo też maluje chorobę Bogusi, leki pani Kukiewiczowéj klucznicy niezmiernie gadatliwéj niewiasty, paplanie Bogusi, niezbędnego kwestarza, którego Chodźko odmalował tak skończenie, że po nim można tylko zrobić bladą kopię. Miejsca te niepospolicie są ckliwe i nudne. Niewspominałbym o tem gdyby nieprzechodziło to już w manierę naszych pisarzy, którzy nietroszcząc się czy co nowego powiedzą, wywłóczą wszystkie zaściankowe wspomnienia; mogą one mieć urok dla opowiadającego, gdyż wszelkie wspomnienie z lat młodych ma go samo przez się, ale nie idzie zatem aby wszystko warto było wspominać i opisywać co się czuło i widziało za młodu, bo przedmiot prawie zawsze się powtarza, jeżeli życie płynęło zwykłym trybem wiejskiego zacisza. Rzucanie się w te drobiazgi powszedniego żywota, ma to jeszcze do siebie że oddala od większéj historyi, zacieśnia ramy widokręgu, wprowadza ludzi zwyczajnych jakich się codzień spotyka do sytu. Tym sposobem utwór wyłamuje się od wszelkich wymagań kompozycyi artystycznéj, staje się prostem skopiowaniem prozaicznéj rzeczywistości, która już razić mocno poczyna w dzisiejszych utworach, szczególniéj formy powieściarskiéj. Kto bowiem kopjuje społeczeństwo, bierze tem samem na siebie obo-

wiązek wierności, czyli dokładnego powtórzenia wszystkich jego wad, ułomności, brudów nawet, a chociaż zazwyczaj okraszone to bywa teoryą: żeby się poprawić, wprzód trzeba się ujrzeć we właściwem świetle — jednakowoż proceder ten przeciwne wręcz daje wypadki; dusza bowiem ludzka karmiona szkaradami nie czyści się w nich jak w ogniu, ale częstokroć smakuje w złem, a przynajmniéj tak się z niem oswaja, że traci wstręt i uważa te niedostatki i ułomności, jakby fatalną konieczność przywiązaną do natury wszystkich społeczeństw tego padołu niedoskonałości.

Jedną z najpilniéjszych walk obowiązujących krytykę, jest dziś bezsprzecznie walka realistycznych tak zwanych naturalnych dążności, z dotychczasowym idealistycznym kierunkiem. W piszących nie widać żadnego usiłowania do osiągnienia w tworach swych zupełnéj piękności, ponieważ zatopienie się w realiźmie obudziło wstręt do idealizmu; ztąd najwięcéj jest u nich pociągu do szorstkości charakterystyki i drobiazgowości szczegółów; do chwytania portretów i sylwetek zamiast stawiania typowych postaci. Srodze chybiają w tem, że to obrali sobie za cel sztuki, co jest tylko prostym łącznikiem między ideą a jéj uzmysłowieniem, to jest płaski realizm. Mojem zdaniem, nazwałbym to kompromisem poety abdykującego z wysokiego posłannictwa w sferze ideału i ducha, na rzecz zewnętrznego świata w téj smutnéj postaci w jakiéj się przedstawia.

Ów Szyllerowski i Mickiewiczowski rozdwój między ideałami a niepoetyczną rzeczywistością, zaciera się coraz więcéj; z czego wypływa konieczność, że twór poety przestaje być owym barwami tęczy olśnionym obłokiem do którego rwie się umysł i fantazya; przeciwnie wlecze się jak trąba powietrzna po ziemi, zmiata śmieciska i wypija kałuże błota. Snadź że stracono poczucie ideału i piękna, oddano wzniosłe za rzeczywiste,

i pogodzono się z otaczającą nas powszednością. Kiedy dla Szyllera ten świat prawie nie istniał, kiedy dla niego wolność żyła tylko w krainie marzeń, piękność kwitła tylko w pieśni, przeczuwał prawie tę epokę w jakiéj żyjemy i pisał do Herdera: „Ta przewaga prozy w całym naszym bycie jest tak wielką i wybitną, że duch poetyczny zamiast stać się jéj panem, musi się od niéj zarazić i paść jéj ofiarą. Dla tego niewidzę innego środka dla poetycznego jeniuszu, tylko usunąć się z nizin rzeczywistości, i zamiast niebezpiecznego przymierza, raczéj murem chińskim odgrodzić się od świata.“ Zapewne niekażdy miał tyle stanowczéj odwagi aby z rzeczywistością zerwać jak Szyller; wielu wolało żyć z nią w kłótliwem małżeństwie. Ten i ów zaczął rościć sobie pretensyę do świata, pragnął ubóstwień, hołdów na jakie zdobyć się może tylko prawdziwa miłość, lecz gdy poznał że służył tylko za sprzęt zbytkowy, którym się przechwalał egoizm towarzyski, zamykał się w sobie, trawił żółć, wyrzekał że go niepoznano, zużyto i nadużyto i gardząc światem, stawiał ołtarze własnéj pysze czerpiąc przedmioty natchnień z tego co się w nim działo. Od téj egotycznéj poezyi, którą nas niestety dość długo nudzono, przeszliśmy niby poprawiając się, lecz już pozbawieni ideału, w świat zewnętrzny robiąc sobie jakby powinność sumienia zdejmowania zeń najwierniejszych kopij; ma się rozumieć, że tu mówię o najniższym stopniu realizmu, który lubi tylko szpetną, trywialną i bezmyślną przedstawiać rzeczywistość, czyli taką, jaka często zjawia się oczom naszym na scenie i na kartach romansów. Realizm bowiem spotęgowany wysokiem uczuciem i pojęciem piękności, to szczyt poezyi, która bez niego byłaby pustą, fatygującą mrzonką, abstrakcyą niemającą w sobie nic ludzkiego, ziemskiego, — zatem obraną z życia.

Wszakże po tym rozbracie z ideałem, który jak wygnane bóstwo opuścił pierś poety, trzeba było brak we-

wnętrznego ognia i poczucia doskonałego piękna zastąpić jakim innym surrogatem— znaleziono go w tak nazwanéj sztuce.

Przypomnijmy tylko sobie, czy przed laty kilkunastu słyszeliśmy ten wyraz sztuka, artyzm, artyści, powtarzany tak często, jak za dni dzisiejszych. Wyraz ten brzmi we wszystkich ustach i pismach używany nawet *àpropos des botes*. Tymczasem nigdy może pojęcie sztuki niebyło bardziéj pomięszane i skrzywione. I tak, kiedy jedni utrzymują radzi, że tradycya jest jedynem i wszechwładnem prawidłem, że dla nas, cośmy przyszli za późno nic już nieokroiło się z pierwotnych sił twórczych, z czego wynika iż dla artysty pozostał tylko wybór wzoru do naśladowania i nic więcéj; to znowu drudzy jednym skokiem rzucają się w przeciwną ostateczność, i twierdzą iż natchnienie niepotrzebuje studjów; że wyobrażnia jest przymiotem samowładnym mogącym panować bez wykazania się długim szeregiem przodków, i bez znoszenia się z innemi władzami umysłu. Największa znowu liczba, bo przeważna w dzisiejszem piśmiennictwie, jednych i drugich ma sobie za ba i bardzo, a uśmiechając się litośnie na wszystkie systemata, nieprzypuszcza tych trapiących myśli do głowy, i sztukę traktuje jak rzemiosło lub towar, powtarzając sobie: najlepsza to sztuka co najwięcéj grosza przynosi. Tym sposobem sztuka źle pojmowana przez niektóre umysły często z najlepszą wiarą, doznaje rozmyślnéj poniewierki przez tłum piśmienny.

Połączyć nowość z doskonałością — oto cały cel sztuki — a tymczasem mimo powszechnego hasła: Sztuka i sztukmistrzo! jakże nam trudno spotykać się z czém nowém i z czém doskonałém; — sądzę nawet, że jakby umyślnie pisarze nasi obierają taki rodzaj, który ich do niego nieobowięzuje, w którym wszelka mierność

bardzo przyzwoite może zajmować stanowisko. Rozumiem tu formę powieści i romansu, prozą czy wierszem wszystko jedno.

Wytłumaczę się z tego wyraźniéj. Wiadomo że romans jako dzieło sztuki, może obejmować w sobie wszystkie rodzaje literatury; ramy jego bowiem są tak obszerne, że w nich śmiało rozpościera się najbujniejsza fantazya artysty. Słowem ta nieograniczoność i nieokreślność powieściowego rodzaju, jakkolwiek sprzyja swobodzie tworzenia, tak z drugiéj strony napotyka niebezpieczne szkopuły. Gdzież się bowiem romans poczyna, a gdzie kończy? Pytanie to nieda się rozwiązać; jeżeli malowidło życia rzeczywistego i świata przeważa w nim, to znowu fantastyczność i cudowność także w nim miejsce swoje znachodzą. Nikt téż ile wiem niekusił się spisywać kodex poetyczny romansu, w którym mieści się każdy rodzaj literatury od epopei do epigramu, od dramatu do mglistych rojeń metafizyki.

Korzystając z tego przywileju, romans opanował wszystkie rodzaje, i służy za środek do przeprowadzania w téj formie każdej idei, każdej opinii, jaka zaświeci w głowie autora. Ten zwrot, tak namacalny w naszych czasach, stał się przyczyną poniżenia tego rodzaju literatury.

Jaki taki przynosząc swoją opinijkę i doktrynkę, dobiera sobie do niéj scenerye, wyszukuje odpowiedne figury, i każe im ruszać się na rozkaz, a raczéj za pociągnięciem sznurka; zupełnie jak w jasełkach. Kompozycya taka stosowana i przykrawywana do mającéj się przeprowadzić idei, najczęściéj bywa chybioną; z téj przyczyny, że jeśli ten i ów niepodziela owéj zasady lub opinii, tém samem zmuszony bywa odmòwić tak zdarzeniom jak osobom dramatu wszelkiego podobieństwa z rzetelną prawdą życia. Nawzajem zwolennik opinii autora, więcéj znajduje pociechy że jego opinia po-

partą została, niż się interesuje artystycznem przeprowadzeniem jéj, i mniej mu bije serce dla tych postaci wyrojonych, gdy on sam może się ma za większego jeszcze bohatera gdyby mu w rzeczywistości nastręczyło się takie pole jak w romansie.

Ten fałszywy proceder używany przez romansopisarzy, przyprawia ten rodzaj o coraz większe bankructwo, zwłaszcza, gdy wyobrażenia ich moralne i wewnętrzne dążenie do ideału piękna, nie jest na téj wysokości, aby założenie przeprowadzić ze ścisłą konsekwencyą we wszystkich częściach i do samego końca. — Cóż mi z tego, że ktoś bardzo budującą, lub wysoce filozoficzną ideę zamierzył podać w formie powieści, kiedy w wykonaniu najczęściéj chybi, podobnie jak ten syn Dumasowy, w swojéj *Dame aux Camélias.* Główny jego pomysł zamyka się w zdaniu, że raz uroniony honor nie da się przez skruchę odzyskać — że dawniejsze życie mści się, przeszkadzając do powrotu na dobrą drogę. — Bardzo dobrze! lecz myśl ta, tak tam jest zagłuszoną ponętnemi opisami brudnego żywota Loretek, autor tak sobie w tém smakuje, że jego cały morał wygląda jak niepotrzebna przyczepka. Wziąłem ten przykład z autora bardzo wziętego i naśladowanego, który jest prototypem rodzaju. Dla czego zaś między naszymi pisarzami powieści nie szukałem przykładu? Oto że ci, co piszą krojem rancuzkich romansów — a jest ich bardzo wielu — pozbawieni są wybitnych cech; tak dobre, jak złe, powleczone jest u nich pewną mglistą warstwą pochodzącą z braku odwagi, — muszą więc modyfikować się, by niezrazić opinii poważnéj większości; podkopują się jak krety, nieśmiejąc otwarcie wystąpić w bój.

Poetycznym duchem i talentem obdarzony artysta inaczéj tworzy — jego coś musi silnie tknąć w rzeczywistym świecie, owładnąć go, zlać się z jego istotą wewnętrzną, napełnić wszystkie marzenia i sny, przejść

w krew nieledwo — i przetrawiwszy się ogniem najgłębszego uczucia, wyjść w skończonéj, harmonijnéj całości z twórczéj piersi.

Harmonia i całość! to sęk! to zadanie każdéj kreacyi. — Całość i jedność — to alfa i omega powieściowéj kompozycyi.

Umiejętność analizuje czyli rozbiera, sztuka uogólnia. Jakiż jest cel romansu? Niezasadzaż się on na wzbudzeniu interesu dla dykcyi, na wzruszeniu czytelnika przez potrącenie najdelikatniejszych fibr serca? Owóż jeżeli romans chce porwać moją uwagę, niechże ją przywiąże do jednego punktu. Rozstrzeliwać sympatyę, to samo jest co ją niszczyć. Ogół natury przedstawia cudowną harmonią — toż i dzieło sztuki powinno być takiem, czyli harmonijném, i w tym właśnie względzie naśladować naturę.

Tak pojmuję romans, tak każdą kreacyę, i dla tego widzę tyle uchybień w dzisiejszych naszych powieściach pozszywanych z obrazków, które są jakby mozolnie powłóczone argumenta, dla poparcia tendencyjnéj idei, będącéj głównem założeniem, mającego się dowieść zagadnienia.

Dla tego to romans się zbłąkał, że chciał aż nazbyt granice swego królestwa rozszerzyć. Prostych opowiadaczy tego, co ich tchnęło i wstrzęsło w istocie, co się zidealizowało w poetyczném natchnieniu, rzadko się napotyka; za to pretesyonalnych nauczycieli wykładających teorye swoje pod figurami — aż do sytu. Osoby ich sztucznie uorganizowane tak się wygadają ze wszystkiego czém są, czego chcą i czém być mogą, że czytelnik niepotrzebując już myśleć o nich, daje im odprawę na wieki. Idą więc w zapomnienie na skład, jak jasełkowe lalki.

W steku powieści naszych ile to jest, pozwalamy zapytać się, takich postaci coby miały swój żywotny i grun-

towy organizm? krom Paska, tego zapłodniciela licznie sypiących się tomów, braci Strawińskich żyjących kontrastem, szczytnego księdza Robaka, kwestarza Chodźkowskiego i ostatniego z Siekierzyńskich, wyłączając *Panie Kochanku* który jest wyjątkowym oryginałem — zgoła, oprócz tych kilku figur, niemogących nam być odebranemi przez żadną literaturę — niewidzę nawet usiłowania, aby nowsze kreacya chciały się wznieść do téj wysokości: owszem powieść wpadłszy na niewłaściwe tropy, coraz więcéj rezygnuje z niezbędnych warunków poetycznéj kreacyi.

Uwagi te powiedziane ogólnie, nie zaczepiają powieści i romansów jakie ukazały się w upłynionym roku z przyczyny, że w téj gałęzi naszego piśmiennictwa niezaszła jeszcze żadna odmiana. Powieści piszą się jednym trybem, aby jak najwięcéj tomów napisać. Gdyby choć jeden był zaświecił nowością pomysłu i wykonania, byłbym go wspomniał, lecz wszystko to są z małym wyjątkiem dzieci ojców, do których się nie chcą przyznać, chociaż z fizyonomii poznać że w nich płynie krew Sandów, Dumasów i t. p.

W takiéj literackiéj posuszy zdałoby się ożywić czém spragnione dusze, bo sam *Wit Stwosz* patrząc z głębi gotyckiego ostrołuku w nader szczupły świat artystoski nieznajduje tego rozgłosu, jak insze poetyczne utwory ulubionego pieśniarza znalazły. — Może ten niedostatek wielkiéj poezyi, natchnął aż dwóch razem tłumaczów Szekspira, których przekłady wychodzą w Warszawie; przekłady te porównane z Makbetem, tłumaczonym przez Andrzeja Ed. Koźmiana, mogą mieć zalety skrupulatnéj wierności i zrozumienia textu podług najlepszych objaśniaczy, ale nieświadczą żeby były dziełem poetów; można o nich powiedzieć słowami Juliusza:

Szkoda że w księdzu Kefalińskim znika
Szekspir . . . . . .

Lubo nie właściwa rzecz porywać się do przekładu wielkich poetów z małym talentem, jednakowoż praktykuje się najczęściéj. Ztąd tyle nieznośnych tłumaczeń, mających pretensyę uchodzić za bardzo wierne. Jakiejże to czytelnik potrzebuje wierności! przecież nie wierności słów zbliżonych szykiem i nieledwie dźwiękiem do oryginału, ale potrzeba mu wierności sęsu; dwa zaś niepodobne do siebie języki nieoddają tego samego sęsu w tych samych słowach, ani w téj saméj słów liczbie. Jeżeli usadzisz się niepotrzebnie tłumaczyć wiersz w wiersz, słowo w słowo, cóż osiągasz? Oto wysiłem tym fałszujesz naturę własnego języka, a niejesteś w stanie kazać mu oddać kształt i myśl pierwotworu. Instrument twój wcale odmienny; na fleciku niemożna wydobywać dźwięków skrzypcowych, a jednak można grać te same kompozycye. — Niektórzy tłumacze umieją wygrać obcy twór na swoim instrumencie tak mistrzowsko, że każdy wziąłby przekład za ich własność, za oryginał. — Cóż im daje ten przymiot? — Oto dar poezyi— W ten sposób przekładał Mickiewicz, Morawski, Byrona; Słowacki trajedyę Kalderona, Odyniec Walter Skota i nikt niepowie żeby niebyli wiernymi, choć dosłownymi nie są. Niewolnicze trzymanie się textu, niszczy wierność; rodzi przymus i niejasność; gdzie zaś skutkiem dosłowności jasność cierpi, tłumaczenie bywa chybione; dosłowność bowiem wchodząca w zwykły proceder tłumacza, powinna widocznie ustępować miejsca jasności, która jest rzeczą zasadniczą.

Tę ostatnią uwągę stosowałbym szczególniéj do przekładów ze starożytnych wzorowych pisarzy. Sposób ich pisania wysoce doskonały, wymaga takiéj saméj dosko-

nałości po tłumaczu, czyli powinien on schwyciwszy ducha każdéj myśli, wyrażenia się, dociągać w swoim ojczystym języku do téj saméj skali, i wydać to samo choć niezupełnie temi wyrazami i temi zwroty.

Pierwszy tom przekładu dzieł Platona przez Antoniego Bronikowskiego, wybornego filologa, obok przymiotów wierności, dosadności w oddaniu pomysłów starożytnego filozofa, przesadza niekiedy wymuszeniem w użyciu wyrażeń się nierozjaśniających i tak zawiłego starożytnością textu. Niepotrzebnie téż w przedmowie nastaje tłumacz na nasz język, powiadając: „że chodzimy w wietrznéj konwersacyjno-francuzkiéj rutynie myśl i obrazowania, bośmy do samodzielnego myślenia, a więc i do wydawania myślenia naszego po własnéj, narodowo-odrębnéj formie, czy nie mogli, czy raczéj niechcieli jeszcze poznoić się dotąd i t. d.“ Zdaje mi się że każdy naród tak obrazuje swoje myśli, aby się sam najlepiéj mógł rozumieć. — Tłumacz wyrzuca narodowi pęta Rzymian i Francuzów, że w nich chodził i chadza — a sam teraz każe zapatrywać się na Greków. Trochę w tém niekonsekwencyi, chociaż właściwie mógł mieć intencyę pobudzić nas dó téj samodzielności myślenia i wydobywania wszystkiego ze siebie, jaka cechowała ten szczęśliwy lud starożytny. Zdaniem mojem ta samodzielność grecka znalazła się w zbiegu szczęśliwych okoliczności — był to bowiem lud z przeznaczeniem przygotowania trzeźwéj cywilizacyi zachodniéj, tak odrębnéj od cywilizacyi wschodniéj utopionéj w poezyi mythu i kastowości, ściśniętéj formułkami hieratycznemi tak szczelnie, że o samodzielną, niepodległą myśl niemogła się kusić. — Grecya przecięta morzem od tradycyi wschodniego świata, słabo tylko wiązała się z niemi przez swoje azyatyckie kolonie. Przeciwnie w europejskim świecie wymagać téj samodzielności myśli i czynu po narodzie otoczonym wyższemi wpływami dojrzalszych

narodów, rej wodzących w świecie historyi i kultury, jedno jest co wymawiać paralitykowi że nieskacze jak zdrowy. — Własności języka są wyrazem własności przyrodzonych narodu — bądź jak bądź szanować je wypada, aby w skutek niewczesnego uroszczenia nieposądzono nas że umyślnie psujemy język ojczysty, odrzucając właściwe mu zwroty, tok logiczny, budowę okresów, i znaczenie wyrazów przyjęte w tém a nie inném rozumieniu.

Pozwoliłem sobie tych postrzeżeń, nie żeby ujmować wartości szanownéj pracy tłumacza *Dzieł Platona*, lecz w tém przekonaniu, że zbytnie zawierzenie swojéj śmiałości może pociągnąć w następstwie zupełne wyłamanie się z prawideł używanéj mowy, przez co zrozumienie Platona stałoby się trudniejszém niż w oryginale, a jaki taki coby go niemógł w oryginale czytać, szukałby może przekładów w innych żyjących językach, w téj nadziei, że one mu snadniéj odsłonią tajemnice Platońskiéj mądrości.

Możnaby jeszcze dorzucić słówko do ważnych zajęć na polu historycznych poszukiwań, jakie postrzegać się dają na różnych punktach. Wielce zasłużony literaturze hr. Tytus Działyński wydaje wielkim nakładem Akta Tomickiego; również w upłynionym roku ogłosił: Zabyték języka polskiego z XV wieku, w kosztownéj edycyi — na czém historya tworzenia się i doskonalenia języka zyskuje ważny przyczynek. — W Warszawie świeżo ukazał się cenny materyał do dziejów polskich wydany przez Włodzimirza hr. de Bröl-Platera, wydobyty z ték Naruszewiczoskich. Niemówiąc nic o wartości materyału wielce pochwalam skromność odycyi, bo się staje dostępną, czego znowu w wydaniach hr. Działyńskiego pochwalić nie mogę. Biblioteki publiczne nie gęste u nas, a pracownicy zazwyczaj ubodzy, niełatwo mogą dobrać się do historycznego materyału, jeżeli tenże

przewyższa możność ich kieszeni. — Najwięcéj jednakże obiecującą publikacyę zapowiedział znany badacz dziejów Augustyn Bielowski. Będą to *Monumenta poloniae historica*, kłórych druk już się rozpoczął we Lwowie. Wydawca zwiedził wszystkie biblioteki, gdzie tylko przechowały się kodexy najstarszych kronik, porównał texty, sprostował krytycznie i historycznie objaśnił; łaciński wydaje w oryginale, grecki zaś, anglo-saski, hebrajski, starosłowiański zastawia obok z przekładem: Tym sposobem daje nam czyste źródła historyczne, z których dotąd niezawsze sumiennie i umiejętnie czerpano; tyle téż błędów nasiało się w historyi naszéj, że dziś, kiedy źródłowy materyał w czystości swéj podany zostanie, niejeden fakt w innėm, rzetelniejszém przedstawi się świetle. Dodać tu winienem jeszcze, że trud tych poszukiwań, nieodbył się ani staraniem jakiego uczonego towarzystwa, ani łożącego na to mecenasa, ale czynnością jednego człowieka poświęconego nauce i rozmiłowanego w niéj. — Zawsze to utrzymywałem i teraz jeszcze więcéj się w tém utwierdzam, że czego jeden dzielny człowiek nie zrobi, tego cała kupa mniéj dzielnych pewno niedokaże.

Lucyan Siemieński.

# UKAZ CESARSKI

**Aleksandra II z dnia 2 grudnia 1857 r.**

i

# MEMORYAŁ

**hr. de Maistra z d. 28 grudnia 1811 r.**

przedłożony

**CESARZOWI ALEKSANDROWI I.**

---

W roku przeszłym, zwracano po dwakroć w tem piśmie i na tem samem miejscu *) uwagę czytelników na przeobrażenie społeczne do którego Rosya dąży, i starano się wykazać konieczność która ją znagla do takowej przemiany stosunków wewnętrznych. Symptomata owych reform gromadziły się pośpiesznie, jak z resztą zawsze bywa w téj kolei wypadków. Polityka zewnętrzna podawała ciągle rękę powstającym wewnątrz dążnościom i życzeniom, i wydobywała je na jaw. Konsensa na drogi żelazne, taryfy celne, traktaty handlowe, były tylko wstępem do głównego dzieła, były tylko przy-

---

*) *Zmiany Konieczne* T. VI. str. 472. *Rosya i Kwestye społeczne* T. VII str. 210.

gotowawczemi krokami do niebezpiecznego a nieuknionego pochodu na drodze zmiany społecznéj. — W oznakach tych jakkolwiek widocznych i wyraźnych, część strącić wypadało na wymagania ostatnich politycznych wypadków, część na następstwa przyjętych z innemi mocarstwami zobowiązań, część na parcie owego ruchu europejskiego, przedsiębiorczego a tak powszechnego, iż przenika wszystkie najodleglejsze nawet zakątki świata i drogi żelazne i kanały przez pustynie nawet prowadzić zamierza. Ważniejszemi przeto od tych zbyt namacalnych symptomatów, były owe głosy odzywające się coraz częściéj i śmieléj, jeżeli nie zupełnie otwarcie w saméj Rosyi, to głośno i bez obawy w prasie europejskiej, rozbierające dążenia społeczne rosyjskie, stawiające życzenia mieszkańców tego ogromnego państwa, oceniające jego rząd teraźniejszy, domyślające się widoków i zamiarów monarszych, ukazujące częstokroć Rosyę w nowem jéj a bliskiem przeobrażeniu jako wzór dla innych państw europejskich. Ważniejszemi były owe głośne uznawanie wad administracyjnych przez samych Rosyan, wad tamujących wszelkie ulepszenia i niweczących najlepsze chęci i najzbawienniejsze zamiary monarsze; owe wykrywanie wad takowych, nadużyć, przekupstwa, nie tylko w pismach publicznych, ale nawet wyśmiewanie ich na scenie. Głównym zaś, i najwydatniejszym symptomatem reformy, było ogólne rozprzężenie składu machiny rządowéj, zapisane na tem miejscu jeszcze w maju r. z. jako dowód konieczności zmian w tem państwie. Zmian jeszcze nie było, a nikt nie wątpił, że nastąpić muszą. Nie było wcale nowych instrukcyj w żadnéj administracyjnej sferze, a przecież dawne instrukcye w całéj jeszcze mocy prawnéj będące, przestawały być wykonywane. Każdy bowiem czuł, że są przestarzałe. Leżały jako litera martwa. Miano powszechnie to prze-

świadczenie, że wykonywaną już być nie może, że ją zatem nową zastąpić wypadnie.

Taki stan rzeczy długo trwać nie mógł, i to właśnie rozprzężenie, nagliło przystąpić do czynu. Jakoż rok się jeszcze nieskończył, gdy ukazał się reskrypt Cesarza Aleksandra II w celu urządzenia przyszłych stósunków obywateli i włościan. Był to krok stanowczy na drodze zmiany społecznéj; bo jakikolwiek sąd wywołać może ów ukaz w Europie, jakiekolwiek przeszkody przewidywać wolno w jego wykonaniu, jakkolwiek odległy termin ostatecznych następstw tego rozporządzenia, jakkolwiek nareszcie wystósowane było zrazu do jenerał-gubernatorów trzech gubernij: wileńskiej, grodzieńskiéj i kowieńskiéj, — zawsze jednak uderza ono w żywioł nietylko administracyi, prawodawstwa i rządu w Rosyi, ale uderza w żywioł samej społeczności rosyjskiej, i zmieniając jego naturę znosi go tem samem niepowrotnie.

Nie można bowiem inaczej tłómaczyć brzmienia piątego paragrafu w okólniku ministra spraw wewnętrznych objaśniającym ukaz cesarski, gdzie wyraźnie stoi „że „zniesione będzie wszelkie przechodzenie w obcą własność włościan odrębnie od gruntu, czy to przez sprzedaż lub dotacyę, lub w jakibądź inny sposób; zniesione również zostanie przesiedlanie włościan w inne miejsca w brew ich woli; zniesiona przemiana stanu włościan na stan sług dworskich (*dwornoje ludi*), i „obrane być mają właściwe środki do stopniowego „zmniejszenia tej klasy, a w końcu do zupełnego jéj „zniesienia za pomocą przemiany ich na włościan z wydzieleniem im części gruntu lub przyjmując ich za zezwoleniem właścicieli do klasy ludzi wolnych“. Wzmianie tej jest zniesienie nieograniczonego prawa do osoby poddanego, jest zniesienie niewoli. Poddany w Rosyi uważany był za własność, można nim było jako wła-

snością rozrządzać: ten stosonek społeczny ustaje. Stósownie do ukazu cesarskiego nastąpić ma stósunek przechodowy, a niewola zamienia się w poddaństwo gruntowe (*glebae adscriptio*). „Obywatele mają zacho„wać prawo własności do całego gruntu, lecz włościa„nom pozostawi się zagroda na któréj mieszkają, a któ„rą nabędą w przeciągu czasu oznaczyć się mającego „na własność za pomocą wykupu; obok tego ma być „dany włościanom do użytkowania należyty, w miarę „możności miejscowéj dla zabezpieczenia ich bytu i wy„konywania obowiązków ich względem rządu i obywa„teli, obszar gruntu za który włościanie mają płacić „właścicielowi czynsz lub odrabiać pańszczyznę“.... a okólnik ministra dodaje: „że włościanie nie będą mieli „prawa, dopóki nie otrzymają zupełnéj wolności opu„szczać swoje wsie bez zezwolenia właściciela ziemi na „któréj są osiedleni“... i znów w innem miejscu: „że „ziemia raz oddana w używanie włościanom nie będzie „mogła być przyłączoną więcéj do łanów pańskich“... Ow stan przechodowy zamierzony ukazem z 2 grudnia chce utworzyć ludność chałupniczą, zagrodniczą, przypominającą nieco tę co w Anglii nazywają *cottagers*. Nie idzie tu o praktyczność wykonania zamiaru, ale o doniosłość aktu, a ta zdaje się być widoczną. Bo jakkolwiek ukaz nie wypowiada całkiem swych widoków, jakkolwiek nie orzeka „usamowolnienia chłopów“, ale żąda tylko „zmiany stósunków między właścicielem ziemi a włościaninem“, jakkolwiek główną jego zasadą zdaje się być jak dotąd stałość siedziby chłopa i zabezpieczony przez właściciela podatek rządowy, zawsze jednak przez samo nadanie owéj stałéj włościanom siedziby i ograniczenie praw i własności obywateli na osobie poddanych i gruntach im wydzierżawionych, zmieniony zostaje całkiem dawny stosunek społeczny, zniesiona niewola. Jeżeli zaś pozostaje system pańszczyzna-

ny i czynsze, to wszelako w ostatecznym wyniku zapowiedziane jest zupełne uwolnienie klasy włościańskiéj, ale stopniowo i w pewnym terminie. Krok więc uczyniony stanowczo w reformie spółecznéj, i to w całéj Rosyi.

Ukaz bowiem cesarski z 2 grudnia wystósowany do gubernij litewskich poprzedził tylko kilku dniami ukaz podobny wydany 5 grudnia do gubernii Petersburgskiéj. Można było przeprowadzać zmiany w prowincyach nadbaltyckich, jako to Liwonii, Estonii, Kurlandyi, bez naruszenia stanu spółecznego w Rosyi właściwej, bo w prowincyach tych podobnie jak w Królestwie Polskiem stósonek włościan do obywateli zawsze był inny, aniżeli w prowincyach moskiewskich. Ależ przypuścić niepodobna aby w jednéj gubernii rosyjskiéj można znosić niewolę ukazem a zostawiać ją nietykalną w drugiej. To też dosyć odczytać ukaz z 2 grudnia i okólniki ministeryalne, które go wyjaśniają, aby się przekonać, że pomimo ograniczenia litery do trzech gubernij, duch rozciąga się do całego państwa rosyjskiego. Cóż innego naprzykład ma oznaczać poświęcenie całego paragrafu na zniesienie klasy *ludzi dworskich* w okólniku wysłanym do trzech gubernij litewskich, gdzie właśnie ten stósonek niewolniczy prawie całkiem nieistnieje, gdy tymczasem jest on prawdziwą plagą w guberniach moskiewskich? Cóż ztąd wnosić należy, jeżeli nie naturalne bardzo następstwo, że zasady w tym samym okólniku zawarte, w całéj Rosyi będą zastósowane. W okólniku nawet towarzyszącym ukazowi do gubernii petersburgskiéj lekka jest tylko wzmianka w wyrazach: „winno ustać obracanie włościan bez gruntu na dworskich“... jakby dla mniejszego tamtejszéj szlachty, którą to najwięcéj obchodzi, drażnienia.... A gdyby to nie było dostatecznym dowodem, cóż ma znaczyć drugi okólnik ministeryalny wydany do gubernatorów cywilnych i woj-

skowych oraz do marszałków szlachty *wszystkich* gubernij cesarstwa, jeżeli nie powszechność ukazu z 2go grudnia dla całéj Rosyi? Według tego okólnika zasady ukazu dla trzech gubernij litewskich wydane, mają służyć dla każdéj „w razie, gdyby szlachta w niej objawiła ten sam zamiar co powyższe, o którym Jego „Cesarska Mość dowiedziała się z zadowoleniem“..... W tem zawezwaniu nie mieściż się życzenie cesarskie? Życzenie to nie jestże prawie rozkazem, a ewentualność w téj kolei prawie koniecznością? Na cóż narażałaby się szlachta gubernii stawiająca opór życzeniu Monarchy z jednej strony, a z drugiéj wzbraniająca się przystąpić do podobnéj reformy, zwłaszcza, gdy włościanie o dążnościach rządu, i postępowaniu szlachty w innych guberniach są zawiadomieni?....... To też od chwili ogłoszenia ukazu ciągle donoszą o ruchu w tym kierunku, o oświadczeniach nowych gubernij, nie mówi się tu o guberniach w prowincyach dawniej polskich, jako to wołyńskiej itd. ale o guberniach rosyjskich, jako to niższonowogrodzkiéj i innych. W krótkim zapewne przeciągu czasu, reforma obejmie cały obszar państwa rosyjskiego.

Wszakże lubo ukaz Alexandra II stanowczy krok na drodze zmiany spółecznéj w Rosyi uczynił, myśl usamowolnienia chłopów nie była jak wiadomo obcą jego poprzednikom. Zajmowała ona zwłaszcza stryja jego Alexandra I, i pomimo burzliwych okoliczności sprowadzonych epoką Napoleońską, pomimo wojen ciągłych i nader trudnego nieraz położenia, monarcha ten przewidywał zbliżającą się konieczność zmiany stosunków włościańskich i przemyśliwał nad zniesieniem niewoli. Najlepszym na to dowodem jest memoryał poufny, który hrabia Józef de Maistre, poseł sardyński, opuszczając Petersburg monarsze temu zostawił, wywdzięczając się jak sam pisze — tym sposobem, za osobistą przychyl-

ność i łaskę jakiéj podczas swego pobytu przy dworze jego doznawał. W memoryale tym pierwszy rozdział poświęcił de Maistre kwestyi usamowolnienia chłopów, czyli zniesienia niewoli. Nie byłby zapewne tego uczynił, bez dokładnéj świadomości i przekonania, że przedmiot ten tak ważny dla Rosyi zajmuje przedewszystkiem umysł monarchy którego otaczał uwielbieniem i szczerem przywiązaniem. W p. ufnym tylko memoryale mógł wypowiedzieć całą myśl swoję i słowa prawdy bez ogródki. Tak też uczynił.

Będąc w posiadaniu kopii tego sekretnego dokumentu, podaliśmy ów rozdział w niniejszem piśmie jeszcze w styczniu r. 1856 *). Publikacya ta niezwróciła uwagi takiéj na jaką ze wszech miar zasługiwała. A jednakowoż tekst francuzki dołączony do polskiego tłómaczenia, uchylał wszelką wątpliwość, czy rzeczywiście dokument, ten jest pióra de Maistra. Naśladować zaś tego autora w myślach i stylu zarazem, i to aż do niepoznania, nikomu się nieuda. O autentyczności więc podanego przez nas ustępu wątpić nie można było.

Lecz hr. de Maistre jest publicystą, jeżeli tak się wyrazić wolno, zupełnie klasycznym. Nie ma w nim najmniejszéj żyłki romantycznéj, mniej też jest do smaku dzisiejszej społeczności. Pogląd jego zawsze jest wysoki, zasadniczy. Od przyjętych zasad nieodstępuje dla uzyskania popularności; niczego nie poświęca dla miłéj zgody, jak to mówią. Niechce on nigdy aby wilk był syty i koza cała, bo według niego koza powinna być cała ale wilk syty być nie powinien. Owego romantyzmu politycznego, dziś tak wygłaszanego i uwielbianego *umiarkowania* nie zna bynajmniéj. Tolerancyą uznaje dla osób, nigdy dla zasad, tem mniej dla błędów. Nazwano go nie bez przyczyny „prorokiem przeszłości".

---

*) *Dodatek do Czasu* T. I. str. 91.

Paradoks ten w dziełach de Maistra ma swą prawdziwą stronę. Kwestyę, którą zaraz sprowadza do syntezy, stawia on według zasad bezwzględnych, zdaniem jego nieomylnych, bo o ile możności na opoce Piotrowéj opartych. Dowodzenie czerpie zawsze z historyi. Mało się troszczy o tak zwaną chwilowość. Teraźniejszość służy mu tylko do ocenienia kwestyi, do sądu używa przeszłości, a przyszłości zostawia orzeczenie wyroku. Kto go czyta z rozwagą, a bacznie w około siebie spogląda, przekonać się może łatwo, czy wyrok stósownie do sądu wydany, i podziwiać musi ową loikę która siłą przeszłości przyszłość niejako w swe karby nagina. Lecz wszystkie te cechy demestrowskie, owa nieugiętość przekonania, surowość w wypowiedzeniu zasad, twardość w wyrażeniu nieobwijająca prawdy w bawełnę, owe nieschlebianie najwyższy kurs mającym wyobrażeniom i opiniom, ów brak względu na popularność, owa poniewierka i lekceważenie wszystkiego co chwilowe i przemijające, pogarda nawet dla słów szumnych i wdzięczno brzmiących a próżnych i bez znaczenia, które teraz tak wielką odgrywają rolę, że się nawet akta najwyższéj polityki bez użycia takowych obejść nie mogą, — cały ten surowy klasycyzm de Maistra nieprzystaje do pokolenia, wzrosłego wśród kadzideł zewsząd obficie dostarczanych; wychowanego w epoce przejścia i ogólnego zamętu pojęć, gdzie nikt należycie sprawy zdać sobie nie jest w stanie z wyrazów, przed któremi cała społeczność bije czołem jak cywilizacya i postęp, gdzie każdą prawdę dusi oględność, a każdy fałsz da się przeprowadzić pod zasłoną umiarkowania, filantropii i kosmopolityzmu. Nic dziwnego, że ów zakonny niejako klasycyzm dé Maistra razi społeczność przyzwyczajoną do tak romantycznéj publicystyki. Ową śmiałość, z gorącéj wiary i głębokiego przekonania pochodzącą, która w memoryale nieobrażała

Samowładcę wszech Rosyi, z trudnością dzisiaj znieść może opinia publiczna. A dzieje się to zaprawdę nie dla tego, żeby miała być silniejszą, lub żeby zasady de Maistra miały stracić na mocy i wartości; ale dla tego właśnie, że osłabła w skutek ciągłych a licznych pochlebstw, które w nią wmawiają, że sama prawda nawet do jéj wymagań stósować się powinna.

Nadto jeszcze dodać należy, że w chwili ogłoszenia przez nas zasad de Maistra o kwestyi usamowolnienia włościan w Rosyi, uwaga publiczna zbyt przeważnie w inną stronę zwróconą była. Odbywały się właśnie wtedy pierwsze konferencye paryzkie. Ważyły się losy wojny i pokoju dla całéj Europy. Pojedyncza reforma w jednem państwie zdawać się mogła mniej ważną, a przynajmniéj nieco oddaloną. Nam atoli kwestya zniesienia niewoli w Rosyi przedstawiała się jako proste następstwo wypadków ostatnich na Wschodzie i pokoju o którym już wątpić nie można było; i dla tego nie wahaliśmy się napisać podając myśli de Maistra „że są „życia pełne i zastósowania, bliższe może praktyki dzi„siaj niż w chwili gdy je autor kreślił“...

Hrabia de Maistre lubo jak się z całego toku jego zapatrywania się na stan społeczny Rosyi wykazuje, przewidywał konieczność zniesienia niewoli w tém państwie, lubo przeczuwał zmiany w składzie i układzie tej monarchii, uważał jednak w chwili w któréj pisał swój memoryał (18$\frac{2}{1}\frac{8}{2}$11) kwestyę usamowolnienia włościan za niedojrzałą. „Jeżeli usamowolnienie, pisze on, „ma nastąpić w Rosyi, nastąpi ono z saméj natury rze„czy. W skutek *okoliczności całkiem nieprzewidzianych* „jedna i druga strona życzyć go sobie będzie. Przepro„wadzi się wszystko bez hałasu i bez nieszczęść. Wszy„stko co wielkie tak się odbywa. Niechby panujący „sprzyjał w ówczas temu naturalnemu ruchowi, ma do

„tego prawo i obowiązek, lecz niech Bóg broni aby „ruch ten sam podniecał“...

Cóż mogło być więcej ową „okolicznością“ o któréj mówi de Maistre, jak wypadki lat ostatnich i sama wojna wschodnia? Nie była „przewidzianą“. „Z natury rzeczy“ sprowadziła konieczność zmian w Rosyi. Z jednéj strony zetknięcie się żywiołów zachodnich z żywiołem rosyjskim, z drugiej oświadczania się ciągłe rządu iż postępować będzie w kierunku cywilizacyjnym innych państw europejskich, doświadczenia nabyte przez obie strony, poniesione straty, doznane trudności, następnie bunty chłopskie odzywające się właśnie tu i owdzie w tej epoce, zwołanie pospolitego ruszenia (*opołczenje*) i w końcu śmierć Cesarza Mikołaja ułatwiająca wszelkie przejścia na drodze reformy, a porozumienia na drodze ustąpień — wszystko to były zdaje się właśnie owe „okoliczności całkiem nieprzewidziane, w skutek których życzenia stron obu spotkać się musiały“.

Wyraża to zresztą bardzo dobitnie ukaz Cesarski gdy mówi na wstępie: „że błogie zamiary szlachty trzech „gubernij względem włościan pochwala w zupełności „jako zgodne z cesarskiemi widokami i chęciami“.... Powtarzają niemniéj ministeryalne okólniki: „Z szczególnem zadowolnieniem powziął Cesarz wiadomość o „szlachetnem życzeniu reprezentantów szlachty mającem „na celu polepszenie losu włościan zasadzającem się na „usamowolnieniu tychże“... „Jego Cesarska Mość dowiedziawszy się z szczególnem zadowoleniem o uznaniu przez szlachtę trzech gubernij, że aby ulepszyć i zapewnić byt włościan, konieczną jest rzeczą uwolnić „ich od poddaństwa, raczył reskryptem itd.“..

Nastąpiła więc owa zgoda w życzeniach stron obu, przynajmniej w niektórych prowincyach, którą hr. de Maistre za cechę dojrzałości jak się zdaje w kwestyi usamowolnienia włościan uważał i naznaczył przed czter-

dziestą siedmią laty za chwilę sposobną do wykonania tego dzieła. Zawsze jednak, nawet wtedy polecał, aby rząd nie brał w tym ruchu inicyatywy. „Panujący“ — przestrzega ten mąż stanu, — „niechaj sprzyja temu „naturalnemu ruchowi, to jego prawo i obowiązek, ale „nie powinien ruchu tego sam podniecać“. Uderzającą jest rzeczą, jak skrupulatnie panujący w Rosyi trzymali się téj przestrogi danéj przez ministra sardyńskiego Aleksandrowi I. Żadne rozporządzenie w Rosyi tyczące się stosunków włościańskich, a wydane od r. 1811, ani statuta Aleksandrowskie dla prowincyj niemieckich w r. 1816 do 1819 pisane, ani następnie reskrypta Mikołajowskie w téj saméj sprawie, ani ukaz z r. 1846 w przedmiocie powinności poddańczych w Królestwie Polskiem, ani w końcu owe komisye inwentarskie ze szlachty złożone, nie noszą na sobie cechy czystéj inicyatywy rządowéj. Wszystkie mniéj więcéj odnoszą się do objawionych życzeń, wywołane zostały okolicznościami i przypadkami, zresztą odnoszą się do rady jaką de Maistre podaje „że dopóki usamowolnienie nie nastąpi, czu„wać potrzeba bezprzestannie nad dobrym bytem chło„pów“. Ale co najważniejsze, że nawet w obecnéj chwili w ruchu owym według de Maistra „naturalnym“, ukaz niebierze wcale inicyatywy. Bodźcem dla Monarchy są życzenia i zamiary szlachty które znalazły się zgodnemi z cesarską myślą. W skutek tego wydaje ukaz, wskazuje zasady, udziela środków, pozwala na wykonanie, ale nie nakłada, nie rozkazuje, nie „podnieca“. Nie rozciąga ukazu do całej Rosyi, ale tylko do gubernij które z życzeniami wystąpiły; „sprzyja“ atoli ruchowi skoro upoważnia ministra do rozesłania ukazu *wszystkim* jenerał gubernatorom. Zakreślonych obowiązków i praw monarchy w memoryale de Maistra nieprzekracza w niczem ukaz cesarski z 2 grudnia.

Nie samą atoli inicyatywę rządową uważa hr. de Maistre za szkodliwą w tém społecznem przeobrażeniu się Rosyi. Równie szkodliwemi wydają mu się nagłość i pośpiech w téj procedurze. Do tego odnoszą się niewątpliwie cytowane wyżéj wyrażenia: „Przeprowadzi się „wszystko bez hałasu i bez nieszczęść. Wszystko co „wielkie tak się odbywa“..... Poprzednio bowiem powiada: „Wszelkie działania prawe, jakiekolwiek one są, „odbywają się nieznacznie. Wszędzie gdziekolwiek spo„tyka się hałas, łoskot, gwałtowność, zniszczenie itd. „można być pewnym, że tam zbrodnia i szaleństwo „działa“..... I znowu w innem miejscu odnosząc się do namiętnego charakteru ludu rosyjskiego pisze: „Przy„puśćmy, że dano wolność trzydziestu sześciu milionom „ludzi tego mniéj więcéj hartu, a powiemy raz jeszcze, „bo nigdy zanadto powtarzać tego nie można, że w téj „chwili powstałby ogólny pożar, który całą ogarnąłby „Rosyę“...

Ślad tych przestróg bardzo wyraźnie odbija się w ukazie 2 grudnia. Nic on nie niszczy, stosując się do życzeń żąda tylko ulepszenia i zmiany w stosunkach włościańskich. „Zamiary szlachty zgodne z widokami „i chęciami memi, będą mogły urzeczywistnić się, lecz „nie inaczéj, jak tylko *stopniowo*, ażeby nie naruszyć „istniejącego obecnie porządku“... są słowa reskryptu Cesarza Aleksandra IIgo. Urzeczywistnianie „stopniowe“ odpowiada odbywaniu się działania „nieznacznie“, wyklucza „gwałtowność“ zbyteczny pośpiech czyli nagłość. Kierunek ten wybitniejszy jeszcze w okólniku ministra. „Zniesienie poddaństwa włościan, nie naraz lecz sto„pniowo ma się odbywać. Dla tego włościanie znajdo„wać się winni w początku w stanie przechodowym, to „jest mniej więcéj poddańczym, a później dopiero zo„staną ludźmi wolnymi.... Co do trwania tego stanu „przechodowego należy oznaczyć termin, który nie ma

„być dłuższym nad lat dwanaście". . Do usiłowań przeto, aby uniknąć wszelkiego gwałtownego wstrząśnienia i nagłéj zmiany, odnieść wypada i paragraf trzeci oddający policyę wiejską właścicielom, im także nadzór zgromadzeń gminnych; i cały okólnik drugi który ukaz z 2 grudnia rozciąga do innych gubernij także stopniowo, to jest o tyle i wtedy o ile i kiedy właściciele w tych guberniach życzyć sobie tego będą.

Pomimo jednak nieco optymistycznie wyrażonéj nadziei „że wszystko przeprowadzi się bez hałasu i bez „nieszczęść", de Maistre nie ukrywał bynajmniej przed monarchą któremu ofiarował memoryał, niebezpieczeństw na jakie naraża Rosyą zniesienie niewoli. Niebezpieczeństwa te widział on nie tylko w charakterze ruchliwym ludu rosyjskiego, ale głównie w saméj organizacyi tego Państwa. Widział je nawet większe aniżeli w innych krajach. Na pytanie które sobie zadaje: „czemu niewola istnieje w Rosyi?" odpowiada śmiało: „albowiem jest potrzebną, a Cesarz nie może rządzić bez „niewoli". Stawia on za zasadę: „że żadna zwierzchność nie jest dość silną aby rządzić kilku milionami „ludzi jeżeli jéj nie wspiera religia lub niewola". Przykładami z historyi dowodzi założenia: „że ród ludzki „o tyle tylko jest usposobiony do wolności cywilnéj o „ile jest przejęty i kierowany Chrystyanizmem"... Lecz „Chrystyanizm, mówi daléj, nie jest słowem ale rzeczą. „Siła jaką religia wywiera na człowieka jest zawsze „w stosunku prostym do poważania oddawanego jéj kapłanom... Duchowieństwo niema nawet głosu w Rosyi, nie śmie przemawiać i do niego też jak najmniéj „przemawiają... Potęga też zachowawcza i zapobiegawcza religii nieistnieje w Rosyi.... Cesarz więc nie „ma w usamowolnieniu chłopów téj rękojmi na jakiéj „się opierają dawniejsi prawodawcy... W Rosyi każdy „Pan, a raczéj każdy szlachcic, jest prawdziwym urzę-

„dnikiem, pewnym rodzajem rządcy cywilnego który „utrzymuje policyę w swoich dobrach i piastuje całą „władzę jakiéj potrzeba do poskromienia w znacznéj „przynajmniéj części niesfornego popędu żądz pojedyn„czych. Zniósłszy tę magistraturę, jakąż siłą Monarcha „będzie ją mógł zastąpić aby utrzymać porządek? — „Czy prawami?..... Ależ właśnie jest to najsłabsza „strona Rosyi. Sądy mają nierównie więcéj obowiąz„ków niż siły. Uskarżają się one na opinię, która na„wzajem uskarża się na nie. Z resztą nie idzie tylko „o samą Rosyę: żaden naród nie mógł być rządzony „samemi tylko prawami. Nigdy tego niebyło i niebę„dzie"..... Pyta więc de Maistre, co będzie dopełnieniem władzy cywilnéj w Rosyi skoro nią być nie może religia? „Chłopi w miarę usamowolnienia po„stawieni będą między nauczycielami więcéj niż podej„rzanemi i księżmi bez siły i bez znaczenia... Gdzie in„dziéj jedno tylko, tu zaś dwa grożą niebezpieczeństwa"...

I jakby przewidując chwilę obecną i ukaz z 2go grudnia pisze daléj: „Prawda, że usamowolnienie to, jeżeli „takowe przypuścimy, nie nastąpi nagle, zawsze jednak „szybciéj ono pójdzie aniżeli się to zdaje. Z resztą nie „potrzebuje być dokonanem; aby już było niebezpie„cznem. Niebezpieczeństwo pojawi się nieskończenie „wcześniéj zanim chłopi usamowolnieni zostaną. Wszel„kie przedsięwzięcie legalne w celu usamowolnienia „chłopów, jeżeli tylko będzie zbyt ogólne i zbyt po„śpieszne, obróci się wprost przeciw zamiarom monar„chy, który dla utrzymania porządku w państwie zmu„szony by był udzielić swoim delegowanym, a zwła„szcza gubernatorom prowincyj, więcéj siły i władzy „niżeli jéj panom odebrał; tak iż lud byłby gnębiony „w imię panującego, zamiast być rządzonym po części „przez władzę, która bezwątpienia ma swoje nadoży„cia, tak jak wszystko na świecie, zawsze jednak jest

„miarkowaną wrodzonemi uczuciami i interesem osobi-„stym. Umiarkowaniéj zawsze używać będzie konia jego „właściciel aniżeli podróżny który się nim posługuje „godzinę lub dwie dla swojéj potrzeby“...

Nigdy mówi daléj de Maistre, i uważa to za pewnik matematyczny — nigdy naród nie może być rządzony przez rząd, ma się rozumieć przez sam rząd; potrzebuje on zawsze jakiegoś pomocnika, którýby znaczną część pracy wziął na siebie. Za takiego pomocnika wskazuje on Aleksandrowi I szlachtę. Usamowolnienie części narodu jeszcze poddańczéj, zależy według niego od poprawienia części narodu wolnéj a nadewszystko szlachty. Jakkolwiek szlachta rosyjska zasługuje na zarzuty, wszelako w niéj upatruje de Maistre główny żywioł i jedyną sprężynę służyć mogącą do stanowczego przeobrażenia społeczności rosyjskiéj. „Nie ma nic lepszego, „pisze on, czemby ją zastąpić można, przynajmniéj od „razu;... nie trudno będzie aby *stanęła* na swojem „miejscu, lub żeby ją do tego zniewolić“... Nareszcie ją użyć radzi pisząc: „iż komitety w przedmiocie usa-„mowolnienia chłopów złożone, winny być przedewszy-„stkiem niepłatne“...

Podając przed dwoma laty ową znakomitą pracę wielkiego publicysty, powiedzieliśmy: „iż każdy łatwo „przekonać się może, o ile dotąd w téj kwestyi usłu-„chał rząd rosyjski rad monarszego przyjaciela.“ Dziś w obec ukazu 2go grudnia nie wahaliśmy się powtórzyć całych nawet ustępów. Nie jestże bowiem uderzającą rzeczą, jak dalece owe rady uwzględnionemi zostały? jak bardzo starano się zapobiedz wskazanym niebezpieczeństwom? jak skrupulatnie użyto środków i sposobów w memoryale podanych? Jakże łatwo byłoby obok powyższych ustępów memoryału zacytować paragrafy bądź ukazu, bądź okólnika, świadczące o usiłowaniach aby ruch cały w przyszłem jego rozwinięciu

zwierzchność na wodzy utrzymać mogła, aby niedopuścić przyśpieszonego a tak niebezpiecznego biegu; aby pomimo zmiany pozostała owa „magistratura“, która według de Maistra jest kotwicą jedyną w zagrażającéj burzy. Komuż zresztą powierza ukaz inicyatywę, a oraz przygotowanie tego żywotnego zadania usamowolnienia włościan, jeżeli nie owéj szlachcie, wskazanéj przez de Maistra, od któréj „polepszenia“ czyli należytego pojęcia swego powołania, zależy głównie porządne i organiczne przeprowadzenie téj zmiany społecznéj;— owéj szlachcie któréj część „już stanęła na swojem miejscu“, a spodziewać się wypada, że druga część, „aby stanąć na niem“, nie będzie potrzebowała być „zniewoloną“?...

W zestawieniu tem jednakowoż nie o samego nam tylko chodziło de Maistra, lubo tryumf prawdy nigdy obojętnym być nie może i nie powinien. Lecz porównanie dokumentów rządowych z memoryałem, nie tylko przynosi rzeczywistą pociechę, przez namacalne dowody, że zasady zdrowe i wzniosłe z całą otwartością wypowiedziane nie pozostały bez skutku w sferach rządowych, ale nadto służy ono za skazówkę w prawdziwem ocenieniu ukazu z 2go grudnia, i ducha przewodniczącego olbrzymiemu dziełu, które się tym ukazem stanowczo rozpoczęło. Jakoż tłómaczy ono dostatecznie i ów brak inicyatywy rządowéj, i pozorną szczupłość zakresu, rozwijanie się stopniowo zapowiedziane, i stan przechodni z długim dwunastoletnim terminem, i tworzenie gruntów rustykalnych, i policyę oddaną właścicielom, i ustanowienie osobnych sądów — zgoła wszystkie rozporządzenia, które uważane jako półśrodki, pewną nieufność w zagranicy wzbudziły. To co wiele organów obcéj prasy za wahanie lub nieszczerość poczytywało, w czem zaród nieudania się upatrywało, to właśnie po większéj części policzyć wypada na karb roztropności rządu rosyjskiego i korzyści jaką z obcego odniósł do-

świadczenia. Zastósowanie zasad historycznych i doświadczenia nazywa de Maistre „prawdziwą polityką“ i takowéj się trzymać radzi przedewszystkiem, tam zwłaszcza, gdzie idzie o reformę spółeczną.

Zkąd inąd znowu, to samo porównanie chronić powinno od upatrywania kierunku rządowego i sympatyi tam, gdzie prosta konieczność z natury rzeczy płynąca dostatecznie rozporządzenie tłómaczy. Wybór członków szlachty do sporządzenia i obrobienia projektów kwoli przyszłego usamowolnienia włościan, jest naturalnem następstwem tego, że w Rosyi niema pośredniego stanu, czyli klasy tak wykształconéj aby dostarczyć mogła biórokracyi, takiéj jaką ma naprzykład Francya lub Austrya. Rosya nieposiada biórokracyi takiéj, którejby sprawę zniesienia niewoli mogła powierzyć bez narażenia i rządu na największe niebezpieczeństwa, i ludu na największe nadużycia. Od lat pięćdziesiąt nie zmieniło się nic prawie w organizacyi spółecznéj Rosyi. To co w r. 1811 pisał de Maistre, „że niema nic lepszego czemby szlachtę zastąpić można“, uznał jako prawdę Cesarz Aleksander II w r. 1857 oddając stanowi szlacheckiemu skład komitetów mający na celu urzeczywistnienie zamiarów chęciom jego odpowiednich.

Nie idzie atoli za tem, aby urzeczywistnienie to było już zapewnionem, aby się niemiano obawiać i wstrząśnień i niezliczonych a ogromnych trudności. Niebezpieczeństw wszystkich nieprzewidywał de Maistre. Jak w każdéj kwestyi, tak i w téj pochwycił on z właściwą sobie siłą syntetyczną jéj formę. Nie analizował jéj wcale. W praktyce analiza, to właśnie trudności. Pomijając różnice stosunków włościańskich w różnych prowincyach państwa rosyjskiego, pomijając organizacye gminne, które wszystkie w nowym porządku uwzględniać wypadnie, pomijając wiele okoliczności, które wyliczać na

nieby się nie przydało, na jednę zwrócić uwagę wypada, która zamierzone dzieło niesłychanie utrudnia.

W Rosyi przy zniesieniu niewoli, nie chodzi o wolność ale głównie o własność.

Stósownie do ukazu z 2go grudnia własność całego gruntu zostaje przy szlachcie. Wiadomo jest atoli, że lud rosyjski własność ziemi sobie przyznaje. Uznaje on chętnie że osoba jego należy do pana, ale ziemia do niego. „My wasi — mówili w ostatnich rokoszach knutowani włościanie — ale ziemia nasza.“ Przywiązanie to do ziemi, uwzględnia wprawdzie ukaz nie mówiąc nigdzie o wolności, a nadając własność zagrody, i tworząc dzierżawców czyli czynszowników. Ale pod jakiemi warunkami?... Otóż najgłówniejsze pytanie co do włościan.

Dla szlachty niewola włościan była rzeczywistą własnością, była bogactwem. Ziemia pozostaje jéj własnością, wykupić ją ma włościanin, lub z takowéj odrabiać i czynszować. Ale za nadanie wolności osobistéj, jakież wynagrodzenie?... W Rosyi ofiara ta przybiera olbrzymie rozmiary. Nadto uszczuplenie praw nad poddanemi, znosi najgłówniejszy szlachty przywiléj, prawo wyłącznego posiadania dóbr ziemskich. Czy szlachta w zamian za ten przywiléj nie zażąda innego, zwłaszcza w téj chwili, gdzie jak donoszą, umysły są wzburzone i życzenia w różnych kierunkach coraz głośniéj się objawiają?...

Zamierzono tu tylko dotknąć strony, która wskazuje, jak głęboko w organizacyę całego państwa sięga owa reforma ukazem z 2go grudnia otwarta. Jeżeli zniesieniem niewoli rząd rosyjski odbiera główne hasło rewolucyi, która mu zawsze w imie „uciemiężonego ludu“ zagrażała, to jednakowoż i na téj kolei mnóstwo otacza go niebezpieczeństw. Nikt wszakże nie zaprzeczy, że jeżeli ich

szczęśliwie uniknąć lub przezwyciężyć zdoła, wzrośnie potęga państwa i nowa dla Rosyi otworzy się era.

Opatrzną zaś, i niechaj powiedzieć będzie wolno, wielce pocieszającą a chlubną oznaką jest inicyatywa wzięta w tem dziele przez szlachtę katolicką i polską trzech litewskich gubernij. Tym właśnie, których od półwieku Europa niesprawiedliwie oskarża o ciemiężenie włościan, Cesarz Rosyjski, pierwszym porucza wyrobienie projektów do usamowolnienia włościan i rzucenia fundamentów wolności dla trzydziestu milionów ludzi w schizmie i niewoli dotąd będących.

Maurycy Mann.

# KRONIKA.

---

**Kraków** w styczniu.

Rok 1858 dziwnemi przyrodzonemi odznacza się w samych początkach swoich zjawiskami. Miałżeby i w dalszym ciągu swoim wyjść z karbów, porządek tego świata trzymających, i w nieładzie swym przedstawiać mieszaninę pór, stref i żywiołów? Większa połowa stycznia zdawała się taką niesforność i na dalsze zapowiadać miesiące. Jednego dnia mróz, drugiego deszcz, trzeciego słońce niemal wiosenne; znów potem już nie dzień po dniu, ale godzina po godzinie nagłe przeskoki temperatury; grzmoty i pioruny wśród zamieci śnieżystéj, a wreszcie trzęsienie ziemi, rzadkie w naszych stronach zjawisko. Co też ztąd wnosić będą górale, owi najbaczniejsi obserwatorowie fenomenów przyrodzonych i najbieglejsi znawcy ich następstw? Wiedza ich czerpana w odwiecznych podaniach o pewnych stałych i nieprzemiennych prawidłach kierunku wiatrów, kształtów chmur, epok deszczów, śniegów i mgieł, i mnóstwa innych meteorologicznych zdarzeń, które mają dla nich samych jedynie pewną konieczną loiczność w naturze, i jak nie

są przypadkowe, tak z nich nie przypadkowe ale pewne, stałe wypływać muszą skutki. Ta wiedza ich nieujęta w system, nie podniesiona do stopnia umiejętności, pełna jest tajemnic dla uczonego świata. Żadnemu jeszcze fizykowi i naturaliście nie przyszło na myśl iść na naukę do górali i zbierać spostrzeżenia ich w odniesieniu do znanych prawd przyrodzonych. Jak się to dzieje, że bez szkieł, igieł magnesowych, bez termo-, baro-, hydro-, chrono- i wszystkich innych metrów, bez narzędzi obserwacyjnych lud ten umie się tak zagłębiać w tajniki natury, że każde niemal działanie jéj, każdy objaw życia jéj jest mu widoczny i przystępny, a skutki onego naprzód zapowiadać może. Nawet właściwy góralom sposób wnioskowania i wyprowadzania następstw możeby wykrył niejeden tajny dla mędrców akademicznych związek między dalekiemi na pozór od siebie przypadłościami. W samychże przesądach ich i błędnych pojmowaniach sił przyrodzonych leży niekiedy może myśl pełna prawdy, chociaż wyobraźnia przyodziała ją w formę zabobonu. Podobnież jak niejedna historyczna prawda niesiona wiekowem podaniem uległa przeobrażeniu, a rdzeń istotnego zdarzenia zniknął w fantastycznéj formie legiendy lub baśni, tak i w zakresie przyrodniczym, wróżba meteorologiczna lub przysłowie kryje w sobie nieraz ciekawą i ważną obserwacyę. Racyonalnie jéj nie zbada, bo brak klucza do rozwiązania zadań zagadkowo się zwykle przedstawiających, i nieznane jest stanowisko, z jakiego obserwacye były czynione.

Rzadko już teraz napotkać ludzi co mogą oznaczyć naprzód, kiedy deszcz i pogoda, mróz lub odwilż, co na pół roku zapowiadają jaka będzie zima a jakie lato, rok czy suchy czy słotny, jakie wiatry panować będą itp. Odkąd barometr zastąpił koguta, a książka gospodarcza inaczéj gada niż stary polowy, odkąd myśliwskie zabawy zamieniły się w polowania angielskie, zerwała się ta nić tradycyi, po któréj obok innych nieznanych nam dziś rzeczy z przeszłości, płynęła oraz wiedza przyrodoznawstwa.

A jednak coby za to dano, żeby można powiedzieć, jaka będzie wiosna, lato i jesień, jak wypadną oziminy a jak jarzyny, co się obrodzi, a co chybi. W mieście

wołają o taniość, a szlachta lęka się obfitych zbiorów, bo one grożą jéj upadkiem. Produkcya zbyt jest kosztowną, aby małemi cenami wynagrodzić ją można; wywozu niemasz, a miejscowa potrzeba nie zużyje wszystkiego co zebrane. Taniość ta zboża nie sprowadza za sobą taniości życia, i możnaby w odmiennem znaczeniu zastósować tu niemal starą baśń o tem bogactwie króla, który wśród skarbów umarł z głodu.

Na Kleparzu, na targu zbożowym, dziwny przedstawia się widok. Nikt nie kupuje, każdy chce sprzedawać. Tam to jest właściwa giełda krakowska; na tym błotnistym nigdy nie wysychającym chyba w mrozy i wielkie upały, placu, te same odbywają się sceny jakie się działy niedawno w Hamburgu. Kryzys finansowa ze wszystkiemi swemi następstwami bankructw i upadłości, z brakiem pieniędzy obok obfitości towaru; ceny nominalne, bo realnych nikt niedaje, a zamiast ogromnego dyskonta, lichwa nie znająca miary i granicy. Żyd, co nigdy nie zwracał baczenia na zmiany powietrza, pilnie je śledzi i wypytuje o horoskop przyszłego lata. Gdyby mu odsłonić tajemnicę przyszłości, a przedstawić w perspektywie nieurodzaj, zakupiłby za bezcen tysiące tysięcy korcy i zarobiłby na nich krocie.

Stan taki handlu zbożowego wpływa wielce na obecne stosunki miasta naszego. Nikt nie przyjeżdża ze wsi, nie kupuje, bo jeżli wziąwszy dawnemi laty za korzec pszenicy 60 i 80 złp., kilkunastu lub kilkudziesięciu korcami opędził wydatki miastowe, dziś potrzebowałby na ten cel kilkuset korcy. Rzemieślnicy i kupcy czują dotkliwie ten ubytek konsumcyi na swoje wyroby i towary.

Karnawał teraźniejszy nie ożywia wiele handlu w mieście naszem. Kilka wielkich wieczorów nie wynagrodzi kilkunastu małych. Na te wielkie wieczory sprowadza się suknia z Paryża, ubranie na głowę z Paryża, rękawiczki nawet z Paryża. Karnawał krakowski od wielu lat już należał do najcichszych w Polsce; a jeśli rogi ulic oblepiane są gęściéj niż dawniéj afiszami balowemi, to bale te należą po większéj części do rzędu tak zwanych niegdyś przedmieściowych, na które właściwa publiczność miejska nie uczęszcza. Prywatnych zabaw nie

było dotąd wcale, lecz pod koniec karnawału zapewne o kilku się dowiemy. Bal na ubogich nie powiódł się; bal akademicki na przyszły miesiąc zapowiedziany.

Ten bal akademicki ma na celu pomnożenie funduszu na budowę Domu Towarzystwa Naukowego. Młodzież naukowa tą drogą przyczynić się zamyśla do wzniesiesia „świątyni nauk". Droga zaprawdę jedna z najprzyjemniejszych.

Towarzystwo naukowe odbywa podobno regularnie miesięczne swoje posiedzenia wydziałowe; owoce prac swych członków ogłosi też zapewne kiedyś w Rocznikach. Z tego miesiąca wiemy tyle, że w d. 11 stycznia czytano jakąś lekarską rozprawę, zapewne bardzo ważną dla lekarzy. Czy wszakże rozprawy ściśle lekarskie odpowiadają celom i przeznaczeniu Towarzystwa naukowego, o tem wątpi cała publiczność. Tym czasem na każdem posiedzeniu wydziału nauk przyrodniczych dają się słyszeć rozprawy lekarskie czysto fachowe, które jako takie wielki nauce lekarskiéj przynieść mogą pożytek, lecz tak obcemi są Towarzystwu, jak obcemi byłyby rozprawy np. o przypalaniu się zacieru w kotle lub o chorobie ziemniaków, a przecież z równem prawem możnaby je podciągnąć pod przedmioty nauk fizycznych jak i pod przedmioty gospodarcze. Rozprawy takie odesłanoby wszelako do towarzystw agronomicznych, a więc i rozprawy lekarskie do towarzystwa lekarskiego słusznie odesłaćby należało Okoliczność ta powinna by zwrócić uwagę na potrzebę założenia Towarzystwa naukowego lekarskiego. Kraj tak obszerny jak nasz niema u siebie ogniska dla licznej klasy lekarzy, w któremby się skupiały wszystkie ich prace na polu teoryi i praktyki, w któremby sobie nawzajem udzielano uwag i spostrzeżeń, gdzieby zapisywano badania i szczęśliwe odkrycia, a przez zawiązanie stosunków z innemi tego rodzaju zgromadzeniami ułatwianoby szerzenie się wiedzy w tym ważnym zakresie umiejętności. Już sama liczba lekarzy w mieście naszem byłaby dostateczną do pierwszego zawiązku takiego towarzystwa. Niektórzy lekarze tutejsi ubolewają nawet nad brakiem czasopisma lekarskiego, któremuby nie powinno zbywać nie tylko na współpracownikach, ale i na prenumeratorach w saméj nawet Galicyi, nielicząc już krajów sąsiednich. Nie by-

łoby to żadną przeszkodą dla tych lekarzy którzy są członkami Towarzystwa naukowego, lecz prace ich w tem towarzystwie ograniczałyby się jedynie do przedmiotów ogólnéj umiejętności przyrody, nie przekraczając w zakres wyłącznie lekarski.

Towarzystwo naukowe krakowskie pamiętne słów kapłana który zawiązek jego w kościele OO. Marków błogosławił, nie spuści z uwagi wielkich celów swoich. Kraj oczekuje po niem prac pomnikowéj wartości, bo działanie jego niepowinno i niemoże się ograniczać na czytaniu rozpraw na dowolnie obierane temata tego lub owego członka. Świadectwem jego bytu nie będą zapewne same tylko Roczniki, lecz i dzieła pożytek trwały przynoszące. Organizacya jego nie w samych tylko leży statutach, lecz oraz i w podziale pracy. Luźne rozprawy należą do pism czasowych; do towarzystw należą dzieła wspólnego wymagające zachodu. Nie jedno już zgromadzenie uczone zastygłe w tradycyjnych formach swoich, odpowiednich epoce kiedy nauki były wyłączną własnością pewnéj małéj liczby osób, nie pojęło nowoczesnych przeznaczeń swoich, iż nie jest organem kasty uczonéj, lecz asocyacyą służącą na to jedynie, aby dokonywać tego, czemu pojedynczy człowiek nie podoła, a ztąd ściągnęło na siebie zarzuty i wystawiło się na ostre epigramata i złośliwe żarty. U nas nauka tak wysoko jest cenioną, że dowcip nie śmie targnąć się jeszcze na jéj piastunów i niedopatruje negatywnéj strony tam, zkąd ma płynąć wiedza i prawda. Towarzystwo nasze nie będzie zapewne brać lekce tego przyjaznego jeszcze dla siebie usposobienia ogółu, by z czasem nie zastosowano i do niego znanego w Niemczech czterowiersza:

Sitzend sitzen wir da, und halten die Sitzungen sitzend,
i t. d.

W teatrze tutejszym panuje od pewnego czasu dużo więcéj ruchu, co nam lepiéj o jego przyszłości wróżyć pozwala. Nie masz wprawdzie widocznych jeszcze postępów, lecz są pewne skazówki, iż scena polska zaczyna się budzić z długiego uśpienia i wychodzić z zaczarowanego koła tożsamości sztuk i osób. Grono akto-

rów zbogacone zostało téj zimy nowym przybytkiem, który lubo nie wypełnił braków często widocznych, to przynajmniéj obiecuje w przyszłości rozwinięcie. Co do repertoaru, ośmielono się do przedstawienia parę nowości nieznanych lub do wznowienia zapomnianych, a jeżeli pod pierwszym względem nie zaspokojono jeszcze potrzeby silnie oddawna uczuwanéj, to przynajmniéj chęć obeznania się z nowemi utworami téj ubogiéj u nas gałęzi literatury przynęca publiczność i świadczy, iż w trudnych nawet dzisiejszych warunkach dla teatru polskiego w Krakowie, możnaby o jego podźwignieniu pomyśleć nie na próżno.

---

## **Wiedeń** w styczniu.

Pierwszy miesiąc nowego roku upłynął wśród smutnych i przerażających wrażeń. Śmierć Feldmarszałka hr. Radeckiego i zbrodniczy zamach na życie Cesarza Napoleona wzruszyły głęboko uczucie publiczne, a ten ostatni nie tylko we Francyi, dotkniętéj zbliska tym wypadkiem, lecz w całéj Europie. Jakkolwiek pierwszy z tych wypadków był łatwym do przewidzenia i wynikał z naturalnéj kolei przeznaczenia ludzkiego, znalazł wszakże umysły i serca, tak mało tu przygotowane do rozstania się z tem najświetniejszem wielkości i sławy od początku wieku w Austryi uosobieniem, iż zdawało się na widok tego żalu szczerego i ogólnego, że cała ludność biorąc nieśmiertelność wielkiego człowieka w nadludzkiem znaczeniu, przyjęła śmierć jego jako cios, nietylko najdotkliwszy, ale nadzwyczajny, a przynajmniéj przedwczesny dla monarchii. Europa w któréj dziejach hr. Radecki niepospolitą grał w bieżącym wieku rolę, odpowiedziała temu uczuciu hołdem, jaki męztwo i prawość charakteru znajdują nawet u politycznych nieprzyjaciół lub przeciwników.

Za trumną zawierającą zwłoki w tylu bitwach wsławionego męża, szli nie tylko współbracia, dawni towarzysze lub uczniowie w sztuce wojennéj, lecz z rozmaitych stron przysłani na ten smutny i uroczysty obrzęd, urzędowni obcych wojsk reprezentanci. N. Pan pro-

wadził sam na czele licznych batalionów ten pogrzebowy pochód przez całe miasto. Arcyksiążęta szli po za trumną pieszo, w orszaku tysiąca jenerałów i oficerów różnéj broni. Lud zalegał tłumnie przyboczne place ulice. Był to dzień dla Wiednia żałoby prawdziwie publicznéj. Przy złożeniu zwłok Marszałka dnia następnego w Wetzdorf znajdował się N. Pan i cała dostojna rodzina cesarska. Pomnik wzniesiony w tem miejscu od dawna nakładem prywatnym, stał się przez darowiznę p. Pakfriedera własnością cesarską. Spoczywają już tam, pod osobną kolumną, zwłoki marszałka hr. Wimpffen.

Nie do zakresu tego listu należy biografia hr. Radeckiego: powtórzyć tu jednak godzi się coś z tego co z okazyi pogrzebu tutejsze dzienniki podnoszą na cześć tego męża, jako najpiękniejszą kartę jego długiego i świetnie spędzonego życia. Pokazał on niezmordowany, spokojny, przenikliwy i odważny charakter i dowiódł czem być może jeden człowiek dla tronu i dla monarchii. W r. 1849 już po zwycięzkim marszu hr. Radeckiego przeciw Karolowi Albertowi aż do Goito, była chwila, w któréj rząd ówczesny w Wiedniu zgadzał się na odstąpienie części znacznéj Lombardyi, dla ukończenia wojny. Hr. Radecki wezwany do zawieszenia dalszych kroków wojennych, odpowiedział listem do Cesarza Ferdynanda błagającym o odwołanie tak zgubnego dla Austryi rozkazu i nieczekając na odpowiedź, ruszył naprzód. Zwycięstwo pod Custozza uwieńczyło przenikliwość dyplomaty. Był to cios stanowczy dla wojska piemonckiego. Następstwa uzupełniły myśl i postanowienie hr. Radeckiego. Lombardya wróciła albo raczéj pozostała przy Austryi, a zawarty pokój położył nawet nowe z téj strony dla obrony i bezpieczeństwa państwa podstawy. Pod takim wodzem i w takiéj szkole odbył teraźniejszy Cesarz Franciszek Józef I pierwsze swe obozowe próby. Wdzięczność osobista połączona z uczuciami monarchy, towarzyszyła hr. Radeckiemu aż do grobu, i pozostanie w sercu młodego władcy na długie czasy.

W takich usposobieniach była tutaj opinia publiczna, gdy doszła wiadomość o zamachu na życie Cesarza Francuzów. Uczucia chrześciańskie, uczucia ludzkości,

uczucia cywilizacyi, przytłumiły w pierwszych chwilach oburzenia wszelkie inne uwagi wypływające z polityki, ze stosunków dyplomatycznych, i z obawy o pokój i bezpieczeństwo ogólne rządów Europy. Dziś wszystkie te głosy łączą się w jeden głos dziękczynienia Opatrzności, że ocaliła Francyą i inne kraje od nieobrachowanych i okropnych następstw, ocalając życie, w którem partya anarchii główną widzi dla swych zamiarów zaporę. Jest tylko jedna i dość ogólna obawa, gwałtownéj reakcyi: obawa despotyzmu i skutków jakieby z tego systematu wynikły. Opinia wysoka, spokojna, rządząca tutaj, jest za polityką umiarkowania i życzy Cesarzowi Napoleonowi trzymać się téj polityki, tak wewnątrz jak i na zewnątrz. Życzenia osobiste N. Pana i N. Pani przesłanemi zostały telegrafem obojgu Cesarstwu natychmiast po wypadku. Wiadomo także, że ks. Lichtenstein wysłanym następnie został z listem własnoręcznym N. Pana i że takowy już złożył Cesarzowi Napoleonowi III.

W innéj sferze, lecz pod względem wrażenia, smutne w tym miesiącu zajęła miejsce wiadomość o śmierci Racheli, która w Wiedniu liczyła znaczną i najwyższą część publiczności, do swego hołdownictwa. Byłem świadkiem naocznym świetnych tryumfów, wśród których Rachela przepędziła tu kilka miesięcy w swym dwukrotnym po Europie obiegu. Płacono loże po kilkadziesiąt reńskich, i szczęśliwy kto mógł je dostać. Ciekawość, radość, zapał, okrywały skronie Fedry i Andromaki laurami, sypały kwiaty pod jej stopy, odprzęgały konie od powozu, i witały ją, gdziekolwiek spotkać mogły, głośnemi czci i uwielbienia oznaki. Były to hołdy tem szlachetniejsze i czystsze, że się odnosiły do saméj tylko artystki, któréj zrujnowana już wówczas piękność kobiety, raczej szkodzić niż pomagać mogła. Wszakże pod tym ostatnim względem, Wiedeń nie mógł złych w album Racheli zostawić pamiątek. Przypominam sobie trafne jéj i z otwartością przy stole i herbacie wypowiedziane spostrzeżenia w téj mierze o charakterze Wiedeńczyków. Rachela zarzucała im przedewszystkiem brak ognia żywotnego, tego co Francuzi zowią *le feu sacré*. Ich zapał dla siebie porównywając z paryskim, uważała, że jest wymuszony. Śmiała się, że przy oszczędności tra-

dycyjnej, Wiedeńczycy mogli się zdobyć na opłatę nałożonego przez nią podatku. Zostawiła wszakże po ostatnim swym odjeździe to przekonanie, że i u niej oszczędność liczyła się niemniéj do najgłówniejszych przymiotów.

Byłem przy rozmowie, którą miała z deputacyą miejską proszącą o danie przedstawienia na ubogich. Przyrzekła — i niedotrzymała słowa. Przypuszczam, że jako artystka rozrywana na wszystkie strony, nie mogła: lecz żałuję, że jako milionowa pani, datkiem z dobrego serca pochodzącym nie wsparła biednych w tak życzliwem dla siebie mieście. Że młodsza jéj siostra, żywa, wesoła, ujmująca Rebeka takby postąpiła, jestem pewien. Któżby mniemał, że ta zaledwo rozkwitła wówczas róża zniknie pod ciosem śmierci, pierwej niż wspaniały lecz chylący się ku ziemi laur Racheli. Zgon tej ostatniej na długie lata głęboką pokrył scenę dramatyczną żałobą.

O tutejszych teatrach mógłbym milczeć, gdyby nie komedya francuska na Wideniu i balet w operze z panną Legrain i p. Chapuy. Towarzystwo dramatyczne francuzkie, w składzie swoim lubo pozbawione blasku uderzającego wyjątkowością, odpowiada, zwłaszcza na obcéj ziemi, głównym wymagalnościom. Ma osoby zdolne do wszystkich większych ról, głosy przyjemne, stroje eleganckie, i przedewszystkiem dobry humor. Trudno się znudzić, tam gdzie artyści sami biorą swe rzemiosło za zabawę, a swą sztukę za środek przepędzenia przyjemnie czasu. Taką ma postać komedya francuzka. Sztuki są wybrane dobrze, po większéj części vaudeville.

Panna Legrain, nieporównana między teraźniejszemi tancerkami' co do sprężystości, siły i zręczności w wykonaniu najtrudniejszych kroków i zwrotów, podobała się równie jak w przeszłym roku, i stanie jeszcze wyżéj w balecie, w którym tu zrobiła już sobie dawniéj tak chlubne przyjęcie. Obok niéj Ricci coraz wyraźniéj na pierwsze posuwa się miejsce i zajmie je kiedyś zaszczytnie.

---

**Poznań** w styczniu.

Zapowiedziane *Dzieje narodu polskiego aż do naszych czasów dla użytku młodzieży*, wyszły w Poznaniu nakładem i czcionkami Kamieńskiego i Spółki. — Każde dzieło które dla nauki młodego pokolenia jest przeznaczone, wszystkich nas żywo obchodzić powinno; w każdém przedewszystkiém śledzić należy ducha, jakim się odznacza, zasad jakie popiera, wyobrażeń jakie zaszczepia. Pod tym względem, dziełku wyżej wspomnionemu nic nie mamy do zarzucenia; cieszymy się owszem, że w tych czasach znalazł się opowiadacz przeszłości ojczystéj, umocowany w wierze, nie dotknięty zarazą błędnych i przesadzonych zdań politycznych i towarzyskich, umiarkowany i bezstronny w sądzie. Miłość kraju i narodu którą tchnie, nie pozbawia go wzroku i zdolności rozpatrywania się w wadach i przewinieniach narodowych, a pojęcie ich nie prowadzi go do obmowy i szkalowania własnego rodu. Przytém opowiadanie jego jasne, niewymuszone, język dość poprawny. Bez zapuszczania się w obszerny przegląd dzieła, 276 stronnic obejmującego, nadmienimy tylko, iż uderzają w niém niektóre opuszczenia, niedokładności i omyłki, które autor po przejrzeniu swéj pracy poprawić powinien. Niektóre są nawet tego rodzaju, iż wzbudzają zadziwienie, gdyż przy baczniejszéj uwadze mógł się pisarz z łatwością ich ustrzedz. Niektóre ustępy mniéj potrzebnemi szczegółami obciążone, kiedy inne ważniejsze wypadki i czyny pominięte milczeniem. W niektórych więc częściach tego dziełka, niedostateczne są wiadomości podane, równie jak ocenienie epok i ludzi. Zaspokojeni o duch katolicki, o przekonanie i zasady pisarza, bylibyśmy życzyli, aby częstszą nauką wyprowadzoną z wypadków dziejowych, zasilił był umysły młodzieńcze dla których pracę swoją przeznaczył. Nie chcemy wyliczać wszystkich opuszczeń i niedokładności, które na pierwszy rzut oka dostrzegliśmy, wymienimy tylko niektóre z pierwszéj części dzieła. I tak: rozdział pierwszy: o Słowianach i początkach Polski, przy świetle którém badania tylu uczonych w naszych czasach rozjaśniły owe początki, uważamy za niedostatecznie obrobiony. Mitologia Sło-

wiańska, święta jéj, uroczystości, nie są z zupełną dokładnością opowiedziane, i tak naprzykład Marzannę ogłasza autor za matkę i boginię urodzajów, kiedy baczniejsze poszukiwania przekonywają, że ona wyobrażała śmierć, zarazę, powietrze, mór, od którego Marzanną ją nazywano; panowaniu zaś jéj starano się zapobiedz, topiąc bałwana który ją wyobrażał, w czasie zbliżania się wiosny, a więc wśród pory, w któréj choroby, głód i mór zagrażały ludowi.

Autor zaczyna swoje opowiadanie historyczne od Ziemowita, lecz jeżeli krytyką odrzucił bajeczne podania żyjące i w kronikarzów opisach, i w pamięci ludu, i w owych mogiłach wznoszących się nad starym waszym grodem, winien był obszerniéj o nich wspomnieć, i z odmętu kłamstw i fałszu, jakiś promyk zatopionéj prawdy wydobyć. O przyjęciu wiary chrześciańskiéj przez Ziemowita, które zdaje się niewątpliwém, nie wspomina autor, nie tłómaczy legendy o aniołach goszczących w domu Piasta, ani o pracach chrześciańskich missyonarzy, które poprzedziły wprowadzenie wiary Chrystusowej za Mieczysława. Z podziwieniem także widzimy pominięte apostolstwo ś. Wojciecha, choć dość obszerna wiadomość o pielgrzymce Ottona do grobu jego znajduje się. O pieśni Bogarodzicy ani wzmianki. Pod Bolesławem Smiałym nie wspomniane ani miejsce gdzie się na pokutę udał i życia dokonał, ani skutki jakie zbrodnia jego na kraj ściągnęła. Pod Bolesławem Wstydliwym zapominięta bitwa pod Lignicą, i zapomniane zmiany zaszłe w kraju po spustoszeniu go i wyludnieniu przez Tatarów, to jest zaprowadzeniu obcych osadników i prawa teutońskiego. O bitwie pod Lublinem Leszka Czarnego wzmianki niema, które to opuszczenie, niemniéj pominięcie legendy o ukazaniu się ś. Michała, nasuwa mi uwagę, iż autor starannie unikał przytaczania podań cudownością nacechowanych, a to unikanie zadziwiać może w pisarzu duchem katolickim przejętym, tém więcéj, że mógł takowe podania wspomnieć bez uchybienia prawdzie i godności historycznéj. Pod Przemysławem nie znajdujemy wzmianki o zabójstwie Ludgardy, ani pod Łokietkiem o koronacyi młodziuchnego Kazimierza, lecz co więcéj, o usiłowaniach tegoż Kazimierza gdy już królem został, podjętych w celu dźwignienia

udu włościańskiego, o nazwie Króla Chłopów, którą mu nadali przez urągowisko możniejsi, a zachowali słabsi przez wdzięczność, ani wspomnienia. Króla duńskiego przybyłego na gody weselne wnuczki Kazimierza roku 1363, zowie Autor Zygmuntem, kiedy nim był Waldemar III, który panował w Danii od roku 1333 do 1375. Za Ludwika wiadomość o rządach Elżbiety pominięta. Czas ustanowienia podatku *Subsidium Charitativum*, mylnie podany. Pod panowaniem Władysława Jagiełły, piękna postać Zbigniewa Oleśnickiego wcale nie odbita, niema nawet wzmianki o jego kardynalstwie. Za Zygmunta I, rok 1508 zwycięztwa odniesionego pod Orszą mylnie podany, a raczéj druga bitwa pod tém miastem przez Konstantego księcia Ostrogskiego stoczona, nie wspomniana. Zlutrzenie się Prus i mistrza Krzyżaków, zapomniane, niemniéj bitwa pod Obertynem i oddanie rządów W. księstwa Litewskiego Zygmuntowi Augustowi roku 1544. Nakoniec za Zygmunta Augusta wspomnienie o wyjeździe Bony i o sumach Neapolitańskich opuszczone. Tu się wstrzymując z wyliczeniem dalszych opuszczeń i błędów, nadmienić winniśmy, że okres następny Polski upadającéj i dziejów ostatnich czasów, staranniéj i dokładniéj jest opracowany, bądź że obfitsze i przystępniejsze autor posiadał źródła do téj epoki, bądź że więcéj starania przyłożył. Lecz i okres ten nie jest wolny od pomyłek, a nawet w historyi niedalekich od nas czasów wytknąć je można, że tylko wspomnę o jednéj. Twierdzi autor, że w bitwie pod Marengo, brygada Richepansa, którą legiony polskie składały, przyłożyła się do zwycięztwa; kiedy każdemu wiadomo, że to pod Hohenlinden jenerał Richepanse przy dzielnéj pomocy jenerała Kniaziewicza zapewnił wygraną jenerałowi Moreau. — Uważmy jeszcze, że w tablicy chronologicznéj do dzieła dołączonéj, niektóre wypadki opuszczone w samém opowiadaniu, są wspomniane, lecz i w téj tablicy dostrzedz można małych błędów; i tak pod rokiem 1831 dzień 18 i 20 lutego bitwy pod Grochowem wymieniony, a najkrwawszy dzień 25 pominięty. Miejsce wstąpienia jen. Ramorino na ziemię galicyjską, Zborowem, a nie jakby należało Borowem nazwane i t. d. — Te i tym podobne niedokładności, dowodzą pośpiechu, jeżeli nie braku poprzedniego

dostatecznego przygotowania do tego rodzaju pracy; życzyć-by więc należało, aby autor swoje dziełko starannie przejrzał, z błędów oczyścił, niedostatki zapełnił, i aby drugie wydanie większą i pewniejszą korzyść przynieść mogło uczącéj się młodzieży. — Właściwą tego dziełka zasługą jest, że mieści aż do bliższych nas czasów przeciągnięty obraz różnych części naszego kraju, w którym stan porozbiorowy Polski dość trafnie jest przedstawiony. W ciągu zaś dzieła są niektóre ustępy z duszą i z czuciem skreślone, jak naprzykład o zasługach Jadwigi przed Bogiem i narodem i obrona Częstochowy przez Kordeckiego.

Między narodami współczesnemi, nasz należy zapewne do liczby tych, które najwięcéj w swojéj przeszłości zamiłowane, najchętniéj się w niéj przezierają, i najwięcéj z niéj nauk wyczerpać mogą. Mimo to, nie posiadamy dotąd dziejów naszych w zupełności rozświeconych i opisanych, choć na materyałach do takiego pomnikowego dzieła nam nie zbywa, i w ostatnich czasach znaczną ich liczbę nagromadzono. Lecz co więcej, nie mamy dotąd historyi polskiéj mniejszych rozmiarów, którąbyśmy młodzieży naszéj, naszym dorastającym synom i córkom do rąk podali. — Dla szkółek wiejskich, dla drobnych naszych dzieci wystarczający Pielgrzym z Dobromila, aż nadto dostateczne Wieczory pod lipą, które są teraz najwięcéj w użyciu, i bardzo odpowiednie téj potrzebie znalazłem opowiadanie dziejów polskich w książce nie wiele znanéj, która pod tytułem *Zbiór nauk dla młodzieży szkół katolickich* wyszła roku 1844 w Lesznie. W książeczce téj od karty 305 do 503, znajduje się Rys dziejów polskich, z właściwym doborem podanych wiadomości i gładkim stylem skreślony. Autor tego dziełka Dr. Ney, który będąc nau[illegible] ze szkół W. księstwa, usun[illegible] z posady, odznaczał się wykształceniem, zdolnością i rzadko z niemi łączącą się skromnością. Z żalem wszystkich, którzy go znali i cenili, w młodym wieku, w stanie zbliżającym się do niedostatku, umarł w Poznaniu r. 1849. Dziełko jego można śmiało polecić rodzicom dla ich dzieci w domu pobierających nauki.

Lecz zwróciwszy myśl ku takiemu dziełu historycznemu, któreby w obszernym obrazie całą naszą przeszłość

przedstawiało, i wszystkich nauk jakie się z nich wyciągnąć dadzą, dostarczyło, pytamy się troskliwie, kiedy się go doczekamy? — Naruszewicz część tylko dzieła powierzonego sobie dokonał, a ktokolwiek widział owe teki Naruszewiczowskie w bibliotece puławskiéj przechowane, ktokolwiek przypatrzył się temu ogromowi materyałów, których dziejopis użył do napisania połowy dziejów ojczystych, których jeszcze potrzebował i nagromadził do drugiéj połowy, ten wątpić może, ażeby wykład zupełny dziejów narodowych, taką krytyką jaką była Naruszewicza rozświeconych, z tak troskliwém dociekaniem prawdy przedsiewziętych, mógł być zasługą jednego życia i jednego człowieka. Towarzystwo Przyjaciół Nauk warszawskie, przekonane że drugiego Naruszewicza nie znajdzie, któryby się na tak olbrzymią pracę odważył, i któryby takie ułatwienia znalazł, jakich mu pomoc monarsza udzielała, poleciło kilkunastu członkom swoim, badaniom historycznym poświęcającym się, uzupełnienie to jest ukończenie dzieła Naruszewicza. W tym celu jak wiadomo, różni członkowie towarzystwa opisy pojedynczych panowań królów od pierwszego Jagiellona, rozebrali między siebie. I tak Albertrandy przyjął obowiązek zajęcia się panowaniem Kazimierza Jagiellończyka i Stefana Batorego, książe jenerał Czartoryski Zygmunta I. Pierwsze bezkrólewie i krótkie królowanie Henryka Walezego miał opisać i opisał Jan hr. Tarnowski. — Żałować należy, że rodzina jego dotąd téj znakomitéj jego pracy nie udzieliła publiczności, lub przynajmniéj wiadomości dokładnéj o niéj nie podała. Zygmunta III panowanie Niemcewicz opowiedział. Władysława IV Kwiatkowski. Króla Michała, krótki lecz mało rozświecony czas rządów miał opisać Tytus hr. Działyński, i znakomite do téj pracy od lat wielu zgromadził materyały. Panu Stanisławowi Potockiemu jako właścicielowi Willanowa i posiadaczowi wielu po królu Janie i pamiątek i pism, powierzono Jana Sobieskiego epokę. Stanisława Augusta, Adamowi Prażmowskiemu biskupowi płockiemu. — Kto się podjął panowań tu niewymienionych, nie pomnę, lecz już z tego niezupełnego wymienienia pisarzy, którzy dopełnić mieli Naruszewicza, widzimy, że zaledwie czterech wywiązało się z przyjętego zobowiązania. Lecz choćby wszyscy byli

mu zadosyć uczynili, dopełnione dzieło Naruszewicza byłoby tylko szacownym zbiorem materyałów do historyi ojczystéj, a nie zaś samą historyą. — Takie dzieło pomnikowe, jakiego wyglądamy, powinno równie zewnętrzną jak wewnętrzną odznaczać się wartością; a więc oprócz prawdy sumiennéj, wzniosłości i głębokości ducha, potrzebuje jeszcze wykładu jasnego i zwięzłego. Dzieło zbiorowe z pod różnych piór wychodzące, nie może w zupełności tym warunkom odpowiedzieć. Rozmaitość poglądu, przekonania, stylu, psułaby ten związek i harmonią w dziele, bez których niema doskonałéj całości. Narbut rozświecając dzieje Litwy, znakomite zasługi położył. Jędrzéj Moraczewski wydał 8 tomów Rzeczypospolitéj polskiéj, na drugie ośm tomów przygotował materyały, gdy śmierć przecięła jego prace. Dzieło to podług naszego mniemania zbudowane na podstawie błędnéj, ulegające systematowi naprzód wyrobionemu, nie jest jednak ze względu opracowania bez zasługi. A choć nie tworzy zupełnéj całości, jest najobszerniejszym, i najdaléj, bo do Jana Kazimierza doprowadzonym przeszłości naszéj wykładem. Słyszeliśmy, że jeden z zacnych naszych ziomków od dawnego czasu osiadły w Paryżu, kilkanaście lat poświęciwszy badaniom historycznym, wygotował całkowity opis dziejów ojczystych i do druku go przeznacza. Z niecierpliwością oczekujemy ukazania się téj szacownéj pracy, która wśród prób i doświadczenia długiego wygnania dojrzała, i wołamy na autora, aby dłużéj w ukryciu jéj nie zachowywał. Nie wątpimy bowiem, że dzieło pisarza który wiele widział, wiele badał, wiele doświadczył, obfitą i korzystną przynieść może rodakom naukę.

Gdy w miesiącu tym drukarnie poznańskie żadnéj prawie nowości literackiéj nie dostarczyły, zajrzeć trzeba było do księgarń, i w nich znalazło się mnóstwo nowych poezyj, dramatów, komedyj, i nawet tragedyą w pięciu aktach wierszem, w formie klasycyzmu francuzkiego napisana przez Franciszka Jakubowskiego, pod tytułem: Filip II drukowana u was w Krakowie. Pomnąc, że trzech znakomitych tragików Ottway, Alfieri i Szyller, przedstawiło w swoich dziełach dramatycznych ową milczącą, pochmurną, straszliwą, dreszczem przejmującą postać Filipa II, zdjęła mnie ciekawość, czy ręka pol-

skiego autora wykuła ją, odmalowała, czy ulepiła w owym oryginalnym utworze. Lecz ciekawość często bywa ukaraną. Nie znalazłem bowiem ani posągu, ani obrazu, lecz woskową ulepioną figurę, która na chwilę nawet uwagi zająć nie zdolna. Miłość Don Carlosa dla królowéj Izabelli i śmierć jego, tak jak trzem tragikom wyżéj wymienionym, dostarczyła autorowi treści na dramat. Lecz wyznać należy, że on bez żadnego przygotowania poprzedniego, bez zbadania charakteru Filipa i epoki w któréj żył, bez nauczenia się nawet dat najprostszych, przystąpił do swéj pracy. Twierdzi on, że się rzecz dzieje około r. 1555 — a więc Don Carlos urodzony roku 1545, miałby był wtenczas lat dziesięć; wiadomo zaś jest, że śmierć jego roku 1568 nastąpiła. Do tego stopnia niewiadomość chronologiczną posuwa, że znajdujemy w ciągu tragedyi wiersz następujący:

Wiek zgrzybiały Filipa potrąca do grobu.

Filip urodził się r. 1527, a zatém w r. nie 1555, lecz w 1568, w którym okropny dramat śmierci jego syna odbył się, liczył dopiero lat 41, a więc zgrzybiałym nie był. — Lecz jeżeli autor na utwór oryginalny zdobyć się nie mógł, niechby był przynajmniéj wczytał się w Don Carlosa Ottwaya, w Filipa II Alfierego, w Don Carlosa Szyllera, niechby był u nich natchnienia pożyczył, ich okradł, złupił, a byłby może skleił nie tyle martwy, ruchu i życia pozbawiony utwór. — Wiadomo każdemu, że dzieło Szyllera mimo wielu pojedynczych piękności, czuciem i wymową gorejących ustępów, jest bardzo niedoskonałe, jest romansem a nie dramatem historycznym. Historycznéj prawdy brak w nim zupełnie, charaktery błędnie przedstawione, lecz za to koloryt miejscowy najprawdziwszy, najdokładniejszy. Przeciwnie w Alfierim, charakter Filipa najdoskonaléj odgadniony, pojęty i wyobrażony. Jest w téj tragedyi Alfierego, którą Ludwik Kamieński tłómacz Jerozolimy przełożył na język polski, i która na teatrze warszawskim około r. 1817 wystawioną była, jest w niéj, mówię, scena jedna nadzwyczajnéj siły, krótka, treściwa, cały charakter Filipa objawiająca. — Gdy Filip wraz z swym powiernikiem przekonywa się własnym słuchem i wzrokiem o miłości

Carlosa dla królowéj, następuje scena, która te tylko słowa obejmuje. Filip pyta:

Czy słyszałeś?
Słyszałem.
Czy widziałeś?
Widziałem.
Śmierć. —

I ten jeden wyraz najstraszniejszą zbrodnię synobójstwa mieści. Starożytni prawodawcy tak zbrodnię dzieciobójstwa za przeciwną naturze, tak niepodobną do spełnienia uważali, że kary na nią żadnéj nie postanowili. I w istocie, są to zbrodnie rzadkie, rzadsze od innych, zwłaszcza przez ojców dokonane. Jednakże na dwóch końcach Europy w odległych od siebie epokach, zjawiły się dwa potwory, z których jeden tron południowy, drugi północny, krwią własnego syna oblał. Temi potworami, tymi synobójcami był Filip drugi i Piotr wielkim nazwany. Ile w starożytnéj historyi zaspakajające zostawia wrażenie i przejmuje nas uwielbieniem obraz Seleuka zrzekającego się Stratoniki ukochanéj i uroczéj małżonki dla syna swego Antiocha, zrzekającego się jéj aby mu wrócić życie i zdrowie, o tyle wszystkie nasze czucia najgłębsze obrusza widok tego ojca pozbawiającego syna narzeczonéj jego, zawierającego z nią nienawistne jéj śluby, podglądającego jéj wierność, a po nabyciu przekonania, że ten syn jest kochanym, wymawiającego to okropne słowo: Smierć. — Przyznać więc należy, że w nowoczesnéj historyi mało przedmiotów dramatyczniejszych znaleść może pisarz tragiczny, lecz zarazem trudniejszych, gdyż zadaniem jego będzie zawsze przedstawienie charakteru Filipa, tego nowoczesnego Tyberyusza, którego wszystkie rysy uchwycić tylko nowy Tacyt byłby zdolny. Jeżeli przełamania téj trudności nie wymagamy od Autora, to przynajmniéj żądalibyśmy, aby utwór jego układem, dramatycznością i prawdopodobieństwem zalecał się. Tymczasem tragedya jego na wzór francuzkich klasycznych ułożona, jest tylko ciągiem rozmów bez żadnego zawiązku dramatycznego, bez życia i ruchu. Wiersz w niéj trzynastozgłoskowy jest gładki, łatwy, mowa czysta. Znajdziesz czasem

kilka wierszy po sobie idących dobrze utoczonych. Czasem delikatne czucie się odezwie jak w tych słowach Karola do Elżbiety:

Porównaj hołdy ludu, z czci mojéj zapałem,
Świat cały cię uwielbiał, lecz ja cię kochałem.

Czasem znowu wymknie się dziwnie śmieszne wyrażenie. Filip opowiadając ślub swój z Elżbietą, mówi:

W tém zabłysły iskrzące wesela pochodnie
Struchlał na to Don Carlos, zawrzał zemstą cały,
Jęknął. — Wstrzęsły się gmachy, sklepienia zadrżały.
Zadrżał lud.

Śmieszność tego jęku wstrząsającego gmachy i sklepienia, każdego uderzy. Lecz nie idzie tu o to, czy wiersze dobre czy złe. Był czas, w którym wiersze gładkie i poprawne wyjednywały pobłażanie dla utworu pozbawionego życia i prawdy, a więc wewnętrznéj wartości. Był inny czas, w którym każda dążność do nowości, oryginalności i objawienie jakiejś fantazyi poetycznéj, wystarczały do sławienia dzieła, choćby w niém kształty zewnętrzne były najdziwaczniejsze, język najosobliwszy. Czas ten i pierwszy i drugi minął. Krytyka dzisiejsza zajęła to stanowisko, iż przed wszystkiém domaga się ducha, prawdy i życia; żąda jednak, aby ten duch, ta prawda, to życie, w pięknych, wyraźnych, zrozumiałych objawiły się kształtach. Związek pięknéj duszy z kształtném ciałem stanowi tę doskonałość w twórczości, którą poeta starać się powinien osiągnąć.

Lecz jeżeli w utworach naszych pisarzy nie znajdujemy dramatyczności, napotykamy ją czasem w życiu codzienném. W sądach przysięgłych tutejszych zdarzają się sceny do głębi duszę poruszające. Jedna z najwięcéj dramatycznych wydarzyła się w tych czasach. Sądzono w Lesznie stelmacha Niegelta i żonę jego, oskarżonych o podpalenie miasta Bojanowa, w którym pożarze kilkanaście osób życie, kilkaset rodzin mienie swoje straciło. Przekonanie było niezawodne, że albo mąż albo żona dopuściła się zbrodni, dowodów nie było kto z nich dwojga. Przez dni trzy trwały badania i słu-

chanie świadków, gdy nakoniec po zabraniu po raz ostatni głosu przez prokuratora, obrońca oskarżonych obronę swoją temi zręcznemi zakończył słowy: „Zbrodnia została popełniona, przyznaję nawet, że sprawcą jéj jest „albo małżonek Niegelt, albo żona jego. Sędziowie! „potępiając jego lub ją, pamiętajcie, abyście morderstwem sumienia nie obciążyli.“ Wyrazy te silnie poruszyły sędziów, między którymi było kilku znaczniejszych obywateli. Trzy godziny trwały narady. Sąd Niegelta winnym uznał, żonę jego uniewinnił. Po ogłoszeniu wyroku, zbliża się ona do obrońcy swego, i kilka słów do ucha jego mówi. Ten blednieje — przerażenie widać na jego twarzy, żąda głosu i oświadcza sędziom, że morderstwo spełnili. — Żona Niegelta przyznała się do zbrodni. Łatwo pojąć, jakim gromem uderzyły te słowa i w sędziów i w widzów. — Wyroku cofnąć nie można było.

Dodać jednak musimy, że się okazało późniéj, że wyznanie żony podpalacza było zmyśleniem, któróm chciała wyjednać łaskę monarszą dla skazanego męża, sama będąc już uniewinnioną.

Lecz jak w życiu, tak i wśród posiedzeń sądów przysięgłych, obok przerażających, zdarzają się czasem wielce zabawne sceny. W Poznaniu niedawno stawał bardzo niebezpieczny złoczyńca i gwałtownik. Między przysięgłymi, których jest zawsze dwunastu a jeden nadliczbowy, znajdowało się kilku izraelitów, którzy jak wiadomo, nie wszyscy dawnych Machabeuszów posiadają męztwo. Jeden z tych starozakonnych w obawie jakiego uniesienia gniewu i gwałtu ze strony oskarżonego, zażądał, aby mu straż wojskowa dodaną była. Uczyniono zadość żądaniu, przybyło dwóch dragonów z nabitą bronią, którzy zajęli miejsce obok oskarżonego, lecz naprzeciwko przysięgłych izraelitów. Ci uwolnieni od bojaźni owego złoczyńcy, zaczynają się obawiać owéj broni nabitéj, którą sami sprowadzili, a którą może z umysłu, dla wzniecenia ich postrachu, żołnierze ciągle poruszali. W téj obawie usiedzieć spokojnie na krzesłach nie mogą, kręcą się, ruszają, broń nabita za nimi się obraca. Nakoniec jeden z nich prosi o głos i oświadcza „że gdy „ta broń nabita grozi niebezpieczeństwem, żąda aby mu „zapobiedz, gdyż w razie jakiego wypadku, i dla braku

„kompletu, wyrok-by wydanym być nie mógł.“ Na te słowa prezydujący powstawszy z powagą, odpowiada: „iż zaspakajając chwalebną troskliwość sędziego, przy„pomina mu, iż prawo zdarzenie takowe przewidziało, „i że w razie nieszczęśliwego wypadku, jest zawsze sę„dzia nadliczbowy, który miejsce uszkodzonego zajmie. Na tę odpowiedź śmiech powszechny powstał, sami tylko przysięgli izraelici nie śmiali się.

Przebaczcie mi tę drobną lecz prawdziwą anegdotę, którą kończę moją dzisiejszą korespondencyę — lecz mimo utyskiwań, skarg i trosk dzisiejszych, wolno przecież na usta czytelnika uśmiech wywołać wpośród god zapustnych.

---

**Berlin** w styczniu.

Poczyna się czwarty główny rozdział kroniki berlińskiéj, skreślony wedle zmysłu smaku.

Skończywszy przed trzema miesiącami rzecz o nosie, długo wstrzymywałem się z zstąpieniem z klasycznéj wysokości jego na romantyczną dolinę, zarosłą u płci męzkiej lasem wąsów, faworytów i brody, gołą u płci żeńskiej, z wyjątkiem nielicznych uprzywilejowanych osób i wieku starości, a mającą w samym środku otwór dziwnego kształtu i dziwniejszego przeznaczenia, który się zowie gębą. Na pierwszy rzut oka znajdujemy się w wątpliwości, czyli otwór ten przeznaczony jest na pochłanianie w siebie całego stworzenia zewnętrznéj natury, jéj żywiołów i jestestw, powietrza, ognia, wody, zwierząt, roślin, nawet i kruszczów; czyli też na wydobywanie na jaw całego wewnętrznego, duchowego porządku świata, którego człowiek z woli Bożéj stał się jedynėm naczyniem, narzędziem i środkowym punktem.

Oba te przeznaczenia gęby dopełniają się przez te same organa: usta, zęby, język, podniebienie, gardło, które fizycznėm ukształceniem swėm tak doskonale odpowiadają zarówno celowi jedzenia, jak celowi mówienia, że niepodobna osądzić ztąd, do któréj funkcyi były pierwotnie przeznaczone.

Dwoiste, elastyczne, giętkie, ruchliwe, trochę naprzód sterczące, łatwo otwierające się i zamykające, rozszerzające i zwężające usta, są jakby szczypczyki do chwytania pokarmu; ale zarazem jakby klapki instrumentu do wstrzymywania, miarkowania i przepuszczania głosu. Zęby, z dwóch rzędów złożone, rozgryzają, rozdrabniają, żują pokarm; tworzą zarazem jakby pierwszą śluzę głosu, który się za mniejszém lub większém jéj otwarciem, miarkowaném przez ruch języka, czystszy przez gładkie i twarde jéj ściany w różnych brzmieniach ku otworowi ust przeciska. Język, najprzedniejszy z organów jadła i mowy, smakuje, przerabia, miele pokarmy; urabia drżeniem, ruchem, zwrotem ku górze, ku przodowi, ku dołowi, głos w rozmaite grubsze i cieńsze brzmienia. Podniebienie stanowi ostatecznie delikatnością i czułością powierzchni swojéj o smaku jadła i napoju; okrągłością zaś sklepienia swego przyczynia się do pełności i harmonii głosu. Gardło nareszcie jest podłużnym, rozciągłym, śliskim kanałem, przepuszczającym zarówno pokarm i napój, jak głos.

Niepodobna więc, mówię, z téj wspólności funkcyj organów jadła i mowy, oznaczyć pierwszeństwa jednego ich przeznaczenia przed drugiém. Nie można rozstrzygnąć od razu pytania, czy gęba pierwotnie i głównie służy do jedzenia czy do mówienia? Nie rozstrzygają go ludzie niemi, których organa lubo zdatne do jedzenia nie są jednak zdatne do mówienia, albowiem niemość ich jest wadą przyrodzenia, jest stanem nienormalnym fizycznéj ich organizacyi, a zatem wyjątkiem, który niemoże stanowić reguły. Nie rozstrzygają go dzieci, które wprzód jedzą niż mówią, albowiem wprzód krzyczą niż jedzą, a ten krzyk zaraz po urodzeniu jest już mową *in potentia*, która z kształceniem się organów przechodzi niepostrzeżenie w mowę *in actu*. Nie rozstrzygają nawet zwierzęta, chociaż pysk ich służy tylko do żarcia, bo i u nich zaraz po urodzeniu głos idzie przed żarciem. Nie rozstrzyga nareszcie pytania tego i historya powstania mowy ludzkiéj. Jedna i druga poczynają się równocześnie. Odkąd był człowiek, odtąd była i mowa. Dzieje nieznają rasy ludzi bezmownych; nieznają także epoki, w któréjby nimi kiedykolwiek byli.

Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak przyjąć, że

gęba służy pierwotnie zarówno do jedzenia jak do mówienia. Cała różnica téj podwójnéj funkcyi zachodzi w tém, że pierwsza odbywa się z zewnątrz na wewnątrz, z góry na dół, druga przeciwnie z wewnątrz na zewnątrz, z dołu ku górze; tamta odpowiada materyalności jadła, ta duchowości mowy. W rezultacie wyroby obu przechodzą w świat zewnętrzny, jeden w postaci przystępnéj dla zmysłu wzroku i powonienia, drugi w postaci przystępnéj dla zmysłu słuchu; tamten, aby wrócić do ziemi i odpłacić jéj dług pożyczony dla utrzymania najpierwszego z praw człowieka, prawa życia; ten, aby myśl, która mu dała początek, odziać w ciało, i zrobić ją środkiem udoskonalenia i uszczęśliwienia rodu ludzkiego. Obie więc funkcye równie są ważne. Bez nich nie mielibyśmy nawet pojęcia o cywilizacyi. One same w chwili poczęcia swego już są cywilizacyą. Pierwsza nawet zdaje się być o tyle ważniejszą od drugiéj, o ile fizyczne życie niezbędnym warunkiem jest objawiającego się ducha.

Z tego wychodząc przekonania, śpiewał natchniony poeta nasz pełne prawdy słowa:

Sprężyno życia, wielowładny brzuchu!
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmią moje strony.

I daléj:

Ojcze przemysłu, ojcze twórczéj pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią,
Warczy kołowrot, sprzeczne śruby piszczą,
I heble świszczą.

I wreszcie:

Powszechne twoje prawo i potęga
Od mroźnéj Zemli do Nigrytów sięga;
Dzikie i światłe narody na globie
Podległe tobie.

Pokazuje się z wyjątku tego, jak od dawna to już miano u nas bardzo gruntowne wyobrażenie o ważności zmysłowego funkcyonowania gęby w rzeczach cywilizacyi. O duchowém funkcyonowaniu jéj wcale już nie mówię, bo jako Słowianie, byliśmy od wieków narodem sejmującym. W jednym i drugim względzie nie daliśmy się wyprzedzić obcym narodom. Kształcąc się na historyi Rzymian, wiedzieliśmy od czasu założenia akademii krakowskiéj z powieści Meneniusza Agrippy, że żołądek i państwo zostają w najbliższéj z sobą styczności. Obradowanie i biesiadowanie chodziły u nas zawsze z sobą w parze, i cechowały już za czasów Reya nietylko publiczne ale i całe towarzyskie i prywatne życie. Najświetniejsza jednak sojuszu tego epoka była za Sasów. Podwójnie funkcyonująca gęba czuła się wtedy rzeczywiście i uznawała w swojém jestestwie. Równéj świadomości siebie mało historya cywilizacyi gęby przedstawia przykładów. Wielką też musiała być świadomość ta, kiedy resztki jéj będące dotąd w obyczaju, uzdalniają dzisiejsze pokolenie do obustronnego zawodu z najcywilizowańszemi narodami.

Czy dasz temu wiarę, szanowny epigonie epoki Sasów, że cywilizacya, o któréj mówię, w kraju inteligencyi, w metropoli sztuk i umiejętności, słowem w Atenach nad Sprewą, jest prawie jeszcze w powiciu? Czy dasz temu wiarę, że w mieście, w którém z kolei uczyli Fichte, Hegel, Schelling, w którém dyalektyka rozumu tak jest przyswojoną i wygórowaną, że o każdym jaki chcesz przedmiocie, dowiedzie ci najprzód że jest tém, dowiedzie ci powtóre że jest czemś zupełnie przeciwnèm, dowiedzie ci potrzecie że nie jest ani jedném ani drugiém, ale czemś trzeciém wyższém, które znowu podobnym zmianom podlega; czy dasz, mówię, temu wiarę, że w mieście tém, za każdoroczném zebraniem się sejmu, toczy się między mieszkańcami spór o to, czy gęba członków sejmujących służy do gadania, czy do jedzenia i do picia? Jakimże to homerycznym śmiechem byłby się rozśmiał szlachcic polski z epoki saskiéj, gdyby był przez kogo podobném pytaniem zagadnięty!

Ciekawyś zapewne dowiedzieć się, jaką na pytanie to pruscy posłowie dają odpowiedź? Nie dają żadnéj, ale jako rozsądni, wykształceni ludzie używają gęby

do tego do czego ją natura przeznaczyła, to jest do gadania i zarazem do jedzenia i picia, nie troszcząc się bynajmniéj o spór filistrów ani o szydercze przytyki dowcipnéj niby to i światłé prasy, która rzeczywiście zdaje się gorszyć tém, że sejmujący jedzą i piją; że zamiast przepędzać cały dzień na obradach i na pracach w wydziałach i komisyach, a dla posiłku kontentować się „hausmannskostem“ czyli domową strawą kucharek berlińskich i „weissbierem,“ uczęszczają do lepszych hotelów, restauracyj, winiarń, helgolandskich sklepów, jedzą żółwie zupy, ostrygi, raki, ryby morskie, trufle, sztrasburskie pasztety, zwierzynę, séry zagraniczne, piją dobre wina, angielski porter, ale, prawdziwe piwo bawarskie, słowem, żyją jak ludzie, którzy mają więcéj pieniędzy i cywilizowańszą gębę, a nadto większą skłonność do wydatku, niż zazdrosni, oszczędni lub skąpi filistrzy i chudzi literaci stolicy.

To bezwzględne i uporne członków sejmu używanie gęby nie tylko do gadania lecz i do jedzenia i do picia sprawia, że się wyobrażenia o ścisłości związku żołądka z państwem, oraz o konstytucyjnéj organizacyi jednego i drugiego, zaczynają coraz więcéj upowszechniać i ustalać. Każdy przekonywa się powoli, że jak funkcye rządu konstytucyjnego odbywają się przez trzy różnie uorganizowane władze, tak funkcye jedzenia odbywają się przez trzy różnie ukształcone narzędzia. Władzy prawodawczéj odpowiadają usta, zęby i język, władzy sądowniczéj odpowiada podniebienie, władzy wykonawczéj odpowiada żołądek. Komu chodzi o szczegółowe porównanie obustronnych funkcyj, może w dwóch ustach otwierających i zamykających gębę, chwytających i smakujących ponajpierw pokarm, dopatrzyć podobieństwa z prezesami ciała prawodawczego, otwierającymi i zamykającymi posiedzenia izb, przyjmującymi i oceniającymi ponajpierw projekta do praw i wszelakie przedmioty obrad; w ruchomości, elastyczności, giętkości, chwytliwości ust dostrzedz przymiotów, do porządnego i skutecznego kierowania obradami prezesom koniecznie potrzebnych; w zębach i języku rozrywających, rozdrabniających, żujących i mielących pokarm, może znaleść wyobrażenie izb znajdujących się w akcyi obradowania nad projektami do praw; w dwóch szczękach osadzonych zębami, może

widzieć w górnéj większość ministeryalną, w dolnéj mniejszość opozycyi, uderzające silnie na siebie, w różnym zaś kształcie zębów, ostrych, tępych, przyciętych, różne odcienia stronnictw izby; w kosztującym, smakującym, stanowiącym o przymiotach jadła języku może znaleść skazówkę sądowniczego przeznaczenia izby wyższéj, która niekiedy zmienia się w trybunał wyrokujący w sprawach zbrodni stanu; w podniebieniu zaokrągloném, nieruchomém, niezmienném, czułem, wyrokującém ostatecznie o smaku przerobionych pokarmów, może bez trudności odkryć podobieństwo z niezawisłością, nieodwołalnością, nieskazitelnością, skrupulatnością sędziów, oraz z przeznaczeniem ich, skierowaném ku utrzymaniu znaczenia i powagi prawa; w żołądku nareszcie żylastym, muszkularnym, szorstkim, gorącym, trawiącym i zmieniającym na płyn wszelkie, choćby najtwardsze jadło, może już bez zastanowienia poznać obraz i układ władzy wykonawczéj, policyjnéj i administracyjnéj, sprawowanéj przez ministrów i całą hierarchią urzędników, w imieniu konstytucyjnego króla. Jest bowiem i król.

Królem konstytucyjnym jest nos. On położeniem, kształtem i zmysłem swoim do téj godności powołany. On ma tron swój w środku oblicza, wysoko ponad gębą. On jest najwznioślejszą, najwidomszą figurą w całéj twarzy. On jest środkowym punktem, do którego się cały ład zewnętrznego układu oblicza odnosi. On słucha, patrzy, smakuje, czuje, myśli, najczulszym z zmysłów, zmysłem powonienia. On nim przenika naprzód wartość jadła i napoju, czuje ich pożyteczność lub szkodliwość, bierze ich inicyatywę czyli początkowanie, i przesyła je gębie do bliższego rozpoznania. Gęba je niekiedy odrzuca, i sama bierze inicyatywę, ale ostateczna sankcya uchwały i wyroku zawsze do nosa należy. Za skutki wykonania odpowiada żołądek. On zaś sam jest nietykalny i nieodpowiedzialny. Woń idealnego zapachu jest atmosferą jego życia. Niemasz na świecie doskonalszéj nad woń taką harmonii. Do takiéj harmonii zdążają dziś w Prusiech funkcye organów żołądka i państwa konstytucyjnego, i nie miną się z celem, jeżeli ścisłość związku ich, ustalająca się, jak powiedziałem wyżéj, coraz mocniéj w przekonaniu światłych mieszkańców stolicy, nie będzie żadnym wypadkiem przerwana.

Od lat dziesięciu, wyraźny w obu kierunkach widać postęp. Hegel, gdyby wstał z grobu, nie poznałby metropoli nauk, widząc, jak daleko to ona od zwołania sejmu stanów połączonych w roku 1847 „*selbstbewustsein*“ swoje, to jest, świadomość siebie, na polu politycznego wykształcenia posunęła, on, który formę rządu konstytucyjnego uważał za ostatni absolutny wyraz historycznego rozwoju. Ale nie poznałby także Aten swoich najpierwszy z ówczesnych kuchmistrzów, Jagor, gdyby zobaczył, jaki to postęp w tym krótkim przeciągu czasu zrobiła cywilizacya gęby. Rok 1848 nie był przerwą w tych szlachetnych usiłowaniach. On zaprzągł tylko do nich siłę wieku — parę, i chciał za jednym przelotem zdobyć dla każdego i dla wszystkich, to co się tylko zdobyć da stopniowym postępem, z góry do dołu. Gęba niemiecka odprawiała w tym czasie obiema swemi funkcyami nieznane jéj dotąd saturnalia. Najpotężniéj i najgłośniéj objawiło się to „*selbstbewustsein*“ gęby w Frankfurcie nad Menem. W nim jednoczyły się selbstbewustseiny trzydziestu kilku krajów i stolic Związku niemieckiego. Ale były i inne odśrodkowe zazdrosne odłamy jego wyznawców i czcicielów. Między niemi berliński pierwsze trzymał miejsce, rozszerzając organem tysiąca knajp nowego kroju, posługiwanych przez kapłanki Bachusa i Gambrina, wiarę i cześć swoję pomiędzy najniższy plebs przyszłéj stolicy cesarskiéj rzeszy niemieckiéj. Kościół frankfurtski ś. Pawła, apostoła narodów, uważał to za schizmę w tworzącéj się unii, któréj sam chciał być wyobrazicielem i gębą. Zapobiegając złemu, pospieszył się z wykończeniem konstytucyi dla przyszłego imperium cywilizowanego i cywilizującego narody świata, i powołał na tron cesarza, obranego „*auf Kuendigung*,“ to jest, z prawem wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Warunek ten skręcił łeb Frankfurtowi, który ratując swój kadłub, poszedł wyzionąć ducha swego do Stuttgardu.

Berlin stał się panem sytuacyi. Zwołał parlament nowy do Erfurtu, aby wedle recepty Radowitza, „z wszystkimi, z wielu, z kilku,“ jak się da, utworzyć, albo raczéj podtrzymać, wystawione na piasku przez Frankfurt cesarstwo. Lecz i to zgromadzenie, jakkolwiek z trzeźwych głów złożone, upadło pod wpływem nienasyconéj,

chociaż z zmęczenia bełkocącéj gęby. Jeden z epigonów naszego złotego wieku, zacny wydawca Tomicianów, który był wolą rodaków zmuszony do posłowania w Erfurcie, nie wahał się, wedle tego co widział i słyszał, tłumacząc Daniela duchem słowa Radowitza „z wszystkimi, z wielu, z kilku,“ nazwać zgromadzenia erfurtskiego „biesiadą baltazarową.“ Wszystko się skończyło. Z pawia, lwa, małpy, zrobiła się bajka Krasickiego. Po Frankfurcie i Erfurcie pozostały jaż tylko Klagenfurt, Ochsenfurt i Schweinfurt. Gęba zmęczona jedzeniem, piciem i gadaniem, potrzebowała odpoczynku. Wypadało koniecznie przerwać sojusz jéj funkcyi; rozłączyć na czas jakić zbyteczne pobratanie się żołądka z państwem; żołądkowi kazać powrócić do „hausmannskostu i weissbieru,“ aby się wzmocnił i przyszedł znów do normalnego stanu; państwu kazać siedzieć na rekolekcyach duchownych.

Tak się stało. Cywilizacya gęby powróciła na drogę powolnego, stopniowego po tępu, który jéj wskazał był rok 1847, z stósowném uwzględnieniem złakomionego strawą 1848 r. apetytu. Zastósowano zasadę: „nie dla psa kiełbasa.“ Wygnano kapłanki Bachusa i Gambrina z knajp rozsianych po całéj stolicy. Liczba ich w skutku tego znacznie się zmniejszyła, ale ta która pozostała, widocznie się za to polepszyła i uszlachetniła, bo już nie gęba kapłanki polecała jadło i napój, ale te same sobą polecać się musiały.

W tymże celu pozwolono rozmnażać się hotelom, restauracyom, winiarniom wyższego rzędu, przeznaczonym dla zamożnych, rozsądnych, konserwatywnych stanów. Polecano mianowicie zakładanie tak zwanych hamburskich albo helgolandzkich sklepów, znanych tu powszechniéj pod imieniem „*Delicatessenhandlungen*,“ przeznaczonych dla smakoszów. Wiedziano, że to jest klasa ludzi z przekonania i powołania najkonserwatywniejsza, w przestrzeganiu najsurowszych przepisów gastronomii najskrupulatniejsza, i regularnemu funkcyonowaniu organów państwa na wewnątrz i na zewnątrz, aby specyałów stanowiących harmonią wygórowanego smaku nigdy nie brakło, najprzychylniejsza.

Od téj klasy postanowiono zacząć reformę cywilizacyi gęby, aby od niéj następnie przeprowadzać ją zwolna

i stopniowo do klas niższych. Jest to metoda historycznego rozwoju polskiéj konstytucyi, którą uznano za lepszą od francuzkiéj, próbowanéj ze szkodą w r. 1848. W towarzystwa smakoszów radzono udawać się członkom sejmu, aby w nich nauczyli się, jak to rozsądnie należy używać gęby, powołanéj do odbywania funkcyi mowy. Delikatessenhandlungi stały się szkołą wychowania i wykształcenia politycznego i gastronomicznego. A że w metropoli nauk i w narodzie myślicieli powinno się wszystko odbywać gruntownie, logicznie, zasadniczo, więc powstał w sam czas, bo w r. 1851, filozof baron Eugen Vaerst, który napisał filozofią cywilizacyi gęby w dwóch tomach, pod tytułem: „*Gastrosophie*“ z godłem: „*Wir leben, um zu essen.*“

Dalszy ciąg w następującym liście.

---

**Paryż** w styczniu.

Wpadł nareszcie w przepaść i zniknął ów rok 1857— rok smutku i żałoby, rozpoczęty morderstwem Arcybiskupa Paryzkiego — pełen nagłych śmierci, bolesnych niespodzianek i rozwianych złudzeń... zniknął cicho, jak złoczyńca uciekający przed przekleństwem, bo prócz sławnych ludzi pióra i oręża, jak Béranger, Musset, Planche, Manin, Cavaignac, których w grób wtrącił, zabił jeszcze ostatnim zamachem arcy-kapłankę sztuki, *Rachelę*.... Zniknął, nie unosząc z sobą ani jednego pożałowania, ani jednéj łzy — nic, prócz czarnych kirów swych wymordowanych ofiar i czarniejszych wspomnień zawiedzionych nadziei...

A jednak, był to rok błogiego pokoju i obfitych plonów — rok obiecany wypoczynku i pomyślności powszechnéj — rok inauguracyi prac wielkich, rok kongresów, zjazdów, gdzie radzono o szczęściu ludzkości, ba, warzono nawet podobno dla niéj swobody..... I mimo to wszystko, rzecz dziwna, mimo to wszystko rok ten w którym miało być każdemu dobrze, na który każde niemal indywiduum miało sobie z góry mądrze odważoną dozę szczęścia, jak owca w porządnéj owczarni swą wiązkę siana, rok ów przemysłowo-handlowo-

agronomiczno-polityczny, przeminął, nie zadowolniwszy nie tylko marzycieli, co uporczywie mącą wszelkie biesiady — ale nawet panów tego świata, przedsiębiorców, kupców, bankierów i akcyonaryuszów. Są oni prawie tak zwarzeni jak ci marzyciele którym marzyć zakazano — a na czole każdego wyczytasz zmarszczkami napisane fatalne słowo „ruina“.

Nie inaczéj. Upłynione 365 dni wiekowego dokonały przeobrażenia w świecie finansowym. Przeszłego roku o tym czasie, fortuna matka biegała w Paryżu po ulicach; każdy czuł się jéj synem — każdy był, albo mniemał że jest bogatym. Jeżeliś przypadkiem spotkał człowieka, który skromnie wyznał ci że jeszcze nie złożył miliona w banku, dodawał natychmiast, iż to niebawem nastąpi. „Najdalej za pół roku będę milionerem — mówił z tą miłą pewnością, która nawet cień wątpliwości z umysłu słuchacza ruguje — mam w ręku cztery przepyszne *operacye*: zakładam *Kredyt Śródziemny, Bank Europejski*, a prócz tego spodziewam się otrzymać trzy koncessye na budowę dróg żelaznych w Ameryce. Wiesz że nie jestem ani chciwy ani ambitny; skoro więc tylko zarobię na tych przedsiębiorstwach jakie liche trzy miliony, rzucam wszystko, i cichutko z procentu żyć będę“.

Tak mówiono przed rokiem. Teraz rzecz ma się zupełnie odwrotnie. Nikt nie jest bogaty ani w dukaty ani w nadzieje. Poezya przepadła nawet w finansowych głowach, które były jéj ostatniem schronieniem. Przedsiębiorcy pożegnali kredyta, banki, koncessye, słowem wszystkie sny złote i zapadli w błotnistą rzeczywistość; spotykasz samych tylko bankrutów.

— Czy wiesz w jak smutnych jestem okolicznościach? — woła zaledwie cię zoczywszy jakiś znajomy milioner.

— Nie wiem. A cóż się stało?

— Jakto? niewiesz? Jestem kompletnie zrujnowany!

— Pierwsze słyszę!

— Nie inaczej. Fałszywe spekulacye zabiły mnie. Grałem ciągłe na *hausse*, a tu *baisse* trwała przez piętnaście miesięcy... straciłem wszystko!

Ledwieś zakończył tę smutną rozmowę, spotykasz drugiego, któregoś także miał za bogatego. Ten znów woła:

— Zginąłem! przepadłem! pójdę z torbami!!

— Jezus Marya! Tak nagle? Czy znów nieszczęśliwe spekulacye?

— A cóżby?

Trzeci, czwarty i dziesiąty powtórzy ci toż samo. Bankructwa, klęski, ruiny, kataklizmy, są teraz tak w modzie u mężczyzn, jak krynoliny, falbany, róż i bielidło u kobiet. Ktokolwiek ma pretensyę do dobrego tonu, musi mieć mniej więcéj skrzywioną fizognomię, zasępione czoło, z hamletowska pochyloną na piersi głowę. Nowa francuzka arystokracya pieniężna bawi się teraz w *ruinę*, jak arystokracya rodowa za wielkiéj rewolucyi bawiła się w *ofiarę*. Jestto sobie komedya niemniéj zabawna jak tamta; teraźniejsze ubóstwo równie może rozśmieszyć jak zeszłoroczne bogactwo — w gruncie nic się prawie nie zmieniło.

To tylko dobrego ztąd wyniknie, że zbytek mniéj głośno szumieć będzie. Dom cały musi się dociągnąć do spuszczonego na kwintę gospodarskiego nosa; wymaga tego koniecznie harmonia małżeńska i francuzka logika. Żona bankruta nie będzie mogła nosić na codzień sukni za 1500 franków, ani skupować złocistych mebli — elegancka nędza musi koniecznie zastąpić bezczelny zbytek, kiedy ubóstwo w słowach zastąpiło bogactwo w *akcyi*.

Dobre i to. Jeżeli bogaci żartem nie będą kupować ortolanów, to może ubodzy na prawdę taniéj kupią chleba.

Tyle co do moralnéj cery Paryża. Teraz obejrzyjmy jak wygląda na zewnątrz. — Choć już dwa tygodnie nowego roku upłynęło, fizyonomia stolicy jeszcze do swego zwykłego wyrazu nie powróciła. Od placu Bastylii do kościoła Magdaleny stoją dwa rzędy improwizowanych sklepów, które w wigilią Bożego Narodzenia przez jedną noc wytrysły na bulwarowym asfalcie jak pieczarki na inspekcie. W tych kramach, tejże saméj co nasze pod Sukiennicami architektury, sprzedaje się w podłym gatunku wszystko, co przemysł w wybornym dla swych bogatych klijentów przysposobił; najwięcéj jednak napotkasz zabawek dziecinnych, których tego rozpacznego nowego roku zbankrutowany Paryż tylko

za 12 milionów zakupił... jedynie żeby utulić płaczące na ciężkie czasy niemowlęta.

Porzucając go aż do przyszłego miesiąca w tem rozpaczliwem usposobieniu, przechodzę do Racheli, o któréj nieco szczegółów w chwili kiedy o niéj cały świat mówi, powiedzieć nie zawadzi.

Rachela urodziła się w oberży na gościńcu szwajcarskim dnia 24 marca 1820 roku, z matki ubogiej żydówki kramarki, nazwiskiem Estera Haya, żony kramarza Felixa. — Przez lat dziesięć po urodzeniu Racheli, biedna ta izraelicka rodzina tułała się po świecie walcząc z nędzą, która mimo zabiegliwości, coraz ciężéj dawała się we znaki, bo przez ten czas, prócz dwóch najstarszych dziewcząt, Sary i Racheli, przybył syn Rafael i trzy córki: Rebeka, Lia i Dinah. — Znużona tak długiem tułactwem rodzina Felix, osiadła nareszcie w Lyonie; matka założyła w tem mieście sklepik z modami, ojciec dawał lekcye niemieckiego języka, a najstarsza córka Sara z małą Rachelą chodziły po kawiarniach, gdzie pierwsza śpiewała, a druga wtórowała jéj na gitarze i zbiérała od konsumentów susy.

Około 1830 roku rodzice Racheli, nieco już w lepszem mieniu, osiedli w Paryżu. Tu, jak w Lyonie, matka trudniła się handlem, a Sara i Rachel śpiewały po kawiarniach. Przypadek zdarzył, że pewnego wieczora w jednéj z tych kawiarń spotkały dyrektora szkoły śpiewu, pana Charon, znanego z zacności i talentu artystę, który uderzony wyrazistą fizyonomią Racheli, skłonił jéj rodziców żeby przysyłali obie dziewczyny do jego szkoły. Po bliższem atoli rozpatrzeniu się w zdolnościach Racheli, pan Charon spostrzegł, że powołaniem jéj nie jest muzyka, ale zawód dramatyczny, — że głos dźwięczny i wymowny gest dziewczęcia nie do śpiewu, ale do deklamacyi stworzony. Ponieważ zaś przyjaciel jego Saint-Aulaire, *Societaire* Teatru Francuzkiego założył szkołę deklamacyi, Charon powierzył mu Rachelę.

W téj szkole Rachela mając lat dwanaście nauczyła się czytać.

Raz posiadłszy klucz wiedzy, młoda artystka genialne czyniła postępy; zdumiewając nauczycieli swą pamięcią i intelligencyą, wkrótce prześcignęła wszystkie uczennice Saint-Aulaira. We trzy lata po rozpoczęciu

nauk w jego zakładzie, Rachela wystąpiła na amatorskim teatrze w roli Hermiony. — Zachwycony wyborną grą swéj ulubionéj uczennicy Saint-Aulaire, po skończeniu pierwszego aktu zerwał się, i pojechał czemprędzéj po pana de Lasalle, ówczesnego dyrektora Teatru Francuzkiego. Dyrektor niemniej zachwycony grą młodziuchnéj Racheli, odgadł jéj przyszłość, i zaraz nazajutrz oddał ją do rządowego Konserwatoryum.

W tym zakładzie bardzo krótko pozostawała Rachel! Jéj rodzice ciągłym nękani niedostatkiem, chcąc jak najrychléj ciągnąć zyski z talentu córki, zawarli z dyrektorem teatru *Gymnase* kontrakt na trzy lata, którym tenże obowiązywał się płacić początkującéj artystce, pierwszego roku trzy, drugiego cztery, a trzeciego 5,000 franków.

We trzy tygodnie po wstąpieniu do tego teatru, Duport napisał dla Racheli dramat pod tytułem: *La Vendéenne*. Ale ten pierwszy hołd oddany przez zakochanego w jéj talencie dramaturga, nie przyniósł szczęścia artystce. Czy z winy autora, czy z powodu niewłaściwości roli, Rachel prawie wygwizdaną została w téj sztuce. Płocha publiczność nie zrozumiała jéj wcale, a przyjaciele radzili żeby porzuciła teatr. Dwóch tylko ludzi poznało się na niéj, i nie przestało, mimo chwilowego niepowodzenia, wielbić jéj geniuszu: Fryderyk Soulié i aktor Samson, który przez miłość sztuki, usilnie nad scenicznem ukształceniem Racheli pracował.

Lekcye Samsona w krótkim czasie tak rozwinęły talent Racheli, że dyrektor *Teatru Francuzkiego* Védel, ujrzawszy ją na scenie, rozwiązał jéj kontrakt z *Gimnazyum*, i zamówił ją do swego teatru za 4000 fr. rocznie.

Dwunastego czerwca 1838 roku afisz *Teatru Francuzkiego* zapowiedział „*Horacyuszów*“; Rachela wystąpiła w roli Kamilli — i nazajutrz już była sławną. Tą razą światli sędziowie, z których publiczność tego przedziwnego teatru złożona, ocenili wielkie zdolności Racheli, wszyscy zachwyceni i zdumieni podziwiali mianowicie stronę skulpturalną jéj talentu — tę właśnie w któréj nigdy żaden artysta jéj niedorównał. Geniuszem Racheli był rzeczywiście geniusz rzeźbiarski. Bezwiednie — bo nie umiała rysować, ani studiowała po-

sągi — znajdowała ona postawy przechodzące pięknością statue Fidiasza, Praxitelesa, i wszystkie starożytne rzeźby; styl był jéj wrodzony — a piękność jéj, wyzwolona z konwencyonalnéj maniery, rozwijała swobodnie czyste swe linie nadając ciału ruchy, które zawsze zdawały się potrzebne, tak były zawsze zgodne ze stanem duszy i myślą którą wypowiadały usta.

Wystąpienie Racheli w *Horacyuszach* stanowi epokę wskrzeszenia tragedyi we Francyi. Sztuki Corneilla i Racina na które przedtem nikt niechodził, ściągały tłumy ludzi, ilekroć czarodziejskie imie Racheli błyszczało na afiszu. Ten głos nie podobny do żadnego innego głosu, trafność intonacyi, siła wymowy, to oko co pałało jak czarny dyament na białym marmurze, ta kibić pełna niewysłowionego wdzięku, te dwa potoki włosów kruczych spadające po obu stronach genialnego czoła co jaśniało białe, nie przecięte żadną zmarszczką „jak sklepienie świątyni duszy“ — ta cudowna mięszanina niewieściego powabu ze straszliwą siłą męzkiego hartu, słowem, wszystkie te dary niebios i nabytę pracą zalety, dały Racheli ową potężną moc władania tłumem, moc, która w ciągu dwudziestoletniego zawodu scenicznego ani razu jéj nie zawiodła.

Ale nie tylko na artystach i tłumie wywierała ona swe czary; cały wielki świat paryzki i londyński, ów świat pełen przesądów, dumy, ślepo poddany konwenansom, zapomniał dla niéj o swych przepisach, o swém dostojeństwie, i żydówkę, aktorkę, na ręku wniósł do swych złocistych salonów. Wszystkie księżne i hrabiny wyrywały sobie tę białą kameę, to wcielenie tragicznego geniusza.

Początkowo Rachel występowała w samych tylko sztukach klasyków francuzkich; kolejno grała role Hermiony w *Andromace*, Emilii w *Cynnie*, *Fedrę*, którą pojmowała w czysto greckim smaku, raczej jak Eurypides nie jak Racine, jako ofiarę zemsty Bogów, nie jak występnie zakochaną kobietę — *Maryą Stuart*, w któréj była niezrównaną — Paulinę w *Polyeukcie*, *Fredegundę*, *Judytę* itd. itd.

Wszystkie jéj wystąpienia w tych sztukach stanowią nieprzerwane pasmo tryumfów bezprzykładnych w zawodzie najsławniejszych artystów. — Mimo jednak tak

wielkich względów Melpomeny, Rachel zawsze nad tragedyą przekładała komedyę, do któréj nie miała wcale zdolności; do wszystkich sztuk Moliéra cisnęła się gwałtem — najwięcéj zaś lubiła rolę Celimeny, gdzie najdziwniej wyglądała z wachlarzem kokietki, który w jéj ręku w klasyczny sztylet się przemieniał. Ale i wtedy, publiczność może dla oglądania téj niestósowności, przybywała tłumnie ażeby widzieć Rachelę w komedyi. Jedno przedstawienie *Tartufa* w *Odeonie* przyniosło 20,000 franków dochodu.

Dopiero około 1844 roku, mając już 27,000 fr. stałéj pensyi w *Theâtre Français*, Rachel zaczęła występować w utworach nowoczesnych dramaturgów; ale nawet w najlepszych traciła wiele — i kto ją nie widział w purpurowym płaszczu, w tunice, chlamydzie lub *peplum*, pod nowożytną suknią geniuszu jéj dopatrzeć nie mógł. Grała na przemiany *Wirginię* Latoura — *Joannę d' Arc* z Szylera przerobioną przez Soumeta — *Lukrecyą* Ponsarda — *Adrienne Lecouvreur* — Tisbę w *Angelo* Wiktora Hugo — *Diannę* Augiera — *Pannę de Belle-Isle* — *Waleryę* — *Ludwikę de Lignerolles* — *Lady Tartuffe* itd. itd. Ale, jak powiadam, we wszystkich tych rolach pozbawiona swego właściwego stroju, draperyi, traciła z nią razem swój przyrodzony czar *wężowy*.

W 1848 roku Rachel śpiewała na scenie *Marseillaise*, która ze wszystkich jéj klasycznych i romantycznych kreacyj była niezawodnie najwyższą; ci co ją słyszeli deklamującą śpiewnie tę pieśń nad pieśniami, co ją widzieli cisnącą do piersi trójkolorowy sztandar swobody, i wołającą potężnie jak anioł budziciel w dzień ostatniego sądu „*aux armes citoyens!*“... nigdy doznanego wrażenia nie zapomną.

Jednego z owych pamiętnych wieczorów taki zdarzył się wypadek: W sali przepełnonéj słuchaczami po większéj części w bluzach, powstał jeden z tych nieopisanych entuzjazmów bez końca i miary, do których jeszcze tylko Włochy i lud paryzki jest zdolny. Wywołano śpiewaczkę już kilkanaście razy, a wrzawa trwała ciągle; krzyki: *vive Rachel! à bas les tyrans!* tupania i oklaski nie ustawały. Nakoniec jeden wyrobnik z tru-

dnością doprosiwszy się głosu, stanął na ławce i zawołał:

— *Ohé, les frères! Rachel est une fameuse citoyenne, hein?*

— *Oui! oui!* wrzasnęła sala.

— *Elle vous a, comme à moi, remués jusque dans les boyaux?* (takaż odpowiedź).

— *Eh bien, il faut faire comme les aristos* — trzeba jej dać bukiet. Oto moja czapka i moje dwa sous— składajcie się! Co kto ma! tylko szybko i szczerze, a bukiet będzie i wielki i pachnący.

Susy sypnęły się gradem; w sekundę znalazło się w czapce przeszło czterdzieści franków. Pochwyciwszy pieniądze, hurma robotników pobiegła do bogatéj kwiaciarki pani Prevost w *Palais Royal*, i wysypawszy susy na kantor, zgarnęła w kosze wszystkie kwiaty jakie się znajdowały i rzuciła je na scenę, na którą znowu przywołana Rachel, literalnie w kwiatach do pasa brodziła.

Wkrótce po téj scenie rząd narodowy widząc jak potężne wrażenie wywiera na lud *Marseillaise* wypowiedziana ustami wielkiéj tragiczki, wysłał ją na prowincyą ażeby rewolucyonizowała kraj.

W ostatnich latach sława Racheli tak była kolosalna, iż jeżdżąc po Francyi i za granicą zarabiała rocznie 3 do 400,000 fr. Podatek który świat cały złożył jej wzamian za doznane wrażenia, szacują na 12 milionów. Z tych dwa zostawiła dwom synom swoim.

Dochody któreprzyniosła *Teatrowi Francuzkiemu* odpowiadały pobieranéj przez nią płacy. Wedle rejestrów teatralnych, ośmnastoletni dochód z samych tragedyj w których występowała, wynosi 5,394,231 fr.

Nie do nas należy wglądać w życie prywatne Racheli; o jej charakterze, o jéj życiu domowem sprawiedliwie jedynie rodzina i przyjaciele wyrokować mogą. Nam cośmy ją tylko na scenie widzieli, tylko z artystycznego stanowiska patrzeć na nią wolno. Oddając więc jeszcze raz najgłębszą cześć jej artystycznemu geniuszowi, powtórzę w kilku słowach com powiedział na początku; to jest, że najwyższą stroną talentu sławnéj tragiczki była skulpturalność, jaką każdemu ruchowi swemu nadać umiała; talent jej był za surowy i za

wzniosły, żeby się mógł nagiąć do drobiazgów rzeczywistego życia — dla tego Rachel znikała prawie w dramacie. Zakochana przedewszystkiem w piękności linii, była ona stworzona do przedstawiania bohaterek Sofoklesa, główny bowiem urok jéj gry w tém leżał, że umiała postawą podnosić uczucia wyrażone prosto, a gestem nadawać niespodzianą wagę słowom które bez tego przeszłyby niepostrzeżone.

Ostatni raz wystąpiła Rachel w Paryżu w roli *Fedry* 27 marca 1855 roku. Umarła na wsi pod Marsylią 3 stycznia 1858 licząc 37 lat życia, a 20 lat służby teatralnéj. Umarła w kwiecie wieku i pełni swéj kolosalnéj sławy; z nią razem, niestety, umiera powtórnie najwyższa sztuka, tragedya, którą jej geniusz z grobu wywołał.

Słychać że Rachel w przepysznym stroju *Fedry*, z kararyjskiego marmuru wykuta wymowném dłutem Preauldta, ma stanąć w *Théàtre Français* obok twórców owych dzieł surowych, na wypowiedzenie których ludziom już głosu zabrakło, a z których ona, jak stal z granitu, umiała wydobywać cudowne iskry życia.

Prócz posągu, *Komedya Francuzka* chce mieć portret olejny swéj tragiczki — ale niewiadomo jeszcze który z malarzy podejmie się tego trudnego zadania. W artystyczném *foyer*, jest obok Talmy od dawna przeznaczone miejsce dla Racheli, które ona sama koniecznie za życia zapełnić chciała — ale z mnóstwa portretów jakie robić kazała, żaden nie wydał jéj się stósowny do zajęcia tak zaszczytnego miejsca. Nie zadowolona ani z Lehmanna, ani z Müllera, ani z pani O' Connell, ani z Winterhaltera, Rachel wezwała Ingresa. Ten, popatrzywszy na nią parę minut w milczeniu, rzekł:

— Na wykonanie portretu pani potrzeba mi będzie pięćdziesięciu posiedzeń, najmniéj po trzy godziny każde.

— W jakimże przeciągu czasu, te pięćdziesiąt posiedzeń? — spytała Rachel.

— W ciągu pięciu lub sześciu lat.

— Na wszystkie bogi!— krzyknęła artystka,— to ja umrę zanim mnie pan unieśmiertelnisz.

— Pani — odparł malarz ze zwykłą sobie szorstkością — pani nie potrzebujesz na to mego pędzla — dałaś sobie radę i bezemnie.

Na tem skończyła się rozmowa. Rachel nie nalegała, wiedziała bowiem że mistrz nie żartuje nigdy — a portret baronowéj Rothschild malował nie sześć, ale dziesięć lat.

Teraz Ingres jakby wynagradzając *Komedyę Francuzką* za niedostarczenie jéj portretu Racheli, znakomitym obrazem zbogacił już i tak bogate w piękne malowidła ściany tego teatru. Przedmiotem obrazu jest Ludwik XIV mszczący się za zniewagi wyrządzone przez swoich dworzan Molierowi. Anegdota historyczna która podała Ingresowi treść do tego dzieła, jest następująca: Pewnego wieczora król na swoją nocną kolacyę, tak zwaną *en cas de nuit*, zaprosił Moliera — posadził go obok siebie, podał mu najprzód najlepszy kawałek mięsiwa, poczem, sam nakładając sobie kazał zwołać do sypialni wszystkich dygnitarzy dworskich. „Panowie, rzekł do osłupiałych dworzan, widzicie mnie posługującego Molierowi, z którym moi słudzy zadawać się niechcą“.

W tym obrazie pan Ingres przestał być grekiem. Pędzel i koloryt tu nowożytny, chociaż rysunek zawsze wzorowy. — Twarz Moliera więcéj niż łaską monarszą uradowana pomieszaniem dworaków, pełna jest téj gryzącéj a zawsze poczciwéj złośliwości, która charakteryzuje nieśmiertelnego twórcę *Tartufa*. Postawa Ludwika XIV jest co się zowie królewska; oblicze monarchy z dziwną otwartością zadaje kłamstwo czynowi, w który dla zabawki odział swą jowiszową dumę. — Fizyonomie dworaków wyborne: stojący na przodzie niby z głęboką pokorą przyjmują nauczkę pana; w drugim rzędzie widać dwuznaczne spojrzenia i szyderskie uśmiechy; w trzecim, już szeptają i wzruszają ramionami.

Prócz tego obrazu, wniesiono temi dniami do *Teatru Francuzkiego* ofiarowane mu przez rzeźbiarza Lévêque marmurowe popiersie pani Girardin.

Mówiąc o marmurach, wspomnieć tu jeszcze muszę, iż rząd polecił rzeźbiarzowi Barre, wykonanie popiersia Musseta. Ma ono stanąć w galeryi Instytutu Francuzkiego. Czy jednak młody artysta zadaniu swemu odpowie, czy praca jego będzie mogła zająć miejsce obok utworów najznakomitszych rzeźbiarzy francuzkich — zobaczemy.

Na polu literackiem nic dotąd znakomitego. Oczekując na zapowiedziane dwa dzieła Villemaina: „*Życie Chateaubrianda*“ i „*Trybuna tegoczesna*“ publiczność tutejsza bawi się książeczką Janina „*Les Symphonies d' Hiver*“ które są dalszym ciągiem przeszłorocznych „*Petits bonheurs*“, czyli apoteozą *de la France galante*; styl znasz — a o rzeczy mówić niewarto.

W teatrach największe ma wzięcie dramat Didiera przedstawiony w *Odeonie* pod napisem „*Le Rocher de Sisiphe*“. — *Les fausses bonnes femmes*“ pierwszy raz przedstawione wczoraj, prawie wygwizdane zostały. — Zapowiadają komedyę pana Houssaye „*Les Comediennes*“ „*Pamflecistę*“ z muzyką Thomas'a — Augiera komedyą „*La Jeunesse*“ i Scribego „*Feu Lodovic*“.

Tymczasem karnawał huczy. Sobotnie bale Opery już nie wystarczały Paryżowi; założono więc bale wtorkowe w salach *Concert de Paris*, i niedzielne, w *Porte-Saint-Martin*. Te ostatnie są teraz w największéj modzie. Musard ze swymi stu dwudziestu muzykantami gra, aż pękają ściany, balet zaś rozpoczyna tany, które z wściekłą energią przeciągają się aż do rana.

---

## **Neapol** w styczniu.

Nic wam nie donoszę o trzęsieniu ziemi, które tutaj czuć się dało, a w państwie Neapolitańskiém tak okropne spowodowało klęski; dzienniki już rozwodzisto się rozpisywały o niém i długo jeszcze rozpisywać będą w miarę jak z pod napiętrzonych gruzów nowe coraz wydobywane są ofiary. Nie chcę nadto zaciemniać niniejszego listu bolesném statystyczném sprawozdaniem; co zaś do samego obrazu spustoszenia, ten wymagałby pióra zdolniejszego niż moje, i malowniczych mistrzowskich pociągów, jakiemi Plinjusz młody i Bulwer skreślili ostatni dzień Pompei.

Na obliczu tej przejasnej natury nie ma tu już ani śladu okropnego wstrząśnienia; wszystko żyje, wszystko przemawia o życiu i uśmiecha się tym nieporównanym urokiem, jakim świat Boży tutaj się tylko obleka..... Sny i marzenia niczem są przy takiej jawi, którą raj-

skie chyba rzeczywistości przewyższać mogą. Zanim obaczyłem Neapol, trzymałem za przesadne farby używane przez jego malarzy; teraz widzę, że pióro chcące go wyobrazić myśli, jak pędzel oku wyobraża, pomówionoby o nieprzestanne hiperbolizowanie. Przyroda jest wszędzie wielką dla człowieka księgą, ale tutaj z téj księgi czyta się tylko poemat; tutaj potęguje ona swe wdzięki, rozjaśnia swe barwy, idealizuje się cała. Co kędy indziéj liściem, tutaj jest kwieciem, co szumem, tutaj muzyką, co ciałem i materyą, tutaj przezroczystością. Cały ten uprzezroczony krajobraz z lazuru i z przejrzystych cieni, potrzęsiony słonecznèm złotem albo miesięcznèm srebrem, waży się jak widzenie wkoło ciebie — niby napowietrznie i wyżej od poziomu, który zwykle depcesz. Zatoka modra do modrego przywiała się nieba brzegami zamglonemi światłem, mieniącemi się wszelkim odcieniem topazu, szmaragdu i złota. Wyspy Procida, Nisida, Capri, piękne o ile dźwięcznèm jest ich miano, rozkwitają jak równianki na błękitnéj piersi morza, umajonéj tysiącem śnieżnych żagli; daléj na widnokręgu odkrywasz inne wyspy jak cienie różowe, inne widoki z gazy i z kolorowéj pary; niewiedzieć czy prawdziwe lądy, czy tylko osad światłości i stężałość wiecznéj pogody. Zewsząd wzrok się osuwa w kryształową jakąś bezdenność, w te otworzyste przezrocza, *aperta serena*, o których śpiewał Wirgiliusz, zewsząd się pieści z puchem téj mgły świetelnéj, właściwéj tylko przyrodzie Neapolitańskiéj i pędzlowi Koredżia. A podczas gdy oko namięka spokojną nieskalaną, żadnym obłokiem jasnością, jaka z Pól Elizejskich zda się iż na krajobraz wybrzeżyła; ucho jest oczarowane pieśnią przewoźnika, nuconą ze wtórem wioseł w takt uderzanych o płynne szafiry, i wpółgłośną zwrotką fali, która pomarańczowém przyprószona kwieciem, wiecznie się przelewa od Sorrento do Pauzylipu, od kolebki Tassa do grobu Wirgiliusza: *Mantua me genuit, tenet nunc Parthenope*... Istne zbiorowisko natchnieńców! Jedna w Neapolu fala łączy imiona Mantuańskiego łabędzia i kochanka Eleonory dodane jak rym do poezyi Partenopejskiéj natury i wypisane na obu zatoki niby na harfy końcach; wiatr z morza wieje od ojczyzny Teokrita i muz sycylijskich, a bliżéj ku tobie, między Mes-

seńskim przylądkiem a czarowną Bają, rozwija się cały Wirgiliuszowy krajobraz, nad którém krąży wspomnienie Kunejskiéj sybilli z rozwiewnemi wyroczniami, i przesuwa się w oddali dla polskiéj pamięci postać Czarnoleskiego wieszcza:

Gdziem potém nie był? czegom nie skosztował?
Jażem przez morze głębokie żeglował:
Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,
Jażem nawiedził Sybilline lochy.

Ale z łona téj płynącéj mlekiem i miodem krainy, któréj piękności pomięszały się niejako ze snami poetów, wyrasta jak trajedya wśród sielanki, jak żałobna pochodnia utkwiona wśród godowych rożanych festonów, czarna, straszliwa postać Wezuwjusza, gotowego co chwila zasypać popiołem te przezrocza i zalać wrzącą lawą zielony winnic kobierzec i wille pozłacane pomarańczą i rumieniące się rozkwitłemi wawrzyny...

„Z pustego forum Pompei stojący między rzędami „pościnanych kolumn, pielgrzym zdaleka przypatruje się „dwurogiemu szczytowi i dymiącéj na nim kicie, która „grozi jeszcze rozmiecionym zwaliskom. Wśród strachów „tajemniczéj nocy po wypróżnionych teatrach, po bez„kształtnych świątyniach i podwróconych domach, kędy „nietoperz zwykł swój płód ukrywać, na wzór złowie„szczej pochodni, dymnisto się błąkającéj po spustoszo„nych pałacach biega łuna żałobnéj lawy, która daleko „wskróś cienia się czerwieni, i miejsca precz, precz „farbuje.“

Nasuwający się nam opis wielkiego włoskiego poety, dosłownie przez nas powyżéj przełożony, zda się nam wyrzucać, iż nie wymieniliśmy jego imienia obok imion Wirgiljusza i Tassa, zwłaszcza, iż jego zwłoki także *tenet nunc Parthenope*, i że wędrowiec idący od grobu śpiewaka *Eneidy* ku Pozzuoli i miejscom przez niego wsławionym, znajduje wpół drogi w kościołku ś. Witalisa kamień, na którym przy lampie żywota okolonéj symbolicznym wieczności wężem, wyryto te słowa:



AL CONTE GIACOMO LEOPARDI RECANATESE
FILOLOGO AMMIRATO FVORI D'ITALIA
SCRITTORE DI FILOSOFIA E DI POESIE ALTISSIMO
DA PARAGONARE SOLAMENTE COI GRECI
CHE FINI DI XXXIX ANNI LA VITA
PER CONTINVE MALATTIE MISERISSIMA
FECE ANTONIO RANIERI
PER VII ANNI FINO ALL'ESTREMA ORA CONGIVNTO
ALL'AMICO ADORATO MDCCCXXXVII.

Jakoby na przeciwstawienie ludzkiéj niedoli niezmiennym uśmiechom przyrodzenia kolebka Torkwata i trumna Leopardego — najnieszczęśliwszych z poetów — graniczą ze sobą na tej ziemi roskoszy.

Biédny Leopardi! Była to dusza rzymskiego hartu i greckiéj udatności trawiona wewnętrzném pięknem i chora na zbyt żywe harmonji uczucie, która się z wieku Periklesa i Grachów zabłąkała była w nasze czasy i w nasze miasta, i mijała je z boskiemi na czole snami Platona i z rytmem helleńskim zaklętym w uchu. I nie tylko ten anachronizm swéj przyrody, ale musiał on ciężko okupywać nigdy prawie niezgodliwe a teraz pogodzone w sobie przeciwieństwa: władzę spekulacyjną która otchłanie myśli gruntuje rozumowaniem i wydostane prawdy wiąże żelazną nicią logiki; natchnienie, które jak mistyczny płomień pali się tylko na głębokościach czucia, rozjaśniając zaświatowe obszary; i nauką olbrzymią, wszechstronną, która z pracowitością mrówki zgromadza w niezmierne stosy rozsiane członki wiedzy ludzkiéj, i pracą wieków odbudowuje kamień po kamieniu i głoska po głosce. Za taką zupełnością moralną i nieprzylepnością ducha i serca do czasów w których żyjemy, boleść jak cień ogromny, posępny, natury przeciążonéj własnym nadmiarem, i organizacyi zwichnionéj własném bogactwem, ciągnęła się po wszystkich chwilach jego żywota i na wzór cienia materyalnego

oderwać się nie mogła od jego ciała. Był to żyjący dni naszych Laokoon, którego wyraz bolesny i zachwycony w pozostałych utworach odbity, wyrobił się i wypromienił w śmiertelnych uściskach niewidomego gadu, który go chwycił był w swe pierścienie. W tym pojedynku bez wytchnienia i bez nadziei z jenjuszem cierpienia i śmierci, całym się duchem nieśmiertelnym oburzył przeciw prawu zniszczenia i fizycznego fatalizmu objawionemu w swojéj osobie; myśl po myśli i czucie po czuciu wydzierał niehamownéj mocy, która mu członek po członku wydzierała, i w miarę jak się szpon boleści coraz głębiéj wpijał w najżywotniejsze tajniki jego istoty, tém on głębiéj niezmrużoném okiem patrzał w oblicze wrogowi, badał go o pochodzenie i odwieczną jego zagadkę, żądał od… sprawy z tego przeciągłego jęku, który się wyrywa z piersi wszystkich wieków i wszystkich narodów od bram utraconego Edenu aż do teraźniejszości, z tych skrytych łez, które nurtują na dnie naszego szczęścia i płyną na pograniczu naszych radości, które równie pierś pokoleń jak karty mędrców z wieszczów wyżłobiły, gdyby jagody wdowy, i Niobę obróciły w kamień na wiekuiste godło konieczności cierpienia. Zwróciwszy się do wielkiéj bólu tajemnicy, wszystkie siły ducha naprężył ku jéj zbadaniu, śledził jéj w zamierzchłych dziejach ludzkości, w nierozwidnionych smugach pierwiastków i początków, w pogodném świetle jakie pada z Olimpu na kolebkę szczęśliwych i swobodniejszych ludów dawnéj Hellady; pytał o ostatnie onéj słowo starożytności i jéj mytów, wszystkiego co kochało i co wielkie było, co rozumowało lub śpiewało i co milczało, od sfinksu spotkanego przez Edypa na piaskach pustyni, od Prometeusza nieśmiertelnego pokutnika światłości, aż do tych mędrców Grecyi, których postacie s… osągowały się w oddali a usta stały się wymowniejszemi milczeniem, aż do tych najśmielszych nurków serca ludzkiego Danta i Shakespeara, dla których czucie zostało bez skrytości, a dramat żywota bez tajemnic. W téj nieukróconéj pogoni za widziadłem własnego bolu przez wszystkie wieki i przez wszystkie myśli ludzkiéj dzieła, musiał on przenikać skorupę zmarłych języków, by dobrać się do zdroju wiedzy i wiecznie młodzieńczego życia płynącego pod nią; musiał wulka-

niczną siłą swéj piersi przedzierać się przez stosy foliałów, ociężałe skarby umiejętności; rozwięzywać ideę nadobną innego wieku dziewicę uwięzioną w ich zapylonéj okładce, i dźwigać cały rynsztunek dialektyki i zawiłości scholastycznych. Jenjusz Pelazgów, jenjusz grecko-italski, daleki zawsze od abstrakcyjnych zdrożności germańskiego ducha i nigdy nie tracący z oczu ontologicznéj prawdy, nie przestawał wydawać od czasu do czasu takich potężnych szermierzy myśli, w których płodność ziemi, starodawnéj Tytanów rodzicy, odżywać się zdaje: do jednoplemienników tego jenjuszu, którzy rozpostarciem myślącej władzy donieśli ostatecznych krańców skończoności i rozmaitość wszechświata odwzorowali w sobie, których hasłem jest encyklopedyczność, liczy się ś. Tomasz, Dante, Jan Vico; do nich należy także Jakób Leopardi. Był to umysł średniowiecznego zakroju, przypominający czasy dzidy i syllogizmu, olbrzymich gonitw na ostre i niemniej olbrzymich zapasów szkolnych; umysł zaprawny do całokowanego rozumowania i lekko obracający ciężarem niedźwignionéj uczoności, jak rycerze kilkostopowym szermowali mieczem. Świadectwem tego cały jego rozwój i zdumiewające prace.

Ten syn pięknéj Italji, urodził się 29 czerwca 1798 roku w państwie Kościelném w miasteczku Recanati położoném na jednym z tych tysiącznych pagórków, w które Apeniny kłoniąc się ku Adryatykowi, coraz niżéj i nieznaczniéj spływają. Ojcem jego był hrabia Monaldo Leopardi, matką Adelaida z margrabiów Antici, synowica ostatniego posła Rzpltéj Polskiéj w Rzymie, nauczycielami zaś oprócz dwóch starych kapłanów, pod którymi do lat czternastu się ćwiczył, książnica domowa, słońce, góry, nieskończoność morza i najprzedniejsza jenjuszów mistrzyni — samotność. Nigdy nie przestąpił progu żadnéj szkoły, ani się zbliżył do żadnéj mownicy profesorskiéj; nigdy pedantyzm doktorski i żółwia klas systematyczność, potrzebne słabym i zwyczajnym rozumom jak pasek niemowlętom, niekrępowały bujności tego umysłu, próbującego swych atletycznych sił z całą swobodą orląt gór ojczystych.

Zaledwo podrósł, zdobywa po rycersku i jakoby szturmem nieodstępną twierdzę greckiego i łacińskiego kla-

sycyzmu, przebiega jednym ducha zapędem cały cykl starożytności torując sobie drogę przez straszliwą moc komentarzy i scholji, glos i postylli, przez istne zarośla języka i bezdroża wiedzy. Błyski jego myśli padają na niewyjaśnione miejsca starych pisarzy, na wątpliwe i sporne ich ustępy; w szesnastym roku dopisuje greckie i łacińskie komentarze do Żywota Alexandryjskiego filozofa Plotyna przez Porfirjusza prostując wersyę Marsila Ficino, tudzież do *Cestów* Juljusza Afrykanina, do żywota i pism Eljusza Aristidesa, Hermogenesa, Korneljusza Frontona i Diona Chryzostoma retorów; objaśnia przemądremi krytycznemi przypiski Frontona i jego Listy do Marka-Aurelego, Ezychjusza z Miletu i jego rozprawę *O ludziach z nauki słynnych*, Celsa i jego *Ars dicendi*, Xenofonta, Platona, Longina, Dyonizego z Halikarnasu, Demetriusza z Falery, Teona Sofistę i siła innych. W przeciągu dwóch miesięcy kończy zdumiewające dzieło: *O przesądach ludowych w starożytności*, kędy zbiera wszystko cokolwiek powiedziano o astrologii, strachach nocnych i widmach południowych, o pigmejczykach, tytanach, centaurach, satyrach, cyklopach i kinocefałach, o ogniwaczku (feniksie) i ostrowidzu, stwierdzając przytém swe uwagi przytoczeniami i tekstem cztérystu-trzydziestu-dwóch pisarzy niemal wszystkich greckich lub łacińskich. Dalej wynajduje, zbiera i porządkuje urywki pięćdziesięciu-pięciu Ojców Kościoła, którzy pisali przed Euzebjuszem. Oprócz francuzkiéj, hiszpańskiéj i angielskiéj literatury i języka, tak dalece staje się biegłym w hebrajskim, iż stacza walne spory z rabinami Ankonitańskimi. Ziomkowie jego Piotr Giordani i Cancellieri, znakomici pisarze, ogłaszają go za cudo wczesnéj uczoności, za młodszego brata Pico della Mirandola i Anioła Poliziano, a cudzoziemcy jako szwedzki filolog Akerblad, a po nim Watz, Thil, Bothe, Boissonade, jednaki o nim sąd wydają. Za przybyciem swojém do Rzymu uprzejmie jest powitany i uściśniony od sławnego Niebuhra podówczas posła pruskiego we wieczném mieście, który mu ofiaruje katedrę greckiej filozofii w Niemczech; wydawcy paryscy i londyńscy ogromnego *Thesauri* Henryka Stefana, prawdziwego skarbca greczyzny, zasięgają jego rady; Creuzer, głośny autor *Symboliki*, układa podług *Żywota Plotyna* swe *addenda*

i *corrigenda* do wspomnionego dzieła; a ksiądz Anioł Mai, późniejszy kardynał i nieprzepracowany odkrywacz palimpsestów, korzysta z jego spostrzeżeń dla swego wydania Dyonizego Halikarnaseńskiego. Obeznawszy się z greczyzną, i ze wszystkiemi fazami i zmianami przez jakie przechodziła w ciągu dwóch tysięcy czterystu lat od najlekkszych odcieni jonickiego, doryckiego, eolskiego i atyckiego dialektu, aż do gmatwaniny i ciemności skażonéj bizantyńskiéj mowy, wnika w istotę tejże greczyzny dobrze po za obrębem wszystkich lexykonów, tekstów i doszłych do nas pomników. Odtwarzając niejako w sobie niezrównaną potęgą ducha całkowitość zaprześpiewnéj mowy wolności i bogów, odgaduje i zapełnia przerwy i opusty istniejące w znajomości martwéj głoski i umarłego języka, i zyskuje bezprzykładny zmysł tego, jaki brzmiał u podnóża Idy i Taygetu, w ogrodach Akadema, pod stoickiemi podsieńmi, na perypatetyckich przechadzkach, na Olimpijskich igrzyskach, u dworu Ptolomeuszów lub w jedwabnych łożnicach rozwiozłego Carogrodu. Dzięki temu wtoremu wzrokowi krytycznemu, daje on jedyny przykład filologicznego wskrzeszania przeszłości: Euzebjusz biskup Cezarejski, zmarły na początku IV wieku ery chrześciańskiéj, ułożył był rozwodzistą kronikę o dziejach świata, któréj pierwotwór już w VIII wieku miano za stracony. Niestworne takowego ułamki były się jeno przechowały w pismach Jerzego Syncella i Jerzego Cedrena, pisarzy z czasów upadku Wschodniego Cesarstwa. Te uczony włoski Scaliger zaciemnił był raczéj niż przyprowadził do ładu, kładąc na karb Euzebjusza to co prawili jego niezręczni bizantyńscy dopełniacze i wszystko razem plącząc z cząstkowym łacińskim ś. Hieronima przekładem. Atoli w zaczątku bieżącego stulecia znalazło się całkowite Euzebjuszowe tłómaczenie po ormiańsku, które doktór Jan Zohrab i sławny Mai jak najwierniej przerobili na łacińskie. Opierając się tedy na onym przekładzie z drugiéj ręki, Leopardi bez pomocy prawie doręczników jakiemi nieznane jeszcze we Włoszech prace Buttmanna, Hermanna i Matthiae, wzbogaciły filologję, nie tylko, że odtworzył pierwotny tekst Euzebjusza i oczyścił go z posetnionych wypaczeń obu greckich mnichów, ale nadto jako władny posiadacz wszech

hellenskich podań, wykazał co do jednego historyczne błędy tak dobrze Syncella jak i ormiańskiego tłómacza: dziwna zaiste znajomość greczyzny i przenikliwość rozumu, gdy zważym, iż przychodziło mu brodzić w głębokiém zepsuciu przeszłém od bizantyńskich obyczajów do rdzeni języka, ile że tajemnicze prawo każe aby kał duchowy w skalaném odbijał się wysłowieniu, czego w naszéj Polsce i w niniejszéj dobie smutne znachodzimy poświadczenie w *Pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego.*

Zdaje się, iż takie alcydowskie prace, takie wyrobnictwo materialnéj formy języka, winny były uśpić na wieki wyobrażnię, stłumić samodzielność, i pogrzebać je pod zaspą drobnostek i okruchów wiedzy subtelniejszych niż atomy Epikura. Gdzież tam! Umysł Leopardego wyćwiczon w tych twardych i surowych trybach wyszedł z nich jak starożytny zapaśnik namaszczony ocerstwiającą omastą, zyskawszy na giętkości, jędrności i potędze. Odniósł z niesłychanéj erudycyi to co się rzadko z niéj odnosi — dar wymowy, formę językową jasną i czystą jak linje greckiego posągu, i to czego się nigdy nie osięga — naturę starożytną. Gdy jako ostatni wielki wieszcz Italji w pieśń następnie uderzył, lutnia włoska greckiemi tony zabrzmiała pod jego dłonią; a nawet szczero-grecka struna posłuszna czarnoksięskiemu niemal dotknięciu, odezwała się wyczarowaną z dwudziesto-kilko-wiekowéj ciszy nótą Simonidesa i Anakreonta. Ten dar wstecznego jasnowidzenia, jeśli z jednéj strony przeraża wszelkie naśladownictwo i spłaszcza nadętość mniemanych klasyków wczorajszych i dzisiejszych, to z drugiéj pociesza myśliciela oczywistym dowodem, iż dla woli człowieczéj i dla nieśmiertelnéj jego duszy nie istnieją prawa czasu i przestrzeni. Leopardi sam wyznawał, iż idea grecka, najwnętrzniejsza cząstka żywota i narodowości helleńskiéj, była uczulszą i obecniejszą dla jego myśli niż duch czasu, w którym żył i wyraz, społeczeństwa, wśród którego się znajdował. Jakoż czytając utwory w których osobę Greka przybiera, oko twojéj duszy doznaje optycznego złudzenia, mniemasz iż wstąpiłeś do Ateńskiéj świątyni za wieku Periklesa, tak dalece czujesz ogarniającą cię zewsząd prostość linji, stoczystość zarysów i wypukłość

kształtów: tenci to sam atycyzm chwytający przedewszystkiém okrągłość i wypukłość rzeczy, ten sam antropomorfizm czyli forma ludzka nie zaciemniająca przyrody ale przewiewająca cieniem złotym po ziemi i po niebie, taż wieczna eurytmja ducha i wyrazu, i równe stąpanie myśli w pomiernym spadku słowa.

*Hymn do Neptuna* udany żartem przez poetę za przekład odszukanéj przezeń greckiéj pieśni, nie tyle zadziwia potokiem przelanéj w siebie nauki, ile tą właśnie niezrównaną greckością swoją. Homer lub jeden z Homerydów, Simonides i Mirone wieszczka bizantyńska, zostawili śpiewy o Posidonie; ale żaden z takowych nie jest równie pięknym, i powiem prawie równie greckim jak rytm ośmnastoletniego młodziana.

Cóż dodam o tych dwóch przedziwnych odach nie tylko pomyślanych, poczutych, lecz i napisanych po grecku, na których najuczeńsi filologowie się zawiedli, biorąc je za owoc złotych Hellady wieków? Pod względem wykończenia i miniaturowych pędzla pociągów dorównają im chyba freski pompejańskie i napowietrzna lekkość onych nimf i tanecznic ważących się na tle czarném lub purpurowém. W pierwszéj sam Anakreon nic potrafiłby wdzięczniej związać temi różanemi pęty tego śpiącego kupidynka, w drugiéj owiewa cię śnieżność srebrnolicéj Seleny i poświata miesięczna drży w gładkości wiersza jak w przejrzystém jeziorze *).

Cóż równie atyckiego jak *Ostatnia pieśń Safony* i Pieśń Simonidesa stworzyli Goethe i Jędrzej Chénier trzymani obaj za ostatnich z Greków długo po Filopemenie? Nie inaczéj zapewne musiała narzekać nieszczęsna Mitylenka na srogie bóstwa, iż jéj nie zostawiły miejsca na słońcu i na piękności wszechświata, toż na same zakrętne fale, iż pogardliwie z pod jéj się stóp cofały. Diodor Sycylijski i Cyceron każą się domniemywać jakoby sławny liryk z Ceosu wyśpiewał walkę stoczoną w Termopilskim wąwozie na pobojowisku i niemal nazajutrz. Łacno sobie wyobrazić możem, czém był ten hymn niepodległości zanucony na nieostygłém jeszcze

---

*) Pierwsza oda *do Miłości*, *εἰς Ἔρωτα*, zaczyna się od tych słów: *Κομώσῃ ποτ᾽ ἐν ὕλῃ*, *w długokosym niegdyś gaju* itd., druga zaś *Εἰς Σελήνην*, *do Księżyca*: *Βούλομ ὑμνεῖν Σελήνην*, *Chcemy opiewać Księżyc* itd.

wzgórzu Anteli, a zestrzelający w sobie zapał i tryumf całego narodu. „Ponieważ pieśń Simonidesa zaginęła, pisze Leopardi do słynnego śpiewaka *Basviliany* Wincentego Monti, usiłowałem postawić się w wewnętrznem naonczas usposobieniu poety, i taką rzeczą, pomimo nierówności jenjuszu, odtworzyć pieśń jego; o któréj trzymam, że albo była cudowną, albo też chwała Simonidesa jest niesprawiedliwą i nie żal że pisma jego przepadły.“ I cudownie zaprawdę odtworzył ów tren pogrzebny, *Ceae munera naeniae*, tak sławiony przez Horacego... Jest coś homerycznego w tym obrazie garstki Greków nurtującej w perskiéj tłuszczy jak lew, który się miota między stadem wołów, który tutaj grzbiety szponami ryje, owdzie boki zębami szarpie, i w téj śmierci bohaterów, którzy „na twardéj ziemi bez pocałunków konają i bez płaczu:“

*Quando su l'aspro lito*
*Senza baci moriste e senza pianto.*

Atoli autor *Hymnu do Neptuna* pomniał, że wielkość pisarza choćby na Polach greckich lub elizejskich zdobyta, zwykła w potomności mierzyć się skalą zasług ojczystéj mowie położonych. Usiłował on przeto przez całe życie swoje oczyścić i upięknić własny język czystością i pięknością starożytnéj formy, a zarazem w zniewieściałych sercach swych ziomków zaszczepić hart uczuć i wielkomyślność rzymską. Niech nas niedziwią te klasyczne anachronizmy: Włoch cofając się ku Grachom lub Tacytowi nie wychodzi z ojczyzny, i tam zaiste nieraz się cofnąć musi by znaleść stworność mniemań i tęgość charakterów. Mnogie przykłady świadczą o téj ustawicznéj usilności dzielnego i zacnego wieszcza. Odział on z włoska, nie naruszając ich osobowości, Heziodа (w *Tytanomachii*), Homera (w *Odyssei*) i w *Batrachomyomachii*), Wirgiliusza (w *Eneidzie*), Moschusa, Epikteta, Izokratesa, że innych wyliczać pominę. Ubolewał, iż Caro, włoski tłómacz *Eneidy* nie przejął nieporównanéj szlachetności Wirgiliuszowego stylu, lubo mu niezbywa na ozdobach. — Nie ubiegam się, mawiał, o majestatyczność księcia poetów łacińskich: wystąpię w mym przekładzie nie po książęcemu, lecz po szlachecku; nie sprostam Wirgiliuszowi w godności, zwyciężę go w jasności“.

Ta jasność szczególnie w jego prozie uderza, bowiem będąc wielkim śpiewakiem, potrafił także zostać najpierwszym swego kraju prozaikiem za dni naszych. Piotr Giordani, przyjaciel jego i sam znakomity poligraf, twierdzi iż z nietoskańskich pisarzy jednego chyba Daniela Bartoli z Ferrary można mu przeciwstawić, aczkolwiek w odmiennym rodzaju. Przeczytawszy tego ostatniego, zadzierżysz w pamięci mnóstwo tęczowych okresów, ale żadna ci głębsza nie utkwi w niéj idea. Autor nie na siebie, lecz koło siebie zwraca uwagę czytelnika; wszystka cudowność w jego odzieży, nie w jego osobie. Rzecz się ma inaczéj z Leopardim: styl jego jak przeźroczysta szyba nie tamuje widoku rzeczy migotliwemi błyskotki, a myśl tak jasno przez ten styl przegląda, iż na nią się tylko baczy, zapominając o słownym krysztale co ją uwidomia zasłaniając się własną przejrzystością. Największe to zaiste misterstwo kiedy

Misterstwa nieznać co wszystko zdziałało *)

Trudno pojąć, jak przy tak ognistych poezyach zdołał pisać tak jasną, prostą, rozsądną, rzekłbym niemal, tak zimną prozą. Używając w swych rymach téj drogotkanéj i fałdzistéj formy, którą Persjusz togowemi słowy, *verba togae*, nazywa; w prozie swéj owszem dowiódł zupełnéj pogardy wszelkiego kunsztu i rozwiązał niesnadne zdanie Cycerona: *omni ornatu orationis, tanquam veste, detracto.* Jego styl całkiem rozebrany ze świecideł i ozdób, dostąpił w najwyższym stopniu téj arcy-misternej prostoty greckiéj, która, jak powiada Pliniusz starszy, na tém zawisła, aby nie zasłaniać: *graeca simplicitas est nihil velare.* Jakoż trudniejszém poczytując celowanie w prozie niżli w wierszu, przyrównywał ten drugi do białogłowy w kosztownym stroju, onę zaś pierwszą do Afrodyty Anadyomeny, czyli wychodzącéj z morza i osłonionéj jedynie wstydliwym swéj nagości wdziękiem. Ten dla którego starożytność była bez tajemnic, a greczyzna i łacina nigdy nie umierały, przeniósł w znajomości własnego języka wszystkich współczesnych sobie

---

*) *Jeruzalem wyzwolona*, pieśń 16, przekład Piotra Kochanowskiego.

pisarzy i podobno większość swoich poprzedników. Gdy dnia jednego zapragnął przemówić jako *trecentista* językiem Brunetta Latini, Villaniego i Bokaczia, podobnie jak już był przemawiał do niepoznania językiem Anakreonta i Simonidesa, to co się dawniéj było przytrafiło niemieckim filologom, spotkało powtórnie O. Antoniego Cesari, sławnego badacza średniowieczności i wydawcę *Kwiatków ś. Franciszka*, który mniemane tłumaczenie *Męczeństwa Ojców świętych z góry Synai* *) przez Leopardego przyjął z zapałem za pismo z XIV wieku, czyli jak Włosi mawiają *testo di lingua*. Żarliwą wieszcza miłość dla mowy narodowéj maluje dobitnie wiersz następny:

*Il cor di tutte*
*Cose alfin sente sazietà, del sonno,*
*Della danza, del canto e dell' amore,*
*Piacer più cari che il parlar di lingua,*
*Ma sazietà di lingua il cuor non sente.*

„Serce wszystkiém się przesyca: snem, tańcem, śpie„wem i miłością — rozkoszami droższemi niż piastowa„nie języka; ale od języka nigdy przesytu serce nie „doznaje.“

Tak to Włosi poczytani za najbardziéj znikczemniały Europy naród, miłują językową ojców puściznę, w któréj się jedynie przechowuje nieśmiertelna całość żywota narodów. Wątpię aby ogół u nas podobną mógł się poszczycić miłością, i aby wielu było mogących pojąć bez słownika — tak mało u nas rozpowszechnionego i przystępnego — język Rejów i Bielskich niemniéj rzadkich. Uważane z narodowego stanowiska przedsięwzięcie p. Kazimierza Turowskiego, jest przeto większą pospolitą zasługą, niż napisanie stu tomów powieści i tyluż poematów lub gawęd, większą nawet i pomocniejszą polszczyznie, niż ów trybunał *Wiadomości* rozbierający *in ultima instantia* kazirodztwa przyimków i spółgłosek, a karcący najzacniejszych, najdroższych nam śpiewaków, i z góry swojéj bez indygienatu prawowitości oskarżający ich o prorocze jakieś samosłaństwo i samozwaństwo!

---

*) ***Martirio de' Santi Padri del Monte Sinai e dell' Eremo di Raitù, composto da Ammonio Monaco: volgarizzamento fatto nel buon secolo della nostra lingua, non mai stampato.***

Ale ten wzorowy i poważny prozaik, ten głęboki i potężny myśliciel, ten hellenista, którego uczoność bez granic w intuicyę się częstokroć zamieniała, był przedewszystkiem niezrównanym poetą. Niewiem czy oryginalność swą bardziéj zawdzięcza studyom klasycznym które go wyszczególniły z pocztu współśpiewaków, czy też uczuciom które go osamotniły pośród współczesnych: ale to pewna, iż mianowicie co do formy umiał nadać swym tworom odrębną i sobie tylko właściwą cechę. Pośredniczy on między Dantem, wieszczem wiary i nadziei, i Alfierim, wieszczem zwątpienia i rozpaczy, a przejął od obu odludność ducha, oburzenie szlachetne i tłumione, i wzrok śmiertelnéj litości tego co kochać łaknie a gardzić jest zniewolon. Treściwy i pełen błyskawic wewnętrznych, może się on nazwać Tacytem poezji. Poezja jego czaruje gdy mieniąc się na słońcu odźwierciedla przyrodzenie, rozrzewnia gdy kocha i tęskni zapuszczona prostotą jak dziewica śnieżnym rąbkiem, wstrząsa gdy Jeremiaszowemi tony zawodzi nad wielką ruiną, lub nieśmiertelną wielkością która minęła piętnuje karłowatość i nikczemność obecną. Okwitsza zawsze w uczucia niż w obrazy, w téj zwłaszcza ostatniéj fazie staje się ona całkiem z marmuru i ze stali i przeciąga lśniącym łańcuchem nie już obrazów lecz uczuć sprężystych jak damasceński brzeszczot i skowanych hartem duszy jak ogniwa żelaznéj siatki. Wtedy w całéj prostocie swéj potęgi rzuca daleko od siebie rym, tę dźwięków miłość, i kroczy surowa i dziewicza starożytnym metrem nieświadomym grającéj końcówek niewoli. Wtedy lapidarna i natchniona jak posąg boskiéj nagości i dumnéj postawy, wpatruje się w te dalekie czasy, w których „wiatr w przelocie więcéj iskier z ojczystéj wyrywał ziemi“ :

*....l'aura a volo*
*Più faville rapia da questo suolo.*

Wtedy przysłuchuje się „gwarowi pogrzebanych“ wracających się dowiedzieć, ażali już małoduszność zaczyna być pomocną ich ojczyznie, lub znajduje podobne zwroty ku cieniom Torkwata Tassa:

„Twoje słodkie struny brzmiały jeszcze od dotknię-„cia twéj prawicy, o biedny kochanku! Ach! z boleści „poczyna się i rodzi pieśń italska. A jednak mniéj tło-„czy i gryzie ból co nas pożera od ospałości co nas „dławi, szczęsnyś ty, któremu płacz był życiem. Na „nudy powiły w pieluchy; nam nad kołyską i nad gro-„bem usiadło nieruchome nicestwo“.

Ona straszliwa nauka duszy mu nie wyziębiła; jedno spojrzenie na obszar ziemi, jeden podmuch wiatru od gór lub od morza zwiewał z niéj pleśń staroświeczyzny i zbutwieliznę grobów. Przeniknięty aż do rdzeni prądem powszechnego życia, odgłośny na wszystkie tony przyrody, od grzmienia morskich wałów aż do cichego świergotu ptasząt w gęstwinie, zapominał na chwilę ludzkiej niedoli lub nikczemności, ognistych swych marzeń, bolów nawet nieznośnej niemocy która w nim zwolna wysuszała wszystkie poniki żywota, i jak kochanek unosił się i płakał, i jak dziecię zalewał się zachwytną słodkością z cudów na które codzienne zaślepia nas nawyknienie. Każdy rzut oka stawał się dlań objawieniem, każdy odcień nowym obrazem, każdy szelest nową pieśnią, każdy krzak światem pełnym czarów. On który przed chwilą lśniące kunsztu piękności wygrzebywał z próchna zapomnianych szczątków, krzesał teraz piękności równie iskrzące z dzikich skał, z przelotnych chmur i z bezdennego łona stworzenia. Swiat Boży jak świat grecki i łaciński odkrył mu wszystkie swe tajemnice, a wtedy jął czytać w kwiatach i w gwiazdach jak czytał w pożółkłych pargaminach, i rozumieć nieobjętą symbolikę przyrodzenia jak rozumiał język i obyczaje ludów dawno zmarłych. Tém samém jasnowidzeniem którém ogarniał przedmioty daleko po za granicą teraźniejszości leżące i rozróżniał ton dokonanego żywota i rytm przebrzmiałéj pieśni, wejrzał on w tajniki natury, wniknął w jéj organiczne czynności i serdeczne wnętrze, stał się świadomym zorzy i brzasku, polnych woni, niewyraźnych dźwięków i wszelkich nieujętości; poznał jak się ściemnia, jak *Anioł pański* gra w oddali na krzyształach powietrza i jak rosisty księżyc przestrzeń wybiela. To śpiewał do samotnego ptaszka piosnkę, która trwać będzie ile piśmiennictwo włoskie; to tęsknił w ślad za śpiewem mijającym po bezlu-

dnych ścieżkach w cichą noc letnią i słuchał jak się coraz oddala; to znów ucho wytężając za wiatrem myślił „o wiosnach które zmarły", albo patrzał wskróś łez na miesiąc wiszący nad lasem, i zdało mu się od drżenia tych łez iż twarz miesięczna drżała....

Cierpienie które od lat dziecinnych dręczyć go nie przestało, i niesłychana praca jakiéj się oddawał, wyczerpując wszystką czynność jego jestestwa przez walkę wewnętrzną i przez umysłowy wysiłek, nie dopuściły mu nigdy zbliżyć ust do czary rozkoszy ziemskich. Ból jak cudowny balsam zachował go w nieskazitelności: Leopardi jak Michał Anioł zstąpił do grobu z kwiatem swego panieństwa. Duch jego żadnym zmysłowym nie splamiony kałem, owszem, postawiony w śmiertelném i szczytném przeciwieństwie z cielesnym żywiołem, nabył ztąd téj dziwnéj intuicyi na polu wiedzy i tego zmysłu najlotniejszych i najpowietrzniejszych odcieni w sferze poezyi, drżąc jak liść osiki pod nieuczułym nawet powiewem pogody i wiosny. Rozkosz by dobze pozwolona przytępia twórczość, kruszy hart moralny i zaciemnia w górę zapatrzoną źrenicę duszy nieśmiertelnéj. Myśl, biała i trzeźwa gołąbka, ulubiła sobie słoneczne wyżyny, dokąd nie dochodzą upajające wyziewy materyi, a dla kapłaństwa słowa jak dla kapłaństwa ołtarza czystość jest niezbędną, skoro wyższe chce zająć stanowisko. Przeto zapewne iż czoła nigdy nie zniżył pod jarzmo namiętności, ten całkiem duchowy poeta panował tak wszechwładnie nad głębokościami serca ludzkiego, i przebiegał tak wprawną i mistrzowską dłonią całkowitą gamę uczuć. Wielce się bowiem myli ktokolwiek mniema, iż poeta winien gry namiętności i psychologicznéj plastyki uczyć się zewnątrz siebie jak plastyki i formy lub tonów krajobrazu: dusza ludzka jest syntezą wszechświata, w niéj jak w powietrzu drzemią wszystkie burze i wszystkie pogody, i częstokroć poecie by oddać największe prawdy życia dosyć wejrzeć w samego siebie. *Hamlet* i *Król Lear* zanim ułudę postawiły na równi z rzeczywistością, odegrały się najprzód bez wzoru w duchu Shakespeara, podobnie jak Kolumb najprzód w duchu nowy świat obaczył, a Kopernik nieruchomość słoneczną poczuł w sobie zanim ją ujrzał na niebie. Inaczéj bowiem jakże Leopardi

byłby napisał wielkie drobnych rozmiarów arcydzieło *Consalvo* równe bez wątpienia sławnéj scenie *Romea i Julii* słuchających czy już śpiewa skowronek, i zkąd ten pracowity hellenista i opuściały literat byłby wziął tak płomienne i przeczyste pociągi ku odmalowaniu konającego Gonzalwa, gdy błaga Elwirę o pierwszy pocałunek, bo mu śmierć nareszcie rozwiązała dawną ust nieśmiałość? Kogóż nie wzruszy wdzięk nadziemski owéj sceny i ten w niéj przyspieszony oddech pierwszego szczęścia w ostateczném tchnieniu, i to życie już ze skrzepłych członków uleciałe a zatrzymane tylko zachwytem w ostatniéj łzie i w ostatnim uśmiechu, i ten dzień miłości i śmierci tak nieskończenie szczęśliwy iż ucieka przed własnym wieczorem? Niech nam w całéj nowożytnéj dramatyce ukażą co wyższego nad ten krzyk z pod serca:

*Due cose belle ha il mondo:*
*Amore e morte!*

Przeto także iż pozostał do końca nieświadomym zapomnień się burzliwych i świata widomego, że tak powiem, dotykał jeno wskróś swojéj boleści, dano było Leopardemu, przy takiéj władzy nad uczuciem człowieczém, poznać w ciągu ciernistéj swéj pielgrzymki anielską bezpożądliwą miłość, jaką szczupła tylko liczba wybrańców czuje, ba, pojmuje. Dusza jego zbolała i napół wyiązana ze zmysłów, zachowała przez całą swą ziemską gościnę tajemnicze łez wewnętrznych źródło, i z téj to rzewności nie wysuszonéj namiętnemi żary wypłynęły gdyby dwie przejrzyste płaczu krople, postacie Silwii i Neriny. Są to młodsze siostry Beatricy Danta, równie czyste lubo smętniejsze od niéj. Silwia raz tylko z nadchodzącym majem błyska w pieśniach poety, a potém znika z ziemi przed uwiędnieniem murawy. Wątpię aby poezya miała co prostszego i serdeczniejszego nad to westchnienie ku Nerinie:

„O Nerino! alboż nie słyszę jak te miejsca mówią o „tobie? albo może wypadłaś mi z pamięci? Dokądżeś „uszła, iż tutaj twe wspomnienie znajduję tylko samo, „słodyczy moja? Już ciebie nie ogląda ta ziemia rodzin„na: to okno zkąd zwykłaś się była odzywać do mnie, „a zkąd smętnie odstrzela gwiazd promień— puste. Gdzież

„jesteś, że już nie słyszę dźwięków twego głosu jak „ongi, kiedy każdy wyraz z ust twoich dolatując do „mnie zmieniał barwę mego lica? Inne czasy. Twoje „dni skończone ma słodka miłości. Przeminęłaś. Innym „dziś przeznaczono mijać po ziemi i zamieszkiwać te „wonne pagórki. Lecz lotna przemknęłaś, i jako sen był „twój żywot. Tam tobie pląsającéj radość na czole ja„śniała, promieniły ci się z oczu te ufne urojenia, to „światło młodości, a tu los je gasił — i leżałaś. Ach „Nerino! w sercu mi dawna panuje miłość. Jeśli na „uczty czasem jeszcze, jeśli na zjazdy uczęszczam, po„wtarzam wewnętrznie: O Nerino! na zjazdy, na uczty „już się nie stroisz, już nie uczęszczasz. Kiedy maj wra„ca, i z zielenią i z pieśnią spieszą oblubieńcy ku dzie„wicom, mówię: Nerino moja, dla ciebie niewraca wio„sna nigdy, nie wraca miłość. Za każdym dniem pogo„dnym, za każdą łąką rozkwitłą na którą patrzę, za „każdem weselem które czuję, mówię: Nerina się już „nie weseli, błoni, powietrza nie podziwia. Ach minęłoś „wieczne westchnienie moje, minęłoś! i towarzyszką zo„stanie każdéj lubéj mi myśli, wszech tkliwych uczuć „moich, wszech smętnych i drogich serca uderzeń,— pa„miątka żałosna.

Ale ta dusza wieszcza i tak żywo czująca śpiewatylko mogła w rzadkich chwilach folgi, jakie jéj fizyczne cierpienia zostawiały. Sroga i pożercza choroba, na którą lekarskie się środki niedostatecznemi okazywały, postępowała z przerażającą szybkością. Ciało poety widocznie więdło i wysychało, kości miękły i rozpadały się jak rozdzierżgniona wiązanka, naczynia pożywienia przestawały działać i pokarm przeradzać; przeciążone serce nie mogło się uwolnić od limfy, krew jak zatruta krążyła gęsta, wyblakła i ziębła po napęczniałych żyłach, a płuca niby ściśnione żelazną obręczą, każdém westchnieniem rozsadzały piersi. Zdaje się że mózg, węzeł tajemniczy całego organicznego koła, pochłonął był wszystkie jego soki i siły, i że wszystek płyn żywotny przeszedł był w płomień lampy dusznéj. Objechawszy bezowocnie główne miasta półwyspu i najsławniejszych lekarzy, od których żadnéj doznać nie mógł ulgi, Leopardi ścigany ustawiczną obawą zimy, podczas któréj jak delikatny złoty owad sztywniał za-

wsze i zamierał, nareszcie w październiku 1835 roku pospieszył do Neapolu, gdzie ostatnie dwa lata życia swego przepędził. Tutaj błogi klimat, ciepłe życiodajne powietrze i niezmienna jakoby wiosna zatamowały na chwilę postęp choroby. Zdrowszy, duszą i sercem przylgnął do wiekopomnych zabytków téj starożytności, która mu tak wybornie była znana; zstępował często na odgrzebane rynki i cyrki Pompei i Herkulanum, jeździł do sybillińskiéj Kumy i do Pozzuoli zamieszkawszy stale na czarownym wierzchołku Capodimonte a przepędzając kilka miesięcy na rok w domku położonym na pochyłości Wezuwiusza. Słońce, morze, balsamiczny powiew zalatujący z rozkwitłych pomarańczowych gajów, wszystkie zgoła wdzięki czarodziejskiéj Partenopy, krótką nawet w nim życia obudziły nadzieję. Uwierzył, nabrał otuchy, zapragnął szczęścia, nowego nieznanego szczęścia, wszystkiemi swéj istoty władzami, które wiosna była na chwilę odżywiła i wzmocniła. Wtedy w niedoświadczoném nigdy upojeniu biedny ten męczennik zanucił śliczną pieśń *il Risorgimento* tak dobitnie malującą radości ułudnego zmartwychwstania, powrót do carazu wszystkich uczuć i marzeń, gromadne odżycie całéj natury współbudzącéj się z duszą, rozmowy serca na nowo zawiązane z morzem, ze strumieniami, i z nadbrzeżem i z lasem i z górą, więc przeobrażenie całego świata pod pryzmatem łez od których już był odwykł a które są mu przywrócone:

*Moti soavi, immagini,*
*Palpiti, error beato,*
*Per sempre a voi negato*
*Questo mio cor non è?*

*Meco ritorna a vivere*
*La piaggia, il bosco, il monte,*
*Parla al mio cor il fonte*
*Meco favella il mar.*

*Chi mi ridona il piangere*
*Dopo cotanto obblio?*
*E comme al guardo mio*
*Cangiato il mondo appar?*

Ale to przelotne i zwodnicze rozjaśnienie krótko nader trwało; cierpienia wróciły a z niemi i złowieszcze przeczucia. Pod tych to wpływem Leopardi wydał swój śpiew łabędzi do bladego krzaku janowca pokrytego płonném kwieciem na spiekłéj wulkanu lawie. Śpiew takowy nazwany przezeń imieniem rzeczonéj rośliny *la Ginestra*, śpiew pełen tęsknéj woni jak ona, odbił śmiertelną bladość i beznadzieję umierającego śpiewaka. Pragnęlibyśmy w nim zapewne mniéj ciemnego jak ta lawa smętku, a więcéj tego światła z góry, które dla człeka świtać zaczyna gdy słońce ziemskie po raz ostatni zachodzi, które w cieniach śmierci wypogadza jego czoło tak jak pierwszy promyk gwiazdy wieczornéj ciszejącą wygładza falę. Ale Bogu najwyższemu rozdawcy natchnienia wiadomy istotny nastrój wszelkiego serca i wszelkiéj lutni: my tylko słyszym znikomą przegrawkę.

Nakoniec w lutym 1837 roku opuścił on swe pod Wezuwjuszem mieszkanie i przeniósł się do Capodimonte, gdzie się jednak wkrótce objawiła w nim puchlina wodna. W czerwcu lekarze postanowili uciec się do ostatniéj próby, azali przez powtórzoną miejsca zmianę nie zdołają zatrzymać jeszcze w chorym dogorywającego życia. Już nawet powóz był zajechał dla przewiezienia go napowrót do lubéj nagórnéj ustroni, kiedy wody w koło serca zebrane nagle wylały i zagasiły ostatnią iskrę szlachetnego żywota. Jakób Leopardi spokojnie i z uśmiechem na ustach oddał Bogu ducha w objęciach kilku wiernych przyjaciół w trzydziestym-dziewiątym roku życia, a raczéj długiego cierpienia i walki.

Taki był zgon jednego z najdziwniejszych i najzacniejszych ludzi naszego wieku, w którym niewiedzieć czy mamy bardziéj uwielbiać zdumiewającą uczoność i wcielenie a uosobienie greckiego ducha, czy gorącą ojczyzny i ojczystego języka miłość, czy też niezłomne męstwo i pogodną swobodę w ciągłéj niewypowiedzianéj katuszy, czy nareszcie rzadki, doskonały, cudowny dar pieśni, stosując z Italią całą ten wiersz Dantyszka do ostatniego po lutni brata boskiego Danta:

*Onorate l'altissimo poeta!*

**Londyn** w styczniu.

Z końcem roku zwyczajem jest dzienników dawać ogólny rys celniejszych wypadków, jakie się w ciągu roku zdarzyły. Zwrot ten oka na przeszłość dopomaga czytelnikom do przebieżenia od razu pamięcią, co i ile się w kraju lub w polityce zewnętrznej ważnego zdziałało i przywodzi oraz na myśl co pozostało jeszcze do czynienia. Przy wyliczaniu takowych zdarzeń uwydatniają się zarazem imiona mężów co się do nich przyczyniali, i nawet do dalszych mogą stać się sposobną sprężyną; ludzi takich żaden kraj w ubiegłym roku niewydał tylu co Anglia. W ten sposób podają się pamięci potomnych dzieje i osoby czynu, ile ich krótki zakres jednego roku nastręczyć może. One później służą za podstawę, na której się świetnie karta historyi narodu rozwija.

Stanowisko z jakiego się w takowych zarysach dziennikarze angielscy na bieg wypadków rocznych zapatrują, jak się łatwo domyśleć można, jest prawie wyłącznie angielskiem — odpowiedniem wszakże całéj rozległości stosunków, w których naród w przeciągu roku zostawał, a które są najróżnorodniejsze i wieloliczne wyrównywające wielkości państwa.

Na próżnobym się tu nad niemi rozwodził, bo jako obce, byłyby dla czytelników waszych obojętne. Każdy naród ma mniéj więcéj oddzielne swe stosunki, które go jako swoje i domowe przedewszystkiem zajmują i obchodzą. Pod tym względem nieomieszkał wywięzywać się *Czas*, ilekroć potrzeba tego wymagała: we wstępnych artykułach wtorkowych podawał zwykle poglądy na wydarzenia z każdego tygodnia ubiegłego, w *Dodatku* zamieszczał poglądy nie tylko polityczne ale i literackie, z całych miesięcy, a w ostatnich dwóch artykułach „Błędnego Koła“, można było widzieć objęte działania dyplomacyi europejskiéj z całego roku przeszłego, jakby zaczarowane bez postępu i końca, gubiące się w nowych zawikłaniach i bez nadziei, by dyplomacya zdołała się i niniejszego roku wyłamać z tak „błędnego koła“. Zawołana teorya solidarności państw zdaje się coraz bardziéj rozprzęgać i słabieć; a ten rok

probierczym będzie kamieniem, o ile ona jest praktyczną, i czy zasługuje na ufność.

Tymczasem historya zwyczajnym trybem zapisuje dzieje świata na swych tablicach, a im który naród większy i dzielniejszy, tem więcej materyałów dostarcza dla jéj rylca. Takim bez zaprzeczenia jest w téj chwili naród angielski. Nie w jednéj tylko Europie lecz na całéj kuli ziemskiéj czuje się obecność jego potęgi i czynów.

W jednym z dawniejszych mych listów donosząc wam o podróży poselstwa azyatyckiego po zamożnych miastach angielskich a dziwiącego się onych bogactwu, gdy jeden z poselskiego orszaku zapytał towarzysza swego: „Coby było przyczyną takiéj zamożności kraju?“ Któryś zpośród nich trafną dał na to odpowiedź: „Tą że nic w nim nieginie, nic nie marnuje się, lecz z najlichszego gałgana, z kości gdzieindziéj wyrzucanych na śmieci, z najmniejszego drobiazgu robi się użytek.“ Prawda ta z domowego gospodarstwa czyli interesów materyalnych powzięta, da się zarówno zastósować do sfery czynności umysłowych i moralnych. Wielka między jednemi a drugiemi zachodzi analogia i podobieństwo. Jako w pierwszych tak i w drugich może być marnotrawstwo i oszczędność: za pierwszem idzie w trop ubóstwo, za ostatnią bogactwo i zamożność. Owóż i tą umysłową zamożnością, a z oszczędności pochodzącą, Anglia celuje; gdyż skarby myśli i nabytki umysłowe choćby najskromniejsze, na jej ziemi nie marnieją, nie giną, i nietylko że z całą wolnością wychodzą na jaw upowszechniając się w całym narodzie, lecz jeszcze obmyślane są różne środki na chwytanie ich w pierwotnej postaci, w chwili saméj rodzenia się ich, by żadna z nich nie była uronioną. A że na zbieranie ich rozlicznego plonu, pismo zwyczajne, choćby przez najbieglejszego skrybenta użyte, niewystarcza, powynajdowano więc systemata *Skoropisarstwa*, to jest pewnych skróceń i przyjętych znaków na wyrazy; tak żeby używający ich mogli łatwo spisywać słowa osób, chociażby najszybciéj mówiących.

Do tych sposobów sztucznego pisarstwa policzyć należy naprzód *Stenografią*, od któréj skoropisarstwo wzięło swą nazwę. Była ona znaną już starożytnym. Uży-

wał jej poeta Ennius, używał Tyro wyzwoleniec i amanuensis Cycerona przy spisywaniu myśli patrona swego gdy mu je dyktował, a Seneka miał ją znacznie udoskonalić. Była znana w średnich wiekach, jakto świadczą abrewiacye w rękopismach i w dawnych drukach znajdujące się. Istnieje nawet osobne dzieło o niéj: *Ars scribendi Characteris* drukowane r. 1412. Z tem wszystkiem były to tylko małe początki do niej; stenografią odtąd doprowadzono do najwyższego stopnia wydoskonalenia w Anglii. Hieroglificznym znakom téj sztuki skoropisarskiéj, mówię hieroglificznym, gdyż pismo hieroglifów egipskich miało pierwszą myśl do niéj podać — publiczność angielska ma teraz do zawdzięczenia wielorakie raporta działań sądowniczych, posiedzeń meetingów i ważnych dyskusyj parlamentowych, jakie raporta niemal dosłownie z mów i dyskusyj mówców przez sprawozdawców są spisywane i natychmiast podawane do dzienników. I tak, co się jednego dnia działo na sądach lub publicznych zebraniach, albo też na sesyach nocnych parlamentu, które do północy, a czasem do 3 lub 4éj rano się przedłużają — o tem wszystkiem sprawę publiczność już czyta w dziennikach przy śniadaniu. Anglik przez cały dzień cierpiałby na *spleen*, gdyby, nim wyjdzie do swych zatrudnień z domu, dziennik mu się rano spóźnił. Bez skoropisarstwa literatura dziennikarstwa angielskiego, ani nawet literatura kraju, nie byłaby ani tak obszerną ani tak zajmującą. Skoropisarze czyli *reportery*, jak ich zowią, stanowią osobną klasę i niejako cech literacki mało co niższy od redaktorów, i dobrze są stosunkowo płatni, od 100 do 300 fst. rocznie. Jednego znałem co pobierał 300 fst. za same raporta dyskusyj parlamentowych. Reportery są w większéj części ludzie wykształceni ale ubodzy, którzy w ten sposób swą karyerę literacką rozpoczynają i częstokroć dochodzą do wielkiego znaczenia w świecie literackim. Przykładem jest Karol Dickens, który będąc w młodości prostym reporterem, stanął teraz jako powieściopisarz na szczycie literackiej sławy.

Powiedziawszy to o reporterach, należy dorzucić tu jeszcze choć kilka słów o skoropisarstwie angielskiem. Rozmaite są systemata stenografii, jedne prostsze, drugie zawikłańsze, zresztą wiele w tem zawisło od sa-

mych skoropisarzy, z których każdy raz pojąwszy główne zasady ogólnego systematu, sam go późniéj według własnego sposobu widzenia uprawia i dowolnie wydoskonala.

Z tem wszystkiem dotychczasowy systemat, jakkolwiek bardzo pożyteczny i powszechnie używany, nie jest tak doskonały, żeby niezostawiał wiele do żądania. Pod względem dokładności i czytelności swych znaków nieoddaje on z taką wiernością myśli, żeby można nim zastąpić zwyczajne pismo. Pochodzi to ztąd, że łaciński alfabet używany do pisma angielskiego, niema dość znaków na oznaczenie wielu brzmień mowy angielskiéj, a prócz tego nawet głoski w niéj używane, nie zawsze wyrażają ten sam dźwięk głosu. Osobliwie daje się to postrzegać w półgłoskach, i dość zajrzeć do słownika Walkera aby się o tem przekonać. Dość powiedzieć, iż przekonano się, że z 50,000 słów z jakich mowa angielska się składa, ledwie 50, czyli jedno słowo z tysiąca, tak jest wymawiane jak się sylabizuje lub pisze. Nowy przeto i z saméj potrzeby wynikający wynaleziono teraz system skoropisarstwa, według którego już nie litery lub sylaby lecz czyste brzmienia mowy są oznaczane. System ten nazwano *Fonografią* czyli głosopismem. To pismo daje się zarówno zastósować do obcych języków, gdyż według składu organów do mówienia, każda mowa musi koniecznie mieć większą liczbę głosów wspólną z innemi mowami. W wykonaniu zaś fonografia nierównie jest krótszą i czytelniejszą od używanéj dotychczas stenografii, bo mowa ludzka staje się przez nią niejako uwidocznioną. Wynalazcą tego skoropisma głosowego jest Henryk Pitman. Wydał o niem dziełko i w tym miesiącu dawał w Manchester wykład onego w trzech publicznych lekcyach, które z wielkiem zajęciem były słuchane. Cały ten systemat dla swéj prostoty łatwy do pojęcia, wymaga tylko cokolwiek wprawy w pisaniu. Znajomy mi jest młodzieniec co po przeczytaniu książki Pitmana od razu go pojął i używa do pisania. Chcąc się od niego dowiedzieć, o ile system ten fonograficzny da się zastósować do polskiego języka, w którym przyjęto za prawidło: wymawiać jak się pisze“ podyktowałem mu do napisania: „Obywatel zacny“, co on mi tak zakreślił: o ט· .ζ· — „Do-

bra Pani:“ [. .¿. Naturalnie, na wyrazy obejmujące t, ń, ś, ć, ź i tym podobne głoski właściwe językowi polskiemu, musielibyśmy obmyślić osobne znaki.

Wspomniało się wyżéj o uwidocznianiu mowy ludzkiej — więcej i o tem muszę powiedzieć. Jest jeszcze sposób otrzymania na nią znaków z wibracyi mowy ludzkiéj a piszącéj się saméj przez samo brzmienie głosu — bez pomocy ludzkiej, wcale mechanicznie. Wynalazcą jego jest Leon Scott, korektor drukarski w Paryżu, i sposób ten opiera się na dość znanéj zasadzie. Wiadomo że ucho ludzkie składa się z nieregularnego rurkowatego otworu, z błoną bębenkową na końcu. Ta błona jest elastyczną, czułą na najmniejszy ruch powietrza. Nietajno też i to, iż głos z natury swéj przechodzi w całéj czystości i z taką szybkością przez otwory rurowe, że gdyby nienatrafiał w nich na zawady, brzmienie jego dochodziłoby w nieskończone odległości, nietracąc nic z swéj mocy ani wyraźności. Doświadczenie to, lat pięędziesiąt temu *) zrobił Biot. Stanąwszy u jednego końca otworu rury wodociągowéj, na 950 stóp długiéj, prowadził przez nią jak najcichszym głosem rozmowę z drugą osobą na przeciwnym końcu stojącą, a tak się słyszeli jakby sobie zblizka szeptali do ucha. To doświadczenie zastósował Leon Scott do swego wynalazku w ten sposób: Zrobił narzędzie rurkowe w kształcie lejka na przyjmowanie jednym końcem otworu i skupienie w nim brzmienia głosu ludzkiego, a na drugim końcu naciągnął napiętą błonę i do niéj przytwierdził w pewien sposób lekki pędzelek (stylus), opierając go na papierze powleczonym sadzą, rozwijającym się z walca, podczas gdy się chce mieć głos mówiącéj osoby. Pędzelek potrącany brzmieniami głosu przechodzącego przez rurę lejkowatą, oznacza go na papierze w kształtach podobnych do fali na powierzchni wody, w rozmaitych zagięciach i łamaniach. Takowe zarysy póżniej, aby się nie zatarły, zdejmują się z papieru za pomocą fotografii. Coś podobnego znane już było p. Wertheim, lecz on zwykł był używać tego sposobu jedynie do otrzymania graficznych zarysów brzmienia od klucza do strojenia muzycznych instrumentów pochodzą-

*) **Sklepienia akustyczne dawno są znane P. R.**

cego; zasługa zaś p. Scotta jest w tem, że tego środka użył do oznaczenia różnych zmian głosu ludzkiego. Wynalazek ten, acz niedoskonały i prawie w stanie dziecińśtwa będący, nie był wszakże bez ważnych odkryć; pokazał bowiem, że im głos ludzki w mówieniu jest płynniejszy, gładszy i czystszy, tem regularniejsze bywają linie kreślące go igłą czyli pędzlem na papierze, gdy przeciwnie zgiełk, wrzawa i wszelkie niezgodne głosy, odznaczyły się w nierównych i przerywanych zarysach; głos zaś lękliwy i drżący sprawiał lekkie podrzędne falistości, na papierze zostające wprawdzie w ciągu z główna linią, lecz w zarysach swych były jakby drgające i mało wyraziste.

Co do fotografii, Sir Dawid Brewster zrobił w niéj nowe dziwne odkrycią. Jedno z najświeższych i najciekawszych jest fotografowanie znacznéj wielkości obrazów na malutkich kawałkach papieru, nie większych jak główka od szpilki. Papierki takowe po dokonanéj należycie operacyi, przylepiają się na szybie szkła, gdzie wydają się dla oka nieświadomego widza jako przypadkowe drobne plamki; lecz przyglądnąwszy się im dobrze przez mocny drobnowidz, ujrzeć można na nich fotografie utworów pędzla malarskiego obejmujące może 20 do 30 figur, najdelikatniejsze linie i rysy twarzy, i postacie z całą perspektywą — zgoła osięga się w ten sposób *fac simile* zupełnego obrazu. Za odjęciem zaś mikroskopu znowu niewidać nic prócz białéj na szkle plamki. Innem ciekawem odkryciem Brewstera jest sztuka robienia w obrazie postaci upioru czyli ducha, jako gmin zwykł go sobie wystawiać. Duch ten w śmiertelnéj koszuli lub jak bądź ubrany, nosi prawie uidealnione znamiona nieziemskiéj istoty, bo bywa zupełnie przezroczystym, i to tak dalece, że stołki, stoły i inne sprzęty domowe stojące za nim z tyłu, można przezeń wyraźnie widzieć — zgoła jest duchem jakim właściwie być powinien, oprócz kształtu swego nie mającym nic z cielesności. Tyle świat miał oddawna bajek o upiórach i duchach nadprzyrodzonych, dawał nawet w ostatnich kilku latach i jeszcze daje wiarę w kręcenie stołów i rozmaite duchów łomotania (spirit rapping), że wcale nie od rzeczy będzie poznać przyczynę tworzenia się postaci przyrodzonych i jedynie prawdziwych duchów.

Otrzymuje się fotograf ich przez oddalanie się osoby mającéj przedstawiać ducha w obrazie, właśnie w chwili w któréj się pokrywa z Kamery odejmuje, i impresya postaci oddalającéj się osoby rozpoczyna, a tak postać jéj usuwając się za obręb i z objęcia soczewki, niema dość czasu do nabycia dostatecznej miąższości i ukończenia całości osoby w obrazie fotograficznym.

Wyszło dzieło biograficzne Cyrusa Redding w trzech tomach pod tytułem: „*Fifty Years' of Recollection*“ zawierające przypomnienia ludzi znakomitych, z którymi autor miał sposobność osobiście się zapoznać przez pięćdziesiąt lat życia swego. Wielu z nich jeszcze żyje, lecz nierównie większa ich część już zstąpiła do grobu. Ze znajomości polskich wspomina autor o ks. A. Czartoryskim i Julianie Niemcewiczu. Pamiętniki te ledwie co wyszły z pod prasy, nie miałem więc sposobności przejrzenia ich by więcéj co napisać o nich. Cyrus Redding był jednym z najczynniejszych współpracowników do *New Monthly Magazine*, od czasu zawiązania go przez T. Campbell znanego poetę. Pismo to miesięczne po dziśdzień utrzymuje się i policzane jest do najlepszych.

Styczeń ten na długo pamiętnym zostanie w Anglii z zaślubienia królewny Wiktoryi z ks. Fryderykiem Wilhelmem Pruskim dnia 25 r. 1858. Niemniej też jest nadzieja — nadzieja niemal pewna, że okręt Lewiatan najogromniejszy jaki kiedykolwiek pływał na oceanie, nim ten miesiąc się skończy, po tylu doznanych trudnościach spuszczony będzie na swój wodny element. Dziś kiedy to piszę, na 14 stóp zanurza się w jego głębiach, a najdaléj dnia 29 lub 30 w porze najwyższego wezbrania się morza, ma już cały bujać wolno na jego falach.

---

# GAZETKA LITERACKA.

---

**Kraków.** Niewiele mamy donieść o nowych książkach wychodzących z oficyn krakowskich. Wildt zeszytami prowadzi daléj swoją *Czytelnię domową* i niebawem ukończy romans: *Afraja*. Wydawnictwo *Biblioteki Polskiéj* p. Turowskiego ogłosiło *Kazania* sejmowe Skargi, w dwóch zeszytach. Oprócz samych kazań mieszczą się tam inne pomniejsze kawałki, dopełniające całości, jak: Wezwanie do pokuty obywatelów korony polskiéj, przez Xiędza Skargę: niemniéj Mowę Arcybiskupa Wawrzyńca Gembickiego mianą do królewicza Władysława, i odpowiedź tegoż królewicza; do drugiego zeszytu dodane jest fac-simile własnoręcznego listu Skargi pisanego do Nuncyusza Apostolskiego Cagliarego. — W najświeższym trzecim zeszycie należącym do działu historycznego czytamy przedruk artykułu umieszczonego niegdyś w Pamiętniku Warszawskim pod napisem: *Oblężenie i obrona Saragossy* w latach 1808 i 1809 ze względem szczególniej szym n czynności korpusu polskiego przez jenerała Józefa Mrozińskiego. Wypadało obok tego ustępu dać jeszcze opis bitwy pod Epilą także przez Mrozińskiego skreślony w któréj ś. p, jenerał Chłopicki okrył się był europejską sławą, garstka tam bowiem żołnierzy polskich, rozbiła kilkunastotysięczny korpus Palafoxa. — Gazeta krakowska niemiecka zaczyna dawać w feuilletonie przekład niektórych ustępów *Mohorta*, lecz niemożna powiedzieć żeby się artystycznością odznaczył a jeszcze mniéj, żeby oddawał charakter ory ginału, tak trudny do ujęcia w obcym języku. W wydawnictwie katolickiém ukazała się mała książeczka napi. ana p. Wielogłowskiego p. t: *Kościół św. Katarzyny w Krakowie* i Katarzyny w Polsce, obrazek przeznaczony na fundusz odbudowania kościoła XX. Augustyanów. — Autor w sposób wielce trafny pokazuje różne stany i powołania radzące nad tém,

jakby zrujnowaną świątynię odbudować; jak zwykle między ludźmi jedni pragną pomnożyć chwałę boską, drudzy chłodniéj i obojętniéj biorą te rzeczy. Jednakże wpływ tego dziełka w którém się każdy mógł przejrzeć, był tak skuteczny, że miały się posypać hojne składki na ten cel pobożny.

**Wiedeń.** W drukarni Zamarskiego wychodzi romans historyczny: *Władysław Łokietek i Wojewoda Szamotulski*; przez G. Rozumiłowskiego, autora pism humorystycznych.

**Sanok.** Wydawana przez X. Ant. Załuskiego *Biblioteka parafialna* dla ludu katolickiego nieustaje, i coraz znajduje większe uznanie, bo gruntując w ludzie praktykę religijną przez dostarczanie duchowego pokarmu, uczy zarazem jak z pomocą modlitwy wyrabiać w sobie zasady i uczucia św. wiary katolickiéj. Najświeższy tom złożony ze czterech zeszytów, mieści całą historyę, reguły i modlitwy Bractwa Różańcowego Najśw. Maryi Panny oraz pieśni kościelne i żywoty niektóre, jak ś. Katarzyny Seneńskiéj, świętéj Róży, ś. Reginy, ś. Dominika, ś. Jacka, św. Cesława i ś. Tomasza z Akwinu.

**Peszt.** W Peszcie wychodzi w języku węgierskim nakształt Niesieckiego Herbarz rodzin szlacheckich, węgierskich z dodaniem herbów i tablic genealogicznych. Wydaniem tego obszernego dzieła trudnią się pp, Nagy i Friebeisz. W czwartym poszycie znajdujemy wiadomość genealogiczną o rodzinie sławnego z przygód swoich partyzanta konfederacyi Barskiéj Beniowskiego. — Podobne temu dzieło: Siedmiogrodzkie sławne rodziny z ich herbami i rodowodowemi tablicami wydał Wład. Köwari w Koloswarze r. 1856. — Hrabia Józef Teleki ogłosił w Peszcie nakładem księgarza Emicha dwunasty tom obszernego swego dzieła historycznego: Czasy Huniadów w Węgrzech, do którego dodane są liczne dokumenta, podobizny pism i portrety. Historyk polski pracujący nad dziejami z czasów Władysława Warneńczyka i Kaźmierza Jagielończyka znajdzie tu wiele przydatnych materyjałów.

— Wyszły także w Peszcie: Biografie sławnych mężów węgiers ich zebrane przez Arpada Kereggyarto, Oddział I obejmujący epokę do r. 1600.

**Praga.** Znany filolog słowiański Józef Franta Szumawski padł ofiarą epiedmicznej grypy w Pradze d. 22 grudnia 1857. Z śmiercią jego pozostaje niedokończy obszerny Słownik języka słowiańskiego sześciu głównych narzeczy: ruskiego, bulgarskiego, Starocerkiewnego, serbskiego, czeskiego i polskiego z którego pierwszej części niemiecko-słowiańskiéj dotąd tylko kilka początkowych zeszytów aż do końca litery B. wyszło. Zamierzone także poprzednio wydanie części Słowiańsko - niemieckiéj z ogłoszeniem pierwszego tylko zeszytu ustało.

— Obszernéj historyi czeskiéj w językn niemieckim przez p. Franciszka Palackiego napisanéj, wyszedł teraz tom czwarty obejmujący czasy Jerzego Podjebradzkiego od r. 1439 aż do śmierci króla Władysława roku 1457. W ważnéj téj pracy po większéj części podług dokumentów ówczesnych i odszukanych rękopismów dawnych skreślonéj, znaleść można wiele ciekawych ustępów dziejów Polski dotyczących.

**Budyszyn.** Na ostatniém posiedzeniu wydziału archeologicznego towarzystwa Macicy Serbskiéj w Budyszynie, czytał pan-

Wehla sprawozdanie o wynalezionych ostatniemi czasy w Luzacyi pomnikach pogańskich, a mianowicie o posążku bożka Peruna, który r. z. z ziemi wydobyto. Serbskie nowiny w Budyszynie wychodzące dodają, iż posiedzenie to zaszczycił jako gość swoją obecnością uczony Polak pan Fudakowski (?).

**Poznań.** Nakładem Żupańskiego wyszło drugie wydanie znakomitego utworu dramatycznego Ant. Edw. Odyńca: *Felicyta czyli męczennicy kartagińscy.* — Pierwsze wileńskie wydanie przeszło niepostrzeżone, tak mała liczba exemplarzy dostała się do nas; a jednakże utwór ten z téj sfery co tyle czytana Fabiola i Kallista, o kilka lat wyprzedził myśl Wiesemana i Newmana. Felicyty treścią jest wielkie prześladowanie Chrześcian w Afryce na początku 3go wieku, historya Perpetui i Felicyty, ich pojmania i cierpień. Opisane są przez samą ś. Perpetuę i przez ś. Satura, a Tertulian naoczny podobnoś świadek ich męczeństwa w cyrku Kartgiańskim, dopełnił te akta. Dramat więc niniejszy mniéj jest dziełem fikcyi poetycznéj, a całkiem prawdy na rzeczywistości opartéj.

— Nakładem Kamińskiego i spółki ukazały się: *Dzieje narodu polskiego* z tablicą chronologiczną do naszych czasów dla użytku młodzieży.

**Leszno.** Nakładem Günthera wyszła książka objaśniająca znaczenie i tajemnice kościelnych obrzędów p. t. *O obrządkach kościoła katolickiego.* Przekład polski dokonany przez Xiędza S. K. podług szóstego wydania dzieła tego napisanego przez X. Mateusza Terklau.

**Berlin.** U Deckera drukarza królewskiego z polecenia królewskiego a staraniem komissyi Kr. Akademii umiętności, wydane zostały z wielkim przepychem dzieła Fryderyka W. (Oeuvres de Frederic le Grand) w 30 tomach. Dzielą się na historyczne, filozoficzne, poetyczne. korrespondencye, i Rzeczy wojskowe. — W poetycznych mieści się zapewne ów sławny poemat w którym na sposób swego fernejskiego mistrza, wyśmiewa konfederacyę Barską i nabożeństwo do N. Panny. — W korrespondencyach znajdują się listy do hrabiny Skórzewskiéj i do Ignacego Krasickiego. — Z tego względu dzieła te mogą nas interesować.

**Warszawa.** Styczniowy Numer Biblioteki Warszawskiéj zawiera artykuły nastppującéj treści:

*Do redakcyi* Biblioteki Warszawskiéj, od bar. Edwarda Rastawieckiego, przeznaczającego złp. 4,000 za napisanie słownika synonimów polskich.

*Słów kilka* o starożytnéj odbudowie kopalń olkuskich i machinach w tychże, o płoczkach, prażeniu rudy ołowianéj i hutach dawnych pod Olkuszem, przez Hieronima Łabęckiego (z dwiema rycinami).

*Przegląd* literatury zagranicznéj: Literatura angiel ka. Hallera: Pobyt w Lookoo, w Japonii i Chinach 1854. W. K. Loftusa Podróże w Chaldei Odkrycie pomników starożytności w środkowéj Ameryce. Pamiętniki Elkanach Watsona. Historya Normandyi i Anglii, Fr. Palgrave. — Najnowsze dzieła.

*Staropolska miłość.* Urywek pamiętnika spisany przez J. Kraszewskiego.

*Kronika* paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Etudes d'histoire religieuse, przez Ernesta Renan. Joanna d'Arc, dramat historyczmy w 5ciu aktach, przez Daniela Stern. Projekt podmor-

skiego tunelu między Francyą i Anglią, podany przez p. Thome de Gamond. Wiadomości iliterackie.

*Ignacy Bohusz* przez Juliana Bartoszewicza.

Poezye: Kolendowanie: Dola skowronka przez W. Korotyńskiego. Zbieg, legenda górali kaukazkich (z Lermontowa) przez Bolesława Wiktora.

*Kronika* literacka. Listy z Krakowa, napisał J. Kremer, Wilno 3 tomy 1855. Przez Leopolda Jakubowskiego. Szermierz z Ravenny, przekład z Fryderyka Halma. Lipsk, 1857, przez Bolesława Wiktora. Biblioteka lwowska, Serya 1. Lwów 1856—57. przez Wł. Czas, Dodatek miesięczny za m. Wrzesień i Październik r. b.

Rubryka doniesień literackich zawiera w témże piśmie następujące nowości.

— Album Kaliskiego, Edwarda Staweckiego, wyszedł zeszyt 3ci i obejmuje wraz z obszernym tekstem widoki: 1) Kościoła Reformatów w Kaliszu. 2). 3) Trybunał i więzienie w Kaliszu. 4). Kościół ś. Wojciecha na Zawodziu pod Kaliszem. Śliezny to obrazek przedstawiający skromny kościołek pod wezwaniem jednego z pierwszych apostołów, otoczony staremi wiązami. Ciekawą wydawca podaje miejscową legendę: „W kościele znajdują się trzy ołtarze: w ołtarzu wielkim stoi statua ś. Wojciecha w pontyfikalném ubraniu, —jedna ręka w rękawiczce, a drugą podniesiona do góry, obnażona z takowéj świadczy o niéj.

Gdy śty Wojciech opowiadał słowa wiary świętéj zgromadzonemu ludowi, rękawiczki i laskę położył na ziemi przy sobie. Jeden ze słuchaczy przysunął się bliżéj i skradł jednę rękawiczkę, co spostrzegłszy śty apostoł uniesiony gniewem, że to mogło się zdarzyć właśnie w téj chwili, kiedy on najżarliwiéj naukę Zbawiciela głosił, a niemogąc się dowiedzieć o sprawcy, miał wyrzec zaklęcie: że na pamiątkę tego występku, żaden ze słuchaczy ani ich następców, głosić słów Zbawiciela nie będzie. czyli inaczéj, że księdzem nie zostanie. Jakoż, jak twierdzą najstarsi mieszkańcy wsi Zawodzia, bardzo wielu już się kusiło o ten zaszczyt z mieszkańców tamtejszych a żaden mszalnym księdzem nie został: jedni nie wytrwali nowicyatu, innych z tegoż nowicyatu usunięto, a ci co szczęśliwie go przeszli, przed samem wyświęceniem się na księży, poumierali".

— Szkiców i obrazków wyszły zeszyty 7 i 8, i zawierają dwa szkice: — „Dowcipniś salonowy i Stary wiarus". W pierwszym mamy dokładną charakterystykę dowcipnisia salonowego i odpowiednio scenom w nim zawartym, wybornie pochwycone postacie przez F. Kostrzewskiego: czy to siedzącego w fotelu, otoczonego słuchających gronem, czy przewodzącego w grze towarzyskiéj, czy przy śniadanku albo przy bilardzie w kawiarni. Ryciny te szczęśliwie schwycone, wiele dopomagają tekstowi, który zaleca się trafnością spostrzeżeń, i zbadaniem tych salonów naszych figur. — Szkic „Stary wiarus", podaje nam wiernie w szczegółowych zarysach ów typ z dawnych legionów armii księstwa Warszawskiego i Królestwa który wkrótce przejdzie do wspomnienia tylko, bo już resztki starych wiarusów dogasają zwolna. Miał tu szersze pole dla swego talentu pan Kostrzewski: to téż stary wiarus niosący dobosza na plecach droga ku Fridlandowi, albo podpiły kanonier, otwierający drzwi Kazimierzowi Brodzińskiemu, jako wiarusy drwale i

wiarus gotujący rosół kanonierski okazują niepospolity talent artysty, który potrzebuje tylko odpowiedniéj treści w szkicach, ażeby mógł nim zajaśnieć. Sądzimy że wydawcą postara się ażeby wyszły do téj publikacyi i obrazki ludowe, nietylko z Warszawy, ale z kraju całego, a wtedy nabierze w szerszych ramach wyższéj literackiéj wartości, przez co zyska współczucie i upowszechnienie jak największe, przy tak umiarkowanéj cenie, jaką jest prenumerata za tom in 4, o 200 blisko stronnicach, z 48 rysunkami, wynosząca tylko złp 20.

— W nowéj drukarni K. Kowalewskiego, w staranném wydaniu wyszło dzieło p. n. „Próbki filozofii mowy“, Adolfa Kudasiewicza. Owoc to studyów długich i sumiennych, a w literaturze naszéj obecnéj coraz rzadszych.

— Zygmunt Komarnicki, wykończył i przygotował do druku obszerną we dwóch tomach monografią p. n. „Dzieje katedry Kujawskiéj, od domniemanych jéj początków, aż do najnowszych czasów, w treściwym zarysie skreślone“. W przedmowie swéj autor wskazuje źródła z jakich czerpał, braki jakie w nich dostrzegł, ze skromnością godną sumiennego badacza objaśnia, że będąc pierwszym łamiącym zawady dotąd nieprzebyte, znajdzie wyrozumienie u czytelników, rozumiejacych ten rodzaj znojnéj pracy. Dzieje katedry kujawskiéj, spodziewamy się że wkrótce ujrzymy ogłoszone drukiem.

— Wieńca, pisma zbiorowego wyszedł zeszyt IV i obejmuje wielką liczbę artykułów; z pomiędzy tych wyliczym większéj wartości: Józefa Gołuchowskiego: „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ (wyjątek): Gabryeli z Güntherów ks, Puzyniny: Do S. Jachowicza, Zielona Sukienka; Cypr. Norwida: „Toast“ fantazya; M. Balińskiego: „Król Jan III Sobieski jako geograf“. Władysławy Rogozińskiéj: „Brat Sokół“, Katarzyny z Lipińskich Lewockiéj. „Głos ubogiéj matki do córki na służbę idącéj“ (wyjątek); Józefa Paszkowskiego pułkownika: — „Kardynalskie buty“, Eleonory Ziemięckiéj: „Stanowisko Jachowicza jako grammatyka“. Fr. H. Lewestama: „Wyjątek ze wstępu do Historyi literatury polskiéj,“ A. Weinerta: „Spominki dziejów polskich za panowania Zygmunta III, “Wiktora z Baworowa (Baworowskiego): Poezye; Zofii hr, Hauke: „Myśli“ z pism L. Kropińskiego i Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj: Fr. Kowalskiego poezye: Ferd. D. Chotomskiego: „Wypisy z VI księgi Eneidy Wirgiliusza trawestowanéj.

— Księgarz S. M. Merzbach kończy w druku tom II dzieł Adama Mickiewicza, w którym mieszczą się: Grażyna, Wallenrod i Dziady“.

— W drukarni S. Orgelbranda ukończono drnk: Opisu Cmentarza Powązkowskiego i innych cmentarzy chrześciańskich pod Warszawą i w okolicach tego miesta położonych. Całość składa trzy wielkie w 4ce tomy z rycinami. Wyszedł z téjże drukarni poemat Wł. Syrokomli p. n. „Dni doroczne na Litwie“, w 2ch częściach.

— „Kwiaty i poezye“ w pysznem wydaniu M. Fajansa, ukazały się w znacznéj liczbie przed świętami Bożego Narodzenia. Dedykowane są Najjaśniejszéj Maryi Alexandrównie, Cesarzowéj Wszech-Rossyi, Królowéj Polskiéj. Oprawa ozdobna i staranna, nie ustępuje w niczém paryskiéj i londyńskiéj.

— Wład. Syrokomla ukończył

poemat, czyli jak sam nazywą, sielankę bojową p. n. „Ułas". Ta wkrótce wyjdzie w Wilnie z pod prasy drukarskiéj.

— Dr. Teodor Tripplin wyjechawszy z Konstantynopola, gdzie czas długi bawił, podróżuje w Azyi i ma się znajdować w Jerozolimie. Wędrówkę tę swoję ma opisać w nowém dziele: „Podróż z Warszawy do Jerozolimy".

**Wilno** (wyjątek z listu). „Druk numeru 3 Teki wileńskiéj już skończony i obejmuje: Legendę i przekłady z ruskich poetów (Puszkina, Chomiakowa Żukowskiego, księcia Wiazemskiego) A. E. Odyńca. Wiersz do syna, tegoż. St. Rosołowskiego: „Co miłość może?" Gabryelli księżny Puzyninéj: „Czarno i biało." „Szum brzozki." Wł. Syrokomli: „Do prof. Abichta." Szlagiera: „Cel pieśni." „Peryody życia, urywki z autobiografii." Ign. Chodźki. Gawęda, J. Łepkowskiego. B Trentowskiego: „Hegiel i Kremer." Olbracht Łaski i Jan Heraklides" Mik. Malinowskiego. (Jest to epizod z dziejów polskich z XVI wieku, ale odrębny i skończony w sobie). Adama Kirkora: o ludności Wilna. „Wiadomości historyczne o klasztorach, (ciąg dalszy). „O zamkach na Litwie i Rusi Litewskiéj" Eu. T. Daléj w tym zeszycie mamy prace Konst. hr Tyszkiewicza, T. Narbutta, Juliana Bartoszewicza, St. Buszczyńskiego. Do tego tomu dodany będzie pierwszy zeszyt „Ikonotheki J. Kraszewskiego, która zeszytami aż do wydania całości do Teki wileńskiéj dodawaną będzie. Jest to dodatek niespodziewany a ważny dla prenumeratorów „Teki", bez podniesienia jéj ceny.

Znany tak zaszczytnie Mikołaj Malinowski przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, lubo posiada znaczny majątek, zachwiał się w swoich interesach. Praca i kłopoty z tego wynikłe, wytrąciły mu pióro z ręki. Czcigodni obywatele robią naradę: składają potrzebne kilkadziesiąt tysięcy rubli na wypłaty gwałtowne, sposobem pożyczki z małym procentem i łatwą upłatą: biorą dalszy obrot interesów na siebie i wracają nam czcigodnego męża do pola mu właściwego. Tak odetchnąwszy nasz badacz i historyk swobodniéj, ujął na nowo pióro, i oprócz studyów wymienionych dla „Teki" przeznacza swoje prace następne: „Stanisław Orzechowski w stosunku do Kmity, Tarnowskiego i Maciejowskiego" „G. E. Groddek w Puławach i Łancucie." „Książe generał Ziem Podolskich i księgarz Zawadzki." A. E. Odyniec zaczyna się krzątać około druku swego dramatu: „Barbara Radziwiłówna."

**Kijów.** W drukarni uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie (Józefa Zawadzkiego) są obecnie pod prasą: Pisma urywkowe wierszem i prozą Józefa Prospera Gromadzkiego, wydane staraniem A. Syroczyńskiego. — Oprócz drobnych poezyj, z prozy ważniejsze są rozprawy: Studya nad historyą akademii krakowskiéj: Uwagi nad znaczeniem prowincyonalizmów w dziejach Polski. Przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego J. Majorkiewicza i L. Kondratowicza. Pisma te wyjdą w ciągu marca r. b. w tomie jednym.

— N. Sementowski za wydany Zbiór widoków i starożytności miasta Kijowa od cesarza rosyjskiego w darye kosztowny pierścień z brylantami.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. Ant. Czapliński Prowizor drukarni.

## **Sprostowanie**

pomyłek drukarskich w zeszycie grudniowym 1857.

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| *Str.* | 563 | *wiersz* | 6 | *zamiast* | dobre | *czytaj* | drobne |
| „ | 565 | „ | 24 | „ | co rychle | „ | w rychle |
| „ | 568 | „ | 10 | „ | poniewolnie | „ | poniewoleni |
| „ | 571 | „ | 12 | „ | stanowcze | „ | stanowne |
| „ | 571 | „ | 13 | „ | ażeby | „ | azaby |
| „ | 579 | „ | 17 | „ | widywać | „ | dowiadywać |
| „ | 591 | „ | 3 | „ | przez | „ | przy |
| „ | 609 | „ | 7 | „ | doskonałą | „ | dokonaną |
| „ | 615 | „ | 29 | „ | imieniowi | „ | imieniu |